

# SAVE

MONA KASTEN

# US

POWIEŚĆ



mona kasten

# SAVE US

tłumaczenie Ewa Spirydowicz



Tytuł oryginału: *Save Us*

Redakcja: Karolina Wąsowska

Korekta: Renata Kuk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Projekt okładki: Sandra Taufer, München

Tło: © Shutterstock/Shebeko

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © 2018 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

**ISBN 978-83-7686-833-2**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

<u>1</u>
<u>2</u>
<u>3</u>
<u>4</u>
<u>5</u>
<u>6</u>
<u>7</u>
<u>8</u>
<u>9</u>
<u>10</u>
<u>11</u>
<u>12</u>
<u>13</u>
<u>14</u>
<u>15</u>
<u>16</u>
<u>17</u>
<u>18</u>
<u>19</u>
<u>20</u>
<u>21</u>
<u>22</u>
<u>23</u>

24

25

26

27

28

29

30

Epilog

Podziękowania

*Dla Anny*

*Czyż dzisiaj nie czas na pewność?  
Pewnie tak. Zobaczymy*

GERSEY, A DAY TO BE CERTAIN

# playlist

A Day to be Certain – Gersey  
You – Keaton Henson  
Surrender – Natalie Taylor  
The Tide – Niall Horan  
Dream In A Dream – TEN  
In My Blood – Shawn Mendes  
Fallin' All In You – Shawn Mendes  
The Shortchange – Thomston  
Bill Murray – Phantogram  
Critical – Jonas Brothers



## Graham

Mój dziadek zawsze pytał: „Co zrobisz, gdy nadejdzie dzień, w którym wszystko stracisz?”. Do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiałem, za każdym razem odpowiadałem pierwszymi lepszymi słowami, które akurat przysły mi do głowy.

Kiedy miałem sześć lat i mój brat celowo zepsuł moją małą koparkę, powiedziałem sobie: zreperuję koparkę.

Kiedy miałem dziesięć lat i nasza rodzina przeprowadziła się z Manchesteru w okolice Londynu, stwierdziłem przekornie: w takim razie poszukam sobie nowych przyjaciół.

A kiedy umarła mama i jako siedemnastolatek starałem się być wsparciem dla ojca i brata, mówiłem: poradzimy sobie.

Nawet wtedy przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym się poddać.

Dopiero teraz, gdy mam prawie dwadzieścia cztery lata, tutaj, w tym gabinecie, w którym nagle czuję się jak kryminalista, nie znajduję żadnej odpowiedzi. W tej chwili wydaje mi się, że jestem w sytuacji bez wyjścia. Cała moja przyszłość stoi pod znakiem zapytania. Nie mam pojęcia, co będzie dalej.

Otwieram skrzypiącą szufladę masywnego biurka z drewna wiśniowego i wyjmuję długopisy i notesy, które zebrały się w niej w ciągu minionego roku. Ruszam się wolno, moje ręce są ciężkie jak z ołowiu. A przecież muszę się pośpieszyć: mam opuścić teren szkoły, zanim przerwa obiadowa dobiegnie końca.

*Jest pan zawieszony w trybie natychmiastowym. Zabraniam panu wszelkiego kontaktu z uczniami Maxton Hall. Jeżeli się pan nie podporządkuje, zgłoszę sprawę na policję.*

Długopisy wypadają mi z dłoni, z głośnym łoskotem uderzają o podłogę.

Cholera.

Pochyliam się, aby je zebrać, i bezładnie wrzucam je do kartonu, który zawiera wszystkie moje rzeczy. Oprócz podręczników są tam także stary globus dziadka

i materiały na jutrzejsze zajęcia, które już przygotowałem i właściwie teraz mógłbym wyrzucić, jednak nie jestem w stanie tego zrobić.

Rozglądam się po gabinecie. Puste półki, tylko pojedyncze kartki papieru na biurku, w tym jedna pomazana, zdradzają, że zaledwie kilka godzin wcześniej poprawiałem tu prace klasowe.

*Sam jesteś sobie winien*, rozlega się uporczywy głos w mojej głowie.

Pocieram bolące skronie i po raz ostatni zaglądam do szuflad i szafek w biurku. Nie powinienem przeciągać pożegnania, ale rozstanie z tym pomieszczeniem kosztuje mnie więcej, niż się spodziewałem. Już wiele tygodni temu postanowiłem, że poszukam pracy w innej szkole, żeby być razem z Lydią, ale to ogromna różnica, czy rezygnuje się z pracy na własnych warunkach, czy zostaje się wyrzuconym, mając za plecami ochroniarzy.

Z trudem przełykam ślinę i zdejmuję płaszcz z drewnianego wieszaka. Wkładam go odruchowo, podnoszę karton z biurka i idę w stronę drzwi. Wychodzę z gabinetu, nie oglądając się za siebie.

W mojej głowie kłębią się niezliczone pytania: czy Lydia już wie? Co z nią? Kiedy znowu ją zobaczę? Co teraz? Czy mam jeszcze w ogóle szansę na pracę jako nauczyciel? A co, jeśli nie?

W tej chwili nie poznam żadnej odpowiedzi. Staram się nie ulec panice i idę korytarzem w stronę sekretariatu, żeby zdać klucze. Mijają mnie uczniowie, niektórzy witają serdecznie. Coś boleśnie kłuje mnie w brzuchu. Z najwyższym wysiłkiem udaje mi się odwzajemnić ich uśmiechy. Dobrze mi się tutaj pracowało.

Skrećam w stronę sekretariatu i nagle czuję się, jakby ktoś wylał mi na głowę kubel lodowatej wody. Zatrzymuję się tak gwałtownie, że ktoś z tyłu wpada na mnie i przeprosza niewyraźnie. Nie słyszę jego słów, wpatrzony w wysokiego, barczystego ucznia o złotorudych włosach, który wpakował mnie w tę sytuację.

James Beaufort nawet nie mrugnie okiem na mój widok. Przeciwnie, wydaje się całkowicie obojętny, jakby przed chwilą wcale nie zniszczył mi życia.

Wiedziałem, do czego jest zdolny. Wiedziałem, że błędem jest wchodzić mu w drogę. Pamiętam, jak Lexington ostrzegał mnie pierwszego dnia. „On i jego kumple są nieobliczalni. Proszę na nich uważać”. Wtedy nie przywiązywałem wagi do jego słów, bo znałem inną jego wersję. Lydia opowiadała mi, jak bardzo ten chłopak cierpi, przytłoczony rodzinną presją, jak bardzo jest w sobie zamknięty i nie zwierza się nawet przed siostrą bliźniaczką.

Z perspektywy czasu czuję się jak idiota, że nie zachowałem większej ostrożności. Powinienem był przewidzieć, że James dla Lydii zrobi wszystko.

Zapewne mój upadek to w jego planie dnia tylko nieistotny punkcik.

Obok Jamesa stoi Cyril Vega, którego na szczęście nigdy nie musiałem uczyć. Nie wiem, czy byłbym w stanie zachować spokój i być profesjonalny. Ilekroć go widzę, staje mi przed oczami jego fotografia z Lydią. Na tym zdjęciu wychodzą razem ze szkoły i wsiadają do rolls-royce'a Beaufortów. Śmieją się. Cały czas pamiętam, jak ją tulił i pocieszał, czego mi po śmierci jej matki nie wolno było robić.

Zaciskam zęby i idę dalej, tuląc karton do piersi. Czuję pęk kluczy w dłoni ukrytej w kieszeni. Jestem już bardzo blisko. Chłopcy przerwali rozmowę i obserwują mnie z poważnymi, nieprzeniknionymi twarzami.

Przed drzwiami sekretariatu zatrzymuję się i patrzę na Jamesa.

– I co? Jesteś zadowolony?

Żadnej reakcji, co rozwściecza mnie jeszcze bardziej.

– Co wyście sobie myśleli? – Rzucam mu wyzywające spojrzenie. Ciągłe nie odpowiada. – Zdajecie sobie sprawę, że waszym szczeniackim wybrykiem zmarnowaliście mi życie?

James wymienia z Cyrilem znaczące spojrzenie i rumieni się lekko, dokładnie tak samo jak jego siostra, kiedy się złości. Są do siebie tak cholernie podobni, chociaż jednocześnie w moich oczach tak niewiarygodnie różni.

– To chyba pan powinien był się zastanowić – cedzi Cyril.

W jego oczach jest jeszcze więcej wściekłości niż w spojrzeniu Jamesa. Przychodzi mi na myśl, że zapewne uknuli to razem, żeby pozbyć się mnie ze szkoły.

Wzrok Cyrila nie pozostawia wątpliwości, że z nas dwóch to on ma władzę. Może zrobić ze mną wszystko, nieważne, że jestem od niego starszy. Wygrał, i doskonale o tym wie. Ma zwycięstwo wypisane na twarzy, biją z niego duma i poczucie władzy.

Uśmiecham się zrezygnowany.

– Dziwi mnie, że jeszcze jest pan w stanie się uśmiechać – rzuca. – To już koniec. Został pan zdemaskowany. Rozumie pan?

Zaciskam dłoń na kluczach tak mocno, że metalowe ząbki wbijają mi się w skórę. Czy ten bogaty gnojek naprawdę uważa, że nie zdaję sobie sprawy ze swojego położenia? Że nie wiem, że nikogo nie obchodzi, gdzie i kiedy poznałem Lydię? Że nikt mi nie uwierzy, kiedy powiem, że poznaliśmy się i zakochaliśmy w sobie, zanim trafiłem do Maxton Hall? I że zakończyliśmy nasz związek, gdy dowiedzieliśmy się, że będę ją uczył? Ja to wszystko wiem, oczywiście. Zdaję sobie sprawę, że od tej chwili w oczach innych będę tym

obleśnym typem, który w pierwszym roku pracy wdał się w romans z uczennicą. Na samą myśl robi mi się niedobrze.

Nie zaszczycając ich więcej spojrzeniem, wchodzę do sekretariatu. Wyjmuję pęk kluczy z kieszeni, rzucam na kontuar i odwracam się na pięcie. Kiedy mijam ich ponownie, widzę, jak Cyril wciska Jamesowi telefon w dłoń.

– Dzięki, stary – słyszę jego słowa, a potem odwracam wzrok i najszybciej, jak potrafię, zmierzam w kierunku wyjścia. Ledwie do mnie dociera, że James mówi coś głośno.

Każdy krok sprawia mi ból, każdy oddech wydaje się zadaniem nie do wykonania. Szumi mi w uszach tak bardzo, że prawie niczego nie słyszę. Śmiech uczniów, ich głośne kroki, trzask dwuskrzydłowych drzwi, przez które po raz ostatni wychodzę z Maxton Hall i wkraczam w nieznaną, niepewną przyszłość.

## Ruby

Jestem jak ogłuszona.

Kiedy kierowca autobusu mówi, że dojechaliśmy na pętlę, w pierwszej chwili nie rozumiem, co to znaczy. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że muszę wysiąść, jeżeli nie chcę kolejny raz pokonać całej drogi do Pemwick. Nie pamiętam, co się działo w ciągu minionych trzech kwadransów, do tego stopnia zagubiłam się w myślach.

Moje ciało wydaje się ociężałe i zarazem rozedrgane, gdy powoli wysiadam z autobusu. Zaciskam dłonie na szelkach plecaka, jakbym dzięki temu chciała utrzymać równowagę. Niestety cały czas czuję się fatalnie. Jakbym znalazła się w środku tornada, z którego nie ma ucieczki, jakbym zupełnie zatraciła orientację.

Niemożliwe, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Niemożliwe, że wyrzucono mnie ze szkoły. Niemożliwe, że moja mama uwierzyła, że miałam romans z nauczycielem. Niemożliwe, że moje marzenia o Oksfordzie szlag trafił.

Chyba tracę rozum. Oddycham coraz szybciej, gorączkowo zaciskam palce. Czuję, jak pot spływa mi po plecach, a jednocześnie całe moje ciało pokrywa się gęsią skórą. Kręci mi się w głowie. Zamykam oczy i usiłuję choć trochę uspokoić rozszalały oddech.

Kiedy je otwieram, przynajmniej nie jest mi już niedobrze. Po raz pierwszy,

odkąd wysiadłam z autobusu, rozglądam się dookoła. Pojechałam o trzy przystanki za daleko i znajduję się na drugim końcu naszego miasteczka. W innych okolicznościach byłabym na siebie wściekła. Teraz jednak odczuwam coś na kształt ulgi, bo w tej chwili absolutnie nie chcę wracać do domu. Nie po tym, w jaki sposób mama na mnie popatrzyła.

W tej chwili przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, z którą chciałabym porozmawiać. Jedyna osoba, której ufam bezwarunkowo i która doskonale wie, że nigdy w życiu nie zrobiłabym czegoś takiego.

Ember.

Biegnę w kierunku miejscowego liceum. Lekcje chyba zaraz się skończą, bo po drodze mijam młodszych uczniów. Kilku chłopców przekomarza się, idąc po wąskim chodniku, usiłują wzajemnie wepchnąć się w zarośla. Na mój widok nieruchomieją i mijają mnie ze spuszczonej głowami, jakby obawiali się, że zbesztam ich za takie zachowanie.

Im bliżej jestem, tym dziwniej się czuję. Dwa i pół roku temu sama uczęszczałam do tej szkoły. Co prawda nie tęsknię za tamtymi czasami, ale kiedy teraz ponownie idę w kierunku budynku, czuję się, jakbym cofnęła się w czasie. Tylko że wtedy nikt nie przyglądał mi się ciekawie i nie odwracał za mną głowy, bo mam na sobie mundurek prywatnej szkoły.

Pokonuję schody do drzwi. Ściany, zapewne kiedyś białe, dawno pożółkły, z okiennych framug odłazi farba. Nie sposób nie zauważyć, że w ciągu minionych lat w tę szkołę nikt nie inwestował.

Przeciskam się obok uczniów wylewających się ze środka. Usiłuję wyszukać w morzu twarzy kogoś znajomego. Po chwili dostrzegam dziewczynę z ciasno splecionymi warkoczami. Wychodzi ze szkoły w towarzystwie chłopaka.

– Maisie! – wołam.

Zatrzymuje się i rozgląda badawczo. Na mój widok pytająco unosi brwi. Daje chłopakowi znać, żeby na nią poczekał, i przeciska się w moim kierunku.

– Ruby! Co tam?

– Wiesz może, gdzie znajdę Ember? – pytam. Mój głos brzmi zupełnie normalnie, aż zastanawia mnie, jak to możliwe, skoro mój świat rozpadł się na kawałki.

– Myślałam, że się rozchorowała. – Maisie marszczy brwi. – Nie było jej dzisiaj w szkole.

– Co takiego?

To niemożliwe. Dzisiaj rano wyszliśmy z Ember z domu o tej samej porze. Skoro nie przyszła do szkoły, gdzie do licha się podziewa?

– Napisała mi, że boli ją gardło i zostaje w łóżku. – Maisie wzrusza ramionami i zerka na swojego chłopaka. – Pewnie jest w domu i po prostu się minęłyście. Słuchaj, jestem umówiona. Nie pogniewasz się, jeśli...?

– Jasne, oczywiście. – Kiwam głową. – Dzięki.

Macha mi na pożegnanie, a potem zbiega ze schodów i bierze chłopaka pod rękę. Odprowadzam ich wzrokiem, usiłując opanować gonitwę myśli. Gdyby Ember rano bolało gardło, wiedziałabym o tym. Nie wyglądała na chorą, zachowywała się normalnie. Przy śniadaniu wszystko było jak zawsze.

Wyjmuję telefon w kieszeni. Trzy nieodebrane połączenia od Jamesa. Kasuję je z rozpaloną twarzą.

*To ja zrobiłem te zdjęcia.* Znowu mam w uszach jego słowa. Staram się nie zwracać uwagi na ciężar w klatce piersiowej. Otwieram listę szybkiego wybierania i znajduję imię Ember. Dzwonię. Słyszę sygnał, a więc nie wyłączyła komórki. Niestety, nie odbiera nawet po dziesiątym dzwonku. Rozłączam się i szybko piszę wiadomość.

*Odezwij się. Koniecznie muszę z tobą porozmawiać.*

Wysyłam, wpycham telefon do kieszeni żakietu, schodzę ze schodów i po raz ostatni patrzę na dawną szkołę. Nie pasuję tutaj, to jasne. Tylko że w tej chwili w Maxton Hall także nie ma dla mnie miejsca.

Nigdzie już nie pasuję, przebiega mi przez głowę myśl.

Z tą refleksją opuszczam teren miejscowego liceum. Skręcam w lewo i idę główną ulicą w kierunku naszej dzielnicy, choć w tej chwili ostatnie, na co mam ochotę, to powrót do domu. Nie wytrzymam kolejnego rozczarowania w oczach mamy, nie chcę, żeby patrzyła na mnie tak, jak w gabinecie dyrektora.

Tamte chwile cały czas stają mi przed oczami. W kółko słyszę głos Lexingtona. Wystarczyło kilka słów, żeby przekreślił całą moją przyszłość, wszystko, na co harowałam od wielu lat.

Mijam rząd kafejek i małych sklepików i chwytam strzępy rozmów miejscowych uczniów, których grupki zmierzają w tym samym kierunku, co ja. Rozmawiają o pracach domowych, złością się na nauczycieli, śmieją z czegoś, co miało miejsce na pierwszej przerwie. Nagle dociera do mnie, że nie mam już nikogo, z kim mogłabym tak pogadać. Nie zostaje mi nic innego niż iść dalej, pozwolić, by słońce ze mnie drwiło, i pogodzić się z faktem, że moje życie się skończyło. Ani szkoły, ani rodziny, ani chłopaka.

Oczy zachodzą mi łzami. Na próżno usiłuję je opanować. Potrzebuję swojej siostry. Potrzebuję kogoś, kto mi powie, że wszystko znowu będzie dobrze, nawet jeżeli w to nie uwierzę.



Już mam ponownie sięgnąć po komórkę, gdy koło mnie zatrzymuje się samochód. Kątem oka widzę, że jest to ciemnozielony, wiekowy gręt z zardzewiałymi felgami i brudnymi oknami. Nie znam nikogo, kto jeździłby podobnym autem, więc idę dalej, nie zwracając na niego uwagi.

Samochód rusza za mną. Odwracam się, by przyrzeć mu się uważniej, i wtedy kierowca otwiera okno od swojej strony.

Akurat tej twarzy w ogóle się nie spodziewałam. Zaskoczona, zatrzymuję się w pół kroku.

– Ruby? – pyta Wren. Najwyraźniej wyglądam równie strasznie, jak się czuję, bo Wren mruży oczy i wychyla się przez okno, żeby mi się przyrzeć. – Wszystko w porządku? Potrzebujesz pomocy?

Zaciskam usta w wąską kreskę. Wren Fitzgerald to ostatnia osoba, z którą w tej chwili chciałabym rozmawiać. Zwłaszcza że domyślam się, dlaczego tak na mnie patrzy. Zapewne informacja o tym, że wyrzucono mnie z Maxton Hall, już się rozeszła. Robi mi się nieprzyjemnie gorąco. Idę dalej. Nie odpowiadam mu.

Za plecami słyszę trzask samochodowych drzwiczek i szybkie kroki.

– Ruby, poczekaj!

Zatrzymuję się, zamykam oczy. Oddycham głęboko, raz, drugi, trzeci. Staram się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem wyprowadzona z równowagi i co się ze mną dzieje, a potem odwracam się do Wrena.

– Wyglądasz, jakbyś miała lada chwila zemdleć – mówi poważnie. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Pomóc? – rzucam pogardliwie. – Ty?

Wren zaciska usta w wąską kreskę. Wbija wzrok w ziemię, a potem patrzy mi w oczy.

– Alistair powiedział mi, co się stało. Fatalnie.

Sztywnieję i szybko odwracam głowę. Czyli jest dokładnie tak, jak myślałam. Cała szkoła już o wszystkim wie. Po prostu super. Wpatruję się w fasadę klubu fitness po drugiej stronie ulicy. Widzę trenujących na bieżniach, inni podnoszą ciężary. Może mogłabym się tam ukryć. Tam na pewno nikt mnie nie znajdzie.

– Bomba – mrużę.

Już mam się od niego odwrócić i iść dalej, ale coś mnie powstrzymuje. Może fakt, że Wren nie jechał limuzyną, tylko starym gratem, który wygląda, jakby lada chwila miał się rozpaść na kawałki. A może chodzi o jego spojrzenie, poważne i szczere, bez krzty złośliwości. Może także o to, że jesteśmy tutaj, w Gormsey, ostatnim miejscu, w którym spodziewałabym się spotkać kogoś

takiego jak Wren Fitzgerald.

– Co ty tu właściwie robisz?

Wren wzrusza ramionami.

– Przypadkiem przejeżdżałem.

Unoszę brew.

– Przez Gormsey? Przypadkiem?

– Posłuchaj. – Wren szybko zmienia temat. – Nie mogę uwierzyć, że James miał z tym cokolwiek wspólnego.

– Wysłał cię, żebyś mi to powiedział? – pytam drżącym głosem.

Wren potrząsa głową.

– Nie. Ale znam Jamesa. To mój najlepszy przyjaciel. Nie zrobiłby czegoś takiego.

– Wren, na tych zdjęciach wygląda, jakbym całowała się z nauczycielem. James przyznał, że je zrobił.

– Może rzeczywiście je zrobił. To jednak nie oznacza, że również on wysłał je dyrektorowi.

Zaciskam usta w wąską kreskę.

– James by tego nie zrobił – powtarza Wren z przekonaniem.

– Dlaczego jesteś tego taki pewien?

– Bo wiem, co do ciebie czuje. Nie zrobiłby nic, co mogłoby ci zaszkodzić.

Mówi to z takim przejęciem, że emocje wybuchają we mnie z nową energią. Czy cokolwiek zmieni fakt, że to nie James wysłał te zdjęcia? Ale w takim razie dlaczego w ogóle je zrobił?

– Sam chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi – dodaje Wren. – Akurat do niego jadę. Jedź ze mną, Ruby. Poznasz prawdę z pierwszej ręki.

Wpatruję się w niego. Mam na końcu języka pytanie, czy postradał rozum, na razie jednak milczę.

Dzisiejszy dzień osiągnął już dno dna. Gorzej nie będzie, bo naprawdę nie mam już nic do stracenia.

Nie zastanawiając się dłużej, podchodzę do zardzewiałego auta Wrena i wsiadam.

## Lydia

Informacja o tym, że Grahama zawieszono ze skutkiem natychmiastowym, rozeszła się po Maxton Hall jak ogień po suchym lesie. Myślałam, że oszaleję, kiedy stałam przed szkołą i czekałam, aż Percy po mnie przyjedzie, zwłaszcza że nie udało mi się skontaktować ani z Jamesem, ani z Ruby, że o Grahamie już nie wspomnę. Na samą myśl o tym, jak się w tej chwili czuje, robi mi się niedobrze. Odchodzę od zmysłów, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Kiedy w końcu docieramy do domu, uciekam do swojego pokoju i ponownie usiłuję się z nim skontaktować. Tym razem odbiera. Z ulgą nabieram tchu.

– Graham?

– Tak. – W jego głosie nie ma ani odrobiny życia.

– Tak mi przykro – wyrzucam z siebie. Nerwowo przechadzam się po pokoju. Cała buzuję od adrenaliny, serce w piersi wali mi jak szalone. – Tak bardzo mi przykro. Nie chciałam, żeby tak się stało.

Słyszę, jak głośno nabiera tchu.

– To nie twoja wina, Lydia.

Ależ owszem, moja. To moja wina, że Grahama i Ruby wyrzucono ze szkoły.

– Jeszcze dzisiaj po południu pojadę do dyrektora i wszystko mu wytłumaczę. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wezmę winę na siebie i...

– Lydia – przerywa mi cicho.

– Ruby także zawieszono. W ogóle na to nie zasłużyła. Nie pozwolę, by karano ją za coś, czego nie zrobiła.

– Lydia, ja... – Zanim jednak zdążył dokończyć zdanie, ktoś wyrywa mi komórkę z dłoni. Przerazona krzyczę gwałtownie i odwracam się szybko.

Za moimi plecami stoi ojciec. Przygląda mi się zimnym wzrokiem. Spogląda na rozjaśniony wyświetlacz mojego telefonu, a potem przesuwa palec i jednym ruchem przerywa połączenie.

– Hej! Co to...? – zaczynam.

– Nigdy więcej nie będziesz rozmawiała z tym nauczycielem – przerywa mi

ojciec lodowatym głosem. – Zrozumiano?

Już otwieram usta, by zaprotestować, ale chłód w jego głosie i gniew w oczach sprawiają, że nie wypowiadam nawet słowa.

On wie.

Wie o mnie i Grahamie.

O Boże.

– Tato... – zaczynam rozpaczliwie.

Kiedy to mówię, widzę, jak jego twarz wykrzywia coś na kształt grymasu bólu.

– Gdyby twoja matka żyła, wstydziłaby się za ciebie.

Mówi to tak spokojnie, że dopiero po chwili znaczenie jego słów w pełni do mnie dociera. Są jak cios. Odruchowo odsuwam się od niego.

– Tato, pozwól, że ci wytłumaczę. Naprawdę nie jest tak, jak myślisz. Zналиśmy się z Grahamem już wcześniej, my...

Nagle ojciec unosi rękę i z całej siły ciska moją komórkę o ścianę. Aparat rozpada się na kawałki, zasypuje podłogę odłamkami plastiku i szkła. Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Mówię po raz ostatni: nigdy więcej nie wolno ci rozmawiać z tym człowiekiem. Zrozumiano? – Głos drży mu z wściekłości.

– Posłuchaj, właśnie chcę ci to wytłumaczyć, widzisz...

– Nie chcę tego słuchać, Lydio. – Wchodzi mi w słowo.

Nienawidzę, gdy taki jest. Gdy nie chce mnie wysłuchać, chociaż doskonale wie, że mam coś do powiedzenia.

– Nie po to zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by chronić twoją reputację, żebyś teraz dokonała kolejnego idiotycznego wyboru. Koniec z tym, i to natychmiast, rozumiesz?

Czuję się, jakby chlusnął mi w twarz lodowatą wodą. Chwilę trwa, zanim jestem w stanie się odezwać.

– Chronić moją reputację? Co masz na myśli?

Jego twarz tężeje.

– Zadbałem, żeby nazwisko tej rodziny nie ucierpiało jeszcze bardziej. Powinnaś się z tego cieszyć, a nie patrzeć na mnie takim wzrokiem.

Gardło ściska mi się boleśnie.

– To byłeś ty? – pytam ochryple. – Ty wysłałeś zdjęcia dyrektorowi Lexingtonowi?

Ojciec wbija we mnie zimne spojrzenie.

– Tak.

Wydaje mi się, że nie mam czym oddychać. Robi mi się niedobrze, pokój nagle wiruje. Odruchowo chwytam się krzesła, żeby nie upaść.

Mój własny ojciec sprawił, że Graham stracił pracę, a dziewczynę Jamesa wyrzucono ze szkoły.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepczę.

Po pragnieniu, by mu wszystko wytłumaczyć, nie został nawet ślad. Czuję tylko niedowierzanie i wściekłość, która ogarnia mnie coraz potężniejszą falą.

– Bo mogłaś zniszczyć tę rodzinę. Czy nie zdajesz sobie sprawy, ile ryzykowałaś swoim beztroskim zachowaniem? Czy to wszystko nic dla ciebie nie znaczy? Powinnaś być mi wdzięczna, Lydio! – krzyczy ojciec.

– Rodzina? Ta rodzina w ogóle cię nie obchodzi? – odpowiadam. Zaciskam pięści. Drżą mi ręce, czuję, że lada chwila wybuchnę. – Ciebie obchodzą tylko pieniądze. Masz w nosie, co od śmierci mamy dzieje się ze mną i Jamesem. A teraz wpadasz tu i oczekujesz, że będę szczęśliwa, że usunąłeś ze szkoły mojego chłopaka?

Przy słowie „chłopak” ojciec lekko rozdyma nozdrza, poza tym na jego twarzy nie malują się żadne uczucia.

– Zrobiłbym o wiele więcej, byle ratować dobre imię tej rodziny.

Jego spokojny głos doprowadza mnie do szału. Oddycham coraz szybciej, tak mocno wbijam paznokcie w skórę, że lada chwila popłynię krew.

– Powinnaś być mi wdzięczna, Lydio – dodaje.

Nie panuję już nad wściekłością. Nie jestem w stanie powstrzymać słów, wylewają się ze mnie chaotycznie.

– Może udało ci się usunąć go ze szkoły, ale nie zdołasz usunąć go z mojego życia – wrzeszczę na całe gardło.

– Oczywiście, że zdołam. – Ojciec odwraca się i chce wyjść z pokoju.

Ale ja jeszcze nie skończyłam.

– Nie, nie zdołasz. Bo jestem w ciąży.

Zatrzymuje się w pół kroku. Odwraca się powoli, jak w zwolnionym tempie.

– Słucham?

Dumnie unoszę głowę.

– Jestem w ciąży. Z Grahamem.

Dziwnie jest obserwować jego reakcję. Przez chwilę tylko na mnie patrzy i mruga nerwowo, jak zabawny człowieczek na gifach. Potem widzę, jak jego barki drgają, jakby z trudem nabierał tchu, a na policzkach wykwitają czerwone plamy, rozlewają się na czoło i szyję.

Wydawało mi się, że widziałam już wszystkie formy jego gniewu. Oboje

z Jamesem już jako dzieci nauczyliśmy się odgadywać znaczenie najmniejszych zmian w wyrazie jego twarzy i postawie, żeby w odpowiedniej chwili zejść mu z oczu.

Ale czegoś takiego jak dzisiaj jeszcze nigdy nie widziałam.

Wpatruje się we mnie, mijają kolejne sekundy, a ja powoli cofam się o krok, bo nie mam pojęcia, co będzie dalej. Ku mojemu zdumieniu ojciec odwraca się w końcu i bez słowa wychodzi z pokoju.

Zatrząskuje za sobą drzwi tak energicznie, że wzdrygam się mimowolnie. Przyciskam dłoń do klatki piersiowej i oddycham głęboko. Czuję, jak szybko bije mi serce, krew buzuje w tętnicach.

Niecałe dziesięć sekund później drzwi otwierają się ponownie, tak mocno, że uderzają w ścianę i na pewno zostawią na niej rysę. Ojciec wraca do pokoju i staje przede mną.

– On wie? – pyta tak cicho, że ledwo go słyszę.

Nie spodziewałam się tego pytania, mija kilka sekund, zanim zdołam przecząco pokręcić głową.

– Nie, ja...

– Dobrze. – Nie daje mi dokończyć. Nie zaszczycając mnie kolejnym spojrzeniem, wielkimi krokami przemierza mój pokój. Podchodzi do garderoby, znika w małym pomieszczeniu. Słyszę głośny szelest.

Podchodzę bliżej i wpatruję się w ojca, który przed chwilą ściągnął z górnej półki jedną z moich największych walizek. Teraz sięga po torbę, którą energicznie ciska na ziemię. Kopnięciem otwiera walizkę i bez ładu wypełnia ją ciuchami z półek i wieszaków.

– Co ty wyprawiasz?

Nie reaguje. Jak w transie chwyta koszulki, bluzki, spodnie, bieliznę, torebki i buty. Włosy sterczą mu na wszystkie strony, plamy na twarzy i szyi stają się coraz ciemniejsze. Nawet kiedy walizka jest już pełna, nie przestaje, cały czas rzuca ciuchy na bezładną stertę na podłodze.

– Tato, co ty wyprawiasz?! – krzyczę i podchodzę bliżej, żeby powstrzymać go przed tym szaleństwem. Łapię go za ramię, ale wyrывa je. Wyczuwalna w nim wściekłość każe mi się cofnąć. W ostatniej chwili chwytam się framugi, żeby nie upaść.

W tym momencie do pokoju wpada James.

– Co tu się dzieje? – pyta. Widzę niepokój w jego oczach, gdy mierzy mnie wzrokiem, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. A potem dostrzega ojca. Szeroko otwiera oczy.



– Co ty wyprawiasz, tato? – pyta.

Ojciec odwraca się i patrzy na Jamesa.

– Wiedziałaś o tym?

James marszczy czoło.

– O czym?

– Po co ja w ogóle pytam. Oczywiście, że wiedział – mamrocze ojciec pod nosem. Przez chwilę wpatruje się w chaos, który stworzył, a potem pochyła się i energicznymi, nerwowymi ruchami wciska do torby te wszystkie ciuchy, które wylądowały na podłodze.

– Tato, dlaczego pakujesz moje rzeczy? – pytam ochryple.

– Wyprowadzasz się stąd. Natychmiast.

Zbiera mi się na mdłości.

– Słucham? – mówię z trudem.

James kładzie mi rękę na plecach, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest przy mnie.

– W tym roku brukowce wystarczająco dały się nam we znaki. Nie pozwolę, by dobre imię mojej firmy znowu narażono na szwank tylko dlatego, że byłaś tak głupia i pozwoliłaś, by jakiś nauczyciel zrobił ci dziecko! – Ostatnie słowa ojciec wykrzykuje mi w twarz.

Przysuwam się do Jamesa, czuję, jak zaciska dłoń na moich plecach. Niemal fizycznie wyczuwam, ile siły woli kosztuje go, by się teraz opanować.

Z wymuszonym spokojem usiłuję przemówić ojcu do rozsądku.

– Nie możesz udawać, że nic się nie stało.

Ojciec mocuje się z suwakiem torby. Strzępek materiału dostał się między ząbki. Rozlega się przykry trzask dartej tkaniny. Kulę się w sobie.

– I to jak mogę – sapie i gwałtownym gestem zamyka torbę. Ponownie pochyła się nad walizką. Klęka na jej wieku, ciągnie za suwak. – Pojedziesz do ciotki. I to natychmiast. Nikt nie może się dowiedzieć o... o twoim stanie.

Gwałtownie nabieram tchu.

– Co takiego?

– Nie możesz tego zrobić – szepcze James.

Ojciec zastyga w bezruchu. Patrzy na nas. To niemal komiczna scena, gdy tak klęczy na mojej srebrnej walizce, dysząc ciężko, z rozczochranymi włosami, w przepoconej koszuli.

– W tym domu tylko ja zachowałem zdrowy rozsądek. Naprawdę uważasz, że pozwolę być z tym... – wskazuje mój brzuch – nadal reprezentowała rodzinę? Masz pojęcie, w jakim nas to postawi światło? Nas i Beauforta?

– O to ci chodzi? – Głos Jamesa drży. – Tylko o to?

– Oczywiście. A niby o co jeszcze?

– Na przykład o twoją córkę, do jasnej cholery!

Ojciec prycha pogardliwie.

– James, nie bądź taki naiwny. – Przesuwa na mnie lodowate spojrzenie. – Lydio, trzeba było wcześniej ustalić sobie priorytety. W takim stanie do niczego nie jesteś rodzinie potrzebna.

Ściany mojego pokoju przybliżają się niebezpiecznie. Opieram się o Jamesa, obejmuję go rozpaczliwie.

– Nie możesz wysłać Lydii na wygnanie i udawać, że nie istnieje – rzuca James poruszony. Czuję, jak na moich plecach jego dłoń drży.

Ojciec wstaje, podnosi walizkę. Czerwony z gniewu chwytą rączkę, w drugą rękę ujmuje torbę podróżną i wielkimi krokami idzie w naszym kierunku.

James zastawia mu drogę.

– Odsuń się, James.

– Nawet jeżeli teraz odeślesz Lydię, najpóźniej za kilka miesięcy prawda i tak wyjdzie na jaw. Jej wyjazd teraz niczego nie zmieni, a tylko zniszczysz naszą rodzinę.

Mija sekunda, a potem ojciec upuszcza torbę, podnosi rękę i...

Reaguję instynktownie.

Gdy ojciec wymierza cios, zasłaniam Jamesa sobą. Trafia mnie w policzek i ucho, tak mocno, że głowa odskakuje mi w bok, a przed oczami tańczą czarne punkty. Słyszę szum w uszach, coraz głośniejszy, coraz intensywniejszy, i nagle tracę orientację. Tracę też równowagę, usiłuję chwycić się czegoś, dzięki czemu zdołam ustać. W momencie, gdy James mnie obejmuje, robi mi się czarno przed oczami.

Nie mam pojęcia, ile czasu minęło, zanim w końcu znowu odzyskałam przytomność. Sekundy czy może minuty? Wydaje mi się, że leżę na podłodze. Docierają do mnie jakieś głosy, potęgują ból w głowie. Pulsowanie w skroniach z każdą chwilą przybiera na sile. Usiłuję unieść powieki.

Ktoś klęka przy mnie i delikatnie chwytą za ramię. James. Wypowiada moje imię, raz za razem, coraz bardziej przerażony.

Mrugam i stopniowo świat nabiera wyraźnych konturów. Brat leży przy drzwiach mojej garderoby. Położył sobie moją głowę na kolanach i delikatnie gładzi moje barki. Szeroko otworzył oczy, ale widząc, że odzyskałam przytomność, oddycha z wyraźną ulgą. Ojciec stoi obok i patrzy na nas z góry, cały czas z walizką w dłoni.

Może tylko to sobie wmawiam, ale wydaje mi się, że także w jego oczach dostrzegłam coś na kształt ulgi. Jednak trwało to tylko ułamek sekundy, w następnej chwili wyjmuję komórkę z kieszeni spodni i unosi ją do ucha.

Patrząc mi w oczy, rzuca obojętnym tonem:

– Percival? Proszę wejść na piętro i znieść bagaże mojej córki do samochodu. Lydia się dzisiaj wyprowadza.

A potem już na nas nie patrząc, omija torbę i walizkę i wychodzi z pokoju.

Mam wrażenie, że ktoś położył dłonie na moim gardle i zaciska je powoli. Opuszkami palców dotykam miejsca, w które ojciec mnie uderzył, i nie jestem w stanie dłużej zapanować nad łzami.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze James i obejmuje mnie mocniej. – Niczym się nie przejmuj. Ze wszystkim damy sobie radę.

Niestety mam wrażenie, że po raz pierwszy w naszym życiu mój brat nie jest w stanie uchronić mnie przed tym, co przyniesie przyszłość.

## Ruby

– O co chodzi z tym samochodem? – pytam Wrena, gdy jedziemy w kierunku Pemwick. Ciszę przerywa jedynie muzyka, która przy akompaniamencie trzasków wydobywa się z wiekowych głośników. Nie wiadomo, kiedy zaczęło padać; obawiam się, że marne wycieraczki lada chwila odmówią posłuszeństwa. Albo odpadną. Przy każdym ruchu piszczą coraz głośniejsze. Wren jednak chyba już się do tego przyzwyczaił.

– W domu Fitzgeraldów doszło do pewnych zmian natury... finansowej – odpowiada po dłuższej chwili. – I tym sposobem stałem się dumnym właścicielem George’a.

Po raz kolejny rozglądam się po wnętrzu samochodu. Nie wygląda mi na George’a. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wygląda na samochód, któremu nadaje się imię. Siedzenia pokrywa brązowy sztruks, miejscami żałośnie przetarty, przesiąknięty zapachem papierosów i starości.

– Naprawdę nazwałś go George?

– Nie ja. Moja... przyjaciółka. – Wren skręca w lewo i majstruje przy pokrętle radia, jedynym sprzęcie, który wydaje się mieć mniej niż dwadzieścia lat. Ale i ono nie do końca sprawnie funkcjonuje, bo po każdym zakręceniu Wren musi na nowo szukać stacji z muzyką.

– Aha – odpowiadam, a potem znowu zapada cisza. Brakuje mi odwagi, by dopytać, co dokładnie ma na myśli, mówiąc o zmianach natury finansowej. Nie jesteśmy przecież przyjaciółmi. Nie łączy nas właściwie nic, poza tamtym zajściem w przeszłości i Jamesem. Niespokojnie wiercę się na siedzeniu. W takim razie właściwie dlaczego od razu wsiadłam do jego samochodu?

Wren zerka na mnie z ukosa, zaraz jednak wraca wzrokiem do drogi.

– Już od dawna chciałem z tobą porozmawiać, Ruby – mówi nagle.

Patrzę na niego nie spokojnie.

– Dlaczego?

– Bo zachowałem się wobec ciebie jak najgorszy dupek. Wtedy, na tamtej

imprezie. Już dawno powinienem był cię przeprosić. – Wren chrząka i znowu majstruje przy pokrętle radia, choć nigdzie nie skręcaliśmy i muzyka płynie nieprzerwanie. – Nie powinienem był tak postąpić. Byłem głupi i niedoświadczony. Z perspektywy czasu bardzo się wstydzę. Bardzo mi przykro.

To ostatnie, czego się spodziewałam, i chwilę trwa, zanim w pełni do mnie dotrze znaczenie jego słów. Z trudem przełykam ślinę. Wydaje się mówić szczerze, ale z drugiej strony jestem sceptyczna. Ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień.

– Na imprezie Cyrila totalnie zbiłeś mnie z tropu, gdy mi to przypomniałeś. Wtedy nie sprawiałeś wrażenia, że czegokolwiek żałujesz – zauważam.

– Wiem. Ja... Byłem podejrzliwy, gdy nagle zjawiłaś się z Jamesem na naszej imprezie, i chciałem się dowiedzieć, jak do tego doszło. I w tym wszystkim zrobiłem z siebie totalnego idiotę. Nigdy w życiu nie postąpiłbym tak jak wtedy, przed dwoma laty. Zmieniłem się. Mam nadzieję, że zdołam ci to udowodnić.

Wpatruję się w okno spod zmarszczonych brwi. Wśród pól migają zielone drzewa, gdzieniegdzie widzę małe domki.

– Wiesz, wtedy całowałabym się z tobą nawet bez alkoholu – mówię w końcu i patrzę na Wrena. Odwzajemnia moje spojrzenie, zaraz jednak wraca wzrokiem do przedniej szyby. – Naprawdę postąpiłeś nie w porządku. Powinieneś był mi powiedzieć, że to nie tylko sok.

– Żałuję tego, co zrobiłem, naprawdę. Wiem, jak bardzo Jamesowi na tobie zależy, i dlatego jesteś ważna także dla mnie. I mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz tamten wybryk.

Takiego w ogóle go nie znam. Nie wiem, przez co akurat przechodzi, ale najwyraźniej zmusiło go to do głębszych refleksji.

– Przeprosiny przyjęte – mówię po dłuższej chwili.

Krótko kiwa głową i ponownie zajmuje się prowadzeniem.

Zapada cisza i moje myśli odruchowo wracają do fotografii i zamasztyego B na kopercie zaadresowanej do dyrektora Lexingtona. Przypominam sobie wzrok Jamesa, gdy przyznał, że zrobił te zdjęcia.

Ufałam mu. Wierzyłam, że go znam, takiego, jaki jest naprawdę. Czy to możliwe, że aż tak bardzo się myliłam? Ale w takim razie dlaczego chciał, dlaczego miałyby mi to zrobić? Po tym wszystkim, co przetrwaliśmy w ciągu minionych miesięcy?

Im dłużej nad tym myślę, tym mniej poszczególne kawałki układanki do siebie pasują. Cała sytuacja jest całkowicie nierealna. Kiedy rano wstałam,

miałam w planie omówić kolejną imprezę z komitetem organizacyjnym i razem z Jamesem uczyć się w bibliotece. A teraz? Teraz siedzę w gracie Wrena Fitzgeralda, bo tylko on zaproponował mi pomoc.

– Czemu właściwie zależy ci, żebyśmy znowu z Jamesem byli razem? – pytam bardziej podejrzliwie, niż chciałam. Widzę, jak Wren napina mięśnie. – Źle to zabrzmiało – tłumaczę się szybko. – Chodzi mi tylko o to, że chyba cię wkurza, że spędza ze mną tyle czasu.

Wren włącza kierunkowskaz, skręcamy w kolejną boczną drogę. Jeszcze najwyżej dziesięć minut i dotrzemy do Jamesa. Kiedy tym razem muzyka milknie, Wren nie włącza jej ponownie.

– Nie chodzi o ciebie – odpowiada po dłuższej chwili. – Po prostu nie mieściło mi się w głowie, że po ponad piętnastu latach przyjaźni nagle nie jesteśmy już dla niego ważni.

– Nieprawda. Jesteście dla niego ważniejsi niż wszyscy inni.

Wren uśmiecha się pod nosem.

– Przez chwilę w to wątpiłem. Pewnie dlatego, że sam miałem mnóstwo rzeczy na głowie.

W zadumie kiwam głową.

– A poza tym... – Przez chwilę Wren szuka odpowiednich słów. – Jeszcze nigdy nie widziałem go takiego, jaki był w ciągu minionych tygodni. Mało kto o tym wie, ale od dawna był głęboko nieszczęśliwy. Jego ojciec to straszny dupek i choć James nigdy mi tego nie powiedział, wiem, że gdyby miał wybór, nigdy nie pracowałby w Beaufortie. Tego nie zmieni, ale odkąd cię poznał, jest bardziej... wyluzowany. Spokojniejszy.

Czuję, jak robi mi się ciepło na sercu.

– Chcę, żeby był szczęśliwy. – Wren zerka na mnie z ukosa. – A z tobą jest.

Szukam odpowiednich słów, on jednak jeszcze nie skończył.

– Kiedy Alistair powiedział mi, że cię zawieszono, i nagle zobaczyłem cię w Gormsey, chciałem wam po prostu pomóc. Nie mam żadnych niecznych zamiarów. Słowo honoru.

– Dobra.

– Poza tym... – Wren chrząka. – Coraz lepiej rozumiem Jamesa. Może to także ma z tym coś wspólnego.

Już mam na końcu języka pytanie, o co mu konkretnie chodzi, ale w tej chwili wjeżdżamy na posesję Beaufortów. Wren opuszcza okno od swojej strony i spodziewam się, że wciśnie dzwonek przy bramie, znajdujący się koło urzędnika z klawiaturą i kamerki, dzięki której w domu można zobaczyć



każdego odwiedzającego. Jednak ku mojemu zdumieniu wyjmuje ze schowka przy kierownicy kartę magnetyczną i przykładą do czytnika. Brama otwiera się powoli. Wjeżdżamy na podjazd.

Na widok limuzyny stojącej przy wejściu do rezydencji mój żołądek robi salto.

– Co tu się dzieje? – mamrocze Wren u mego boku.

Dopiero teraz dostrzegam otwarty bagażnik, do którego Percy właśnie wkłada wielką walizkę.

Z trudem przełykam ślinę. Coś jest nie tak.

Wren parkuje. Wsiadamy. W tym momencie w drzwiach staje Lydia. Ukryła twarz w dłoniach, jej barki drżą. James z poszarzałą twarzą obejmuje ją ramieniem. Szepcze jej coś do ucha. Lydia kiwa głową. Ten widok przypomina mi zdjęcia z pogrzebu. Przeszywa mnie dreszcz.

Wymieniamy z Wrenem niespokojne spojrzenia, a potem ruszamy w kierunku domu. Gdy dochodzimy do schodów prowadzących do drzwi wejściowych, w progu staje Mortimer Beaufort. Jego lodowate spojrzenie uderza mnie jak cios obuchem, jednak nawet on mnie nie powstrzyma, bym podbiegła do Lydii.

Na mój widok James otwiera szeroko oczy.

– Ruby – szepcze. – Co ty...

Potrząsam przecząco głową i delikatnie dotykam ramienia Lydii.

– Hej – szepczę.

Opuszcza dłonie. Jest zapłakana, ale nie to okazuje się najgorsze. Połowę jej twarzy pokrywa ogromny czerwono-niebieski siniak. Serce podchodzi mi do gardła. Odruchowo przesuwam wzrok na pana Beauforta.

Nawet nie mrugnie. Nie spodziewałam się, że mogłabym nienawidzić go jeszcze bardziej niż dotychczas, ale w tej chwili najchętniej rzuciłabym się na niego i zmusiła, by na własnej skórze odczuł cierpienie, o które przyprawia Lydię i Jamesa.

– Co się stało? – odzywa się Wren u mojego boku i wodzi wzrokiem między Jamesem i Lydią. – Po co te walizki?

Oboje wydają się w szoku.

– Lydio, już czas – rzuca spokojnie pan Beaufort. Mija nas i podchodzi do samochodu. Demonstracyjnie otwiera drzwi.

– Ojciec wie o ciąży. Ja... Mam się wyprowadzić – mówi Lydia z trudem. – Do ciotki.

– O ciąży? – Wren marszczy brwi.

– Jestem w ciąży – szepcze Lydia. – Z Grahamem Suttonem.

Wren wpatruje się w nią z szeroko otwartymi ustami, chce coś powiedzieć, zaraz jednak ponownie je zamyka. Najwyraźniej go zamurowało.

– Lydia! – rozkazuje pan Beaufort.

Wzbiera we mnie panika. Wracam wzrokiem do samochodu.

– Mogę jakoś pomóc? – pytam. Powietrze przesycą atmosfera pożegnania, a to coś, z czym sobie w ogóle nie radzę. Zwłaszcza gdy nadchodzi tak nieoczekiwane. – Naprawdę niczego nie mogę zrobić? – rzucam spanikowana.

Lydia przecząco kręci głową i ociera łzy z policzków.

– Nie. Odezwę się... Gdy tylko odzyskam komórkę.

– Dobrze.

Powoli wyzwała się z objęć Jamesa i rusza schodami w kierunku samochodu. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się równie bezradna.

– Ruby – mówi James cicho. Nasze spojrzenia się spotykają. Nieśmiało bierze mnie za rękę, przesuwając kciukiem po wierzchu mojej dłoni. – Przysięgam ci, to nie ja wysłałem te zdjęcia Lexingtonowi.

W mojej głowie kłębią się tysiące myśli, nie wiem, na czym mam się skoncentrować. James chyba czuje się podobnie.

– Posłuchaj, chciałbym ci wszystko wytłumaczyć, ale nie pozwolę, by Lydia sama jechała z ojcem do Beckdale. – Ściska moją lodowatą dłoń. – Proszę, zaufaj mi.

Myślę o wszystkim, co zbudowaliśmy w ciągu minionych miesięcy. O tym, jak sobie obiecaliśmy, że zawsze będziemy ze sobą szczerzy, że zawsze będziemy mogli na siebie liczyć i nie pozwolimy, by coś nas rozdzieliło.

To nie jest odpowiedni moment na poważną rozmowę. I choć jeszcze kilka godzin temu nie sądziłam, że zdołam jeszcze kiedykolwiek spojrzeć mu w oczy, teraz wiem, że jestem gotowa wysłuchać jego wyjaśnień.

– Nie będę czekać wiecznie – zaznaczam. – Bardzo mnie dzisiaj zraniłeś.

– Wiem i bardzo mi przykro. Ale proszę cię, ten jeden, ostatni raz – szepcze.

Kiwam głową i puszczam jego dłoń.

James patrzy na Wrena.

– Pozostali nie wiedzą o ciąży. Proszę, zachowaj to dla siebie.

Wren tylko kiwa głową.

A potem James zbiega ze schodów i razem z Lydią wsiada do samochodu. Percy zatrzaskuje drzwiczki i zajmuje miejsce w fotelu kierowcy. Przez ułamek sekundy nasze spojrzenia spotykają się nad dachem limuzyny. Percy wydaje się równie smutny jak ja.

Odpala silnik i po chwili samochód rusza. Odprowadzam go wzrokiem, póki

nie zniknie za bramą. Serce bije mi jak szalone.

– Cholera – rzuca Wren.

Mogę tylko bez słowa pokiwać głową.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpatrujemy się w miejsce, w którym zniknął rolls-royce. Potem Wren wzdycha.

– Chodź, oderwijmy od tego myśli.

## Alistair

Trening jest dzisiaj naprawdę fatalny. James, Wren i Cyril w ogóle nie przyszli, żaden z nich nawet nie dał znać trenerowi, co oczywiście wprawiło go w kiepski humor. Wykrzykuje polecenia i gania nas po całym boisku jak wariat. Kiedy po półtorej godziny wreszcie jest po wszystkim, wykończony, z ulgą idę w kierunku ławki, po butelkę z wodą, ale nie udaje mi się tam dotrzeć.

Kenton, jeden z nowych zawodników w drużynie, wpada na mnie z impetem. Nie spodziewam się tego, tracę równowagę i tylko cudem udaje mi się nie upaść. Posyłam mu groźne spojrzenie, on jednak odpowiada zadziornym wzrokiem. Jezu, to naprawdę ostatnia rzecz, której mi teraz potrzeba. Robię groźny krok w jego kierunku.

– Ej, Kenton, masz jakiś problem? – pytam.

– Z powodu twojej pieprzonej paczki trener dał nam dzisiaj taki wycisk – syczy i pluje mi pod nogi.

– A to moja wina, ponieważ...?

– Dopilnuj, żeby to się nie powtórzyło. Bo wiesz, są tacy, którym na tej drużynie naprawdę zależy.

Z tymi słowami oddala się w kierunku szatni. Sporo mnie kosztuje, żeby za nim nie pobiec i nie pokazać dosadnie, co sędzę o jego postawie. Zaciskam zęby, gwałtownie rozpinam rękawice. Ściągam je, byle jak wciskam do torby treningowej.

Wbrew sobie wędruję wzrokiem do bramki. Kesh właśnie zbiera piłki do jednej ze skrzynek.

W innych okolicznościach opisałbym mu tę sytuację z nowym. Kesh potrafi mnie zawsze uspokoić, wystarczy, żeby mnie wysłuchał.

Kiedy rozmawia się z Keshem, ma się wrażenie, że traktuje cię poważnie. Jest spokojny i opanowany, jego rady są zawsze przemyślane. Od początku była to jedna z cech, które najbardziej w nim ceniłem, zwłaszcza że sam jestem jego

całkowitym przeciwieństwem, wybuchowy i impulsywny. Uzupełniamy się idealnie; między innymi dlatego jest moim najlepszym przyjacielem, odkąd sięgam pamięcią. Był, poprawiam się w myślach.

Był moim najlepszym przyjacielem.

Czasami zastanawiam się, czy warto było się angażować. Być może gdyby nie tamto, udałoby się nam ocalić przyjaźń. A potem przypominam sobie wspólne chwile i powraca cień tamtych dreszczy, tamtych emocji, które we mnie wywoływał.

Ale to już koniec, zresztą nie widzę możliwości naprawy starych błędów. Kiedy kilka tygodni temu Kesh zaatakował mojego brata, kłótnia między nami przybrała niespotykane rozmiary. Powiedziałem mu, że nie mogę tak daleko funkcjonować i nie wytrzymam ani jednego dnia dłużej udawania, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, podczas gdy od dawna byliśmy raczej parą. Że chcę móc publicznie trzymać go za rękę i całować, kiedy wychodzimy z kumplami. A skoro nie może mi tego dać, chcę wrócić do punktu, w którym byliśmy zaledwie rok temu. Żebyśmy znowu byli najlepszymi przyjaciółmi. Tylko najlepszymi przyjaciółmi. Nikim więcej.

W odpowiedzi usłyszałem ciche: „w porządku”, które z jednej strony było jak policzek, z drugiej dawało mi cień nadziei, że przynajmniej naszą przyjaźń da się ocalić, bo sytuacja między nami jest wreszcie jasna.

Jednak bez względu na to, jak bardzo się staramy, by zachowywać się beztrąsko w swojej obecności, nic już nie jest takie jak dawniej. Między nami jest coś, czego nie mogę zignorować, i to coś narasta, im więcej czasu spędzam z Keshem.

Albo im dłużej się na niego gapię, czego powinienem natychmiast zaprzestać.

Przesuwam wzrok na skraj boiska, na moją torbę na ławce. Jedną ręką wyjmuję butelkę z wodą, drugą komórkę. Wren do mnie napisał.

*S.O.S. Mogę wpaść do ciebie z Ruby? U Beaufortów dzieje się coś złego, a przyda się nam chwila rozrywki.*

– Kurwa – mamroczę pod nosem. Jeszcze tylko tego mi brakowało.

– Co jest? – słyszę za sobą głos Kesha. Stoi w pewnej odległości, a mimo to włosy na karku stają mi dęba. Koncentruję się na odpisaniu Wrenowi, a potem wsuwam telefon do kieszeni torby.

– Wren i Ruby zaraz u mnie będą. – Odwracam się do niego. Patrzy na mnie. Sporo mnie kosztuje zapanowanie nad sobą, jak za każdym pieprzonym razem, gdy jest blisko.

– Ruby jest pewnie w fatalnej formie – mówi. Bierze swoją torbę z ławki

i razem idziemy w kierunku szatni. – Podobno kręciła z Suttonem i dlatego wyrzucono ją ze szkoły. – Sceptyczne nuty w jego głosie zdradzają, że nie wierzy w plotki.

– Na pewno nie kręciła z Suttonem.

Kesh posyła mi pytające spojrzenie.

– Przecież byłeś przy tym, gdy James robił te zdjęcia, prawda? – zauważam. Kesh jest świetnym obserwatorem. Nie mogło mu to umknąć.

– Tak, ale nie wyobrażam sobie, że przekazałby je dalej. Ta sprawa ma drugie dno.

Mruczę coś bez przekonania. James robił o wiele gorsze rzeczy niż wysłanie kilku kontrowersyjnych fotek, ale z drugiej strony nie wierzę, by zrobił coś, co tak bardzo zaszkodziłoby Ruby.

Odchrząkuję.

– Wpadniesz?

Keshav zatrzymuje się na korytarzu. Posyła mi pytające spojrzenie. Z luźnego kucyka, w który zawsze spina włosy przed treningiem, wysunęło się kilka niesfornych kosmyków. Najchętniej sam założyłbym mu je za uszy. Powstrzymuję odruch i tak mocno zaciskam dłonie na butelce z wodą, że plastik trzeszczy niebezpiecznie.

– A chcesz, żebym wpadł? – odpowiada.

Od ostatniej kłótni spędzamy razem mało czasu. Właściwie nie pamiętam, kiedy ostatnio naprawdę rozmawialiśmy, we dwóch, bez pozostałych kumpli. Ilekroć zostajemy sami, atmosfera się zagęszcza, a ja wycofuję się z obawy, że znowu popełnię błąd i zadowolę się jedynym, co Kesh może mi dać: skradzione pocałunki w ciemności i wieczna tajemnica.

Cały czas mam nadzieję, że wkrótce wszystko będzie jak dawniej i uda nam się na nowo zaprzyjaźnić. Nic więcej, ale też nic mniej. Kiwam więc głową, choć wiem, że wieczór w jego towarzystwie to nie najlepsze rozwiązanie dla mojego serca.

– Jasne, im więcej osób, tym lepiej. – Odwzajemniam jego spojrzenie. Na pewno wyczytał z mojego wzroku, co się ze mną dzieje. Takie rzeczy człowiek dostrzega po latach przyjaźni, zresztą Keshav to jeden z najbardziej empatycznych ludzi, jakich znam.

Czasami sobie myślę, że szkoda, że nie tym się kierowałem, zanim złamałem mi serce.

– W takim razie chętnie – odpowiada cicho.

– Super. – Chrząkam. – Dobrze.

– Idę pod prysznic – informuje i wskazuje łazienkę na końcu korytarza.

Czuję, jak robi mi się znowu gorąco, chociaż po treningu moje tętno zdążyło już mniej więcej wrócić do normy.

Mijam go szybko w drodze do szatni.

– Czekaam na zewnątrz – rzucam przez ramię.

Cały czas czuję na karku jego spokojne, mądre spojrzenie.

Ruby wygląda, jakby miała za sobą długi, ciężki dzień. Ledwie do mnie weszła, osunęła się na kanapę i od tej chwili nie ruszyła się z miejsca. Jest bardzo blada. Wszyscy mamy na sobie zwykłe ubrania, ona jedna jest ciągle w szkolnym mundurku. Wygląda naprawdę żałośnie. W każdym z nas wzbudza instynkty opiekuńcze.

Kesh włącza muzykę, ja idę do kuchni i szukam czegoś do jedzenia. Odkąd Elaine i Fred nie mieszkają z nami, rodzice zwolnili część personelu kuchennego i zrezygnowali z codziennych wspólnych posiłków. Tego ostatniego wcale nie żałuję. Zazwyczaj i tak siedziałem spięty, a rodzice rozmawiali głównie z Fredem, a przede wszystkim o Fredzie.

Teraz bywają dni, że w ogóle się nie widzimy, co jednak mnie specjalnie nie martwi. Lubię być sam. Przynajmniej nie muszę niczego udawać i ukrywać przed rodzicami, że ich postawa mnie rani.

Wyjmuję z lodówki przygotowaną wcześniej lasagne i wstawiam do mikrofalówki. Nakładam na talerze cztery spore porcje i wracam do siebie. Dwa talerze stawiam na stoliku przy kanapie, dla mnie i Ruby, kolejny podaję Wrenowi, a czwarty jest dla Keshy, który siedzi przy moim biurku i bawi się telefonem. Wracam na dół, przynoszę sztućce i szklanki.

– Proszę. – Podaję Ruby widelec.

– Dzięki. – Ma pusty, martwy głos.

Siadam koło niej na kanapie i zabieram się do lasagne. Jak zawsze po treningu umieram z głodu.

Kątem oka widzę, jak Ruby sięga po widelec i nieśmiało unosi go do ust, zaraz jednak go odkłada.

– Porozmawiamy o tym, co się wydarzyło? – pytam ostrożnie. – Czy udajemy, że nic się nie stało i gadamy o czymś innym?

Wren, który zajął miejsce na krześle naprzeciwko kanapy, podnosi głowę i patrzy na Ruby. Dziewczyna wzrusza ramionami, jakby było jej wszystko jedno.

– Mortimer wyrzucił Lydię z domu – wypala Wren.

Kesh gwałtownie unosi głowę.

– Co takiego?

– Chciałem zawieźć Ruby do Jamesa – tłumaczy Wren. – Ale kiedy tam przyjechaliśmy, bagażnik limuzyny nie domykał się od walizek, a Lydia płakała. A potem wszyscy wsiedli i odjechali.

– Kurwa – wyrywa mi się. – A co niby Lydia takiego zrobiła?

Ruby i Wren wymieniają znaczące spojrzenia i oboje natychmiast wbijają wzrok w swoje talerze. Najwyraźniej wiedzą coś, o czym nikt inny nie ma pojęcia.

– Napisałem Jamesowi, że jesteśmy u ciebie. – Wren udaje, że nie słyszał mojego pytania. – Przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł.

– Dobra. – Choć na samą myśl, jak w tej chwili musi czuć się Lydia, tracę cały apetyt, zjadam lasagne do końca. Odstawiam talerz na niski stolik o szklanym blacie, a potem zerkam z ukosa na Ruby. Nadal prawie nic nie zjadła. Machinalnie grzebie widelcem w talerzu.

– Słyszałem, co się dzisiaj wydarzyło – mówię cicho.

Podnosi głowę. Nietrudno zauważyć, ile wysiłku kosztuje ją panowanie nad sobą.

– Posłuchaj, byłem przy tym, jak James robił te zdjęcia – wyznaję. Jej oczy rozbłyskują gniewem, więc szybko mówię dalej, zanim mi przerwie. – Wyście się jeszcze wtedy w ogóle nie znali. Traktował je jak polisę ubezpieczeniową. Od tego czasu całkowicie stracił dla ciebie głowę. Nie wierzę, że miał cokolwiek wspólnego z tym, co się dzisiaj stało.

– Muszę to usłyszeć z jego ust.

– Rozumiem. – Kiwam głową.

Cisza między nami się przeciąga. W pewnym momencie Ruby odstawia talerz i rozgląda się po moim pokoju. Jej wzrok zatrzymuje się na oprawionej fotografii, na której James, Cyril, Wren, Kesh i ja stoimy w strojach do lacrosse, ubłoceni jak nieboskie stworzenia. Mimo to uśmiechamy się promiennie, a James, stojący pośrodku, triumfalnie unosi puchar mistrzowski, który właśnie wtedy zdobyliśmy po raz pierwszy. Do dziś pamiętam, jakie to było uczucie. Ogarnęła nas euforia.

Wracam wzrokiem do biurka. Keshav chyba tylko czekał, aż na niego spojrzę.

Gwałtownie podrywam się z kanapy.

– Muszę się napić – oznajmiam i podchodzę do barku, w którym trzymam zapasy alkoholu. Wyjmuję pełną do połowy butelkę whisky, nalewam płynu do trzech szklanek. Jedną stawiam przed Wrenem, z drugą podchodzę do Keshy, on

jednak przecząco kręci głową i zerka na butelkę z wodą, stojącą na biurku.

Nie wiem, co zrobić z dwiema szklaneczkami w dłoniach. A potem wracam do kanapy i zdecydowanie podaję jedną z nich Ruby.

Przygląda się jej podejrzliwie. Zakładam, że odmówi, ale ku mojemu wielkiemu zdumieniu bierze naczynie z mojej dłoni. Zanim zdążę wznieść toast, odrzuca głowę do tyłu i opróżnia szklankę kilkoma łykami.

Gwiżdżę z podziwem. Ruby wyciąga rękę ze szklanką i patrzy na mnie znacząco.

Po chwili wahania dolewam jej.

– Czy to na pewno jest dobry pomysł? – Wren wodzi wzrokiem między nami.

W tym momencie Kesh puszcza szybką, rytmiczną piosenkę.

– Nie – odpowiadamy z Ruby jednocześnie.

Opadam na kanapę i wznoszę toast.

– Za złe pomysły.

Po raz pierwszy tego popołudnia na ustach Ruby pojawia się blady uśmiech.



# 4

## Ruby

Muzyka pulsuje mi w żyłach, wypełnia mnie od stóp do głów, sprawia, że chcę się ruszać. Więc tańczę, bez namysłu. Daję się ponieść.

Fantastyczne uczucie.

Zdaję sobie sprawę, że dzisiejszy dzień będzie miał poważne konsekwencje, ale w tej chwili jest mi to absolutnie obojętne. Chcę rozkoszować się chwilą, póki to możliwe.

Obracam się wokół własnej osi. Alistair bije mi brawo.

– Whisky jest wspaniała – oznajmiam. Odwracam się do Alistaira, który podobnie jak ja tańczy po całym pokoju. Wznosi toast. Nie wiem, kiedy zamienił szklanekę na całą butelkę.

– Prawdziwszych słów dawno nie słyszałem – mówi. – Wiesz, Ruby, po alkoholu jesteś bardzo mądra.

– O, przepraszam. Ja zawsze jestem bardzo mądra.

Alistair uśmiecha się szeroko.

– I znowu masz rację.

Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, ale nagle Alistair wydaje mi się najwspanialszym człowiekiem na świecie. Teraz łączy nas nierozdzielna więź. Jakby po alkoholu wychodziły na jaw podobieństwa, których na trzeźwo nie potrafiłam dostrzec.

Wyjmuję komórkę z kieszeni żakietu.

– Wren, zrób nam zdjęcie. – Podaję mu telefon. Bierze go z uśmiechem.

– Gotowi?

– Momencik! – Alistair obejmuje mnie ramieniem. Razem uśmiechamy się do obiektywu. – Teraz!

– Trzy... dwa... jeden...

Wyzwalam się z objęć Alistaira, podchodzę do Wrena i patrzę na fotografię. Super, choć jednak nie udało nam się stać spokojnie i zdjęcie jest odrobinę poruszone.

– Dzięki. – Biorę telefon od Wrena i chcę go znowu schować do kieszeni.

– Masz jakieś dwieście wiadomości i nieodebranych połączeń – zauważa cicho. – Może spójrz na nie, zanim ludzie osiwieją z troski o ciebie.

Powaga w jego głosie przedziera się przez alkoholową mgłę. Zastygam w bezruchu. Po chwili wahania ponownie wydaję telefon. Wyświetlacz faluje mi przed oczami, mrugam kilkakrotnie, zanim udaje mi się odczytać informacje na ekranie: pięć nieodebranych połączeń od Ember i Lin, trzy od rodziców. W sumie siedem.

– Cholera – mamrocę.

Zataczam się lekko, gdy usiłuję otworzyć pierwszą wiadomość.

*Słyszałam, co się stało. Chcesz pogadać? Przyjechać do ciebie?*

Czytając słowa Lin, z trudem przełykam ślinę. Zdaję sobie sprawę, że powinnam jej odpisać, ale w tej chwili nie jestem w stanie tego zrobić. Po raz pierwszy od wizyty w gabinecie dyrektora nie obawiam się, że lada moment zaleję się łzami. Alkohol pomógł mi wyprzeć ten straszny dzień z pamięci, a rozmowa z Lin oznacza drobiazgową analizę wszystkich wydarzeń. Podobnie byłoby z Ember, która także do mnie napisała.

*Przepraszam, byłam zajęta! Co się stało? Gdzie jesteś?*

W tej chwili nie chcę myśleć o problemach, które czekają na mnie w domu. Nie wiem, co przyniesie przyszłość. W tej chwili nawet nie chcę tego wiedzieć.

Potrząsam głową, nie czytam pozostałych wiadomości i ponownie wsuwam telefon do kieszeni. Unikam zmartwionego wzroku Wrena, zdejmuję żakiet i ciskam beztrąsco na kanapę. A potem podwijam rękawy bluzki.

Alistair podchodzi do mnie, chwyta za rękę i obraca, jakby wyczuł moją zmianę nastroju. Uśmiecham się wbrew sobie. Obraca mnie kolejny raz. Odwzajemnia uśmiech. Jakby doskonale wyczuwał, czego w tej chwili potrzebuję. Może on także musi się z czymś uporać, myślę sobie, gdy podążam za jego spojrzeniem, które po raz kolejny tego popołudnia spoczywa na plecach Keshava.

Po raz pierwszy od dawna, a może po raz pierwszy w ogóle, daję się ponieść. Zamykam oczy i poruszam się w rytm muzyki. Nie myślę o tym, co się dzisiaj wydarzyło, pozwalam, by Alistair pomógł mi o wszystkim zapomnieć. W pewnym momencie w ogóle już nie myślę, poruszam się mimowolnie. Prawie nie rejestruję fragmentów rozmów Wrena i Keshava, otacza mnie tylko muzyka i swoboda, którą daje alkohol.

Nie mam pojęcia, jak długo tańczyliśmy z Alistairem. Straciłam poczucie czasu, a także orientację, ile whisky właściwie wypijałam.

– Jeszcze łyczek? – pyta Alistair i unosi butelkę. Już podsuwam mu moją szklaneczkę, gdy za naszymi plecami rozlega się nowy głos.

– Co tu się dzieje?

Odwracam się gwałtownie. W progu pokoju stoi James. Zapewne Wren wpuścił go do domu, bo chwilę później staje tuż za nim.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, żeby było jasne – mamrocze, mija Jamesa i podchodzi do fotela, na którym siedział poprzednio.

James patrzy mi w oczy i przez chwilę widzimy tylko siebie. W jego spojrzeniu malują się najróżniejsze emocje.

Wyrzuty sumienia. Wściekłość. Smutek. Strach.

Serce ściska mi się boleśnie. Najchętniej podbiegłabym do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Z drugiej strony chcę na niego wrzeszczeć, chcę się w końcu dowiedzieć, kto spreparował fotografie mnie i pana Suttona i wysłał dyrektorowi.

– Wbijaj, stary – mówi Alistair. James przekracza próg. Idąc, rozpina płaszcz, nonszalancko przerzuca go sobie przez ramię. Pamiętam go. Miał na sobie ten sam szary płaszcz, gdy przedstawiłam go moim rodzicom. Na to wspomnienie gula staje mi w gardle.

Zatrzymuje się przy nas. Patrzy na mnie niepewnie.

– Hej.

– Hej.

Krzywi się lekko, widząc szklaneczkę w mojej dłoni.

– Cuchniecie whisky.

– Doprawdy, przyjacielu, masz imponujący zmysł węchu – zauważa Alistair.

– Zapiliśmy z Ruby smutki.

James nie reaguje. Wskazuje głową kanapę i pytająco unosi brwi. Waham się tylko chwilę.

Po poprzedniej euforii nie ma śladu, whisky już mnie nie uskrzydla, teraz wydaje się gorącym, nieprzyjemnym ciężarem w żołądku.

Kesh ścisza muzykę. Siadamy. James rzuca płaszcz na ziemię, odchyła się i ukrywa twarz w dłoniach. Wydaje się bardzo zmęczony, kiedy w końcu odwraca się do mnie i patrzy ciemnymi oczami.

– Zrobiłem te zdjęcia – zaczyna. – Na pierwszej imprezie po wakacjach. Wtedy jeszcze się nie znaliśmy.

Potakuję.

– Nie wiedziałem, co zrobisz z tym, co wiedziałaś o Lydii. Uważałem, że muszę mieć na ciebie haka.

– Co wiedziała o Lydii? – pyta Kesh. Zamyślony marszczy brwi. James wzdycha głośno.

– To nie Ruby miała romans z Suttonem.

Alistair opuszcza rękę z butelką.

– Lydia i Sutton? – pyta z niedowierzaniem. Choć wypił co najmniej dwa razy więcej niż ja, zadziwiająco szybko bierze się w garść. – Naprawdę?

– I dlatego waszemu ojcu tak odbiło? – domyśla się Keshav.

– Tak. – Chwila ciszy. – A także dlatego, że Lydia jest w ciąży.

– James! – wyrywa mi się. Jak może tak po prostu wypaplać jej tajemnicę? Zaraz jednak dociera do mnie, że nie powiedziałby tego, gdyby nie miał jej pozwolenia. Wiedziała zapewne, że tu przyjedzie i będzie chciał z nami rozmawiać.

James przykrywa moją dłoń swoją, ścisza lekko. Przesuwa kciukiem po mojej skórze.

– Lydia prosiła, żebym wam powiedział – zwraca się do Alistaira i Keshy. – Ojciec wyrzucił ją z domu i wysłał do ciotki, do Beckdale. – Czuję, jak cały się spina.

– Kurwa – rzuca Alistair. Podsuwa Jamesowi butelkę, ten jednak przecząco kręci głową.

– Jakim cudem on się o tym w ogóle dowiedział? – Wren marszczy czoło w namyśle.

– Od Cyrila. – James niemal wypluwa to imię.

Zdumiona odrywam wzrok od naszych splecionych palców. To także dla mnie coś nowego.

– Co takiego? Jak to?

– W sobotę widział Lydię z Suttonem. Wyobrażacie sobie, jak na to zareagował, przecież wszyscy wiemy, od jak dawna się w niej kocha. Byłem później u niego, żeby o tym pogadać, i wtedy ukradł mi komórkę. – James kręci głową z niedowierzaniem, jakby ciągle tego nie pojmował. – Chciałem przy nim być, a on bezwstydnie to wykorzystał. Przekazał zdjęcia mojemu ojcu, aby ten dopilnował, żeby Sutton na zawsze zniknął z życia Lydii. – Patrzy na mnie. – A ty z mojego.

A zatem stąd zamaszyste B na kopercie.

Mortimer Beaufort kazał podrasować fotografie moje i pana Suttona i przesłał je do dyrektora Lexingtona, żeby pozbyć się nas obojga.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – mówię ochryple.

– Nie wierzę – mamrocze Wren pod nosem. – Nie wierzę, że Cyril upadł tak

nisko.

– Nieszczęśliwie zakochany człowiek może się posunąć do niesłychanym rzeczy – zauważa Keshav z ponurą miną.

– I co teraz? – pyta Alistair. – Nie możemy przecież pozwolić, żeby Lydię wygnano na koniec świata, a Ruby wywalono ze szkoły.

Z każdą chwilą coraz bardziej go lubię.

– Muszę namówić Cyrila, żeby powiedział prawdę – decyduje James. Odwraca się do mnie. – Pojedziesz do Oksfordu. – Mówi to stanowczo, jakby był święcie przekonany o słuszności swoich słów. – Choćbym nie wiem co musiał zrobić.

Zanim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, odzywa się Wren:

– Możesz na nas liczyć.

Keshav i Alistair pomrukują twierdząco.

Patrzę na Jamesa, który z kolei przygląda się przyjaciółom. Widzę wdzięczność w jego oczach i wyraźnie wyczuwam więź, która powstała w ciągu wieloletniej znajomości. Od całej czwórki emanuje wzajemne zaufanie i bezwarunkowa lojalność. I nagle moja sytuacja nie wydaje mi się już tak totalnie beznadziejna, jak jeszcze kilka godzin temu.

## James

Pulsowanie w moich skroniach z każdą godziną staje się coraz bardziej nie do zniesienia. Nawet tabletkę, którą Alistair wygrzebał z apteczki swojej mamy, nie pomogła. Przeciwnie, mam wrażenie, że ból głowy nasila się, im dłużej stoję na nogach.

Nie chcę jechać, cały czas mam w uszach szloch Lydii. Te słowa od kilku godzin nie dają mi spokoju. *Nie pozwól mu mnie odesłać, James.*

Uciskam palcami nasadę nosa, żeby zmniejszyć ciśnienie w oczach. Niestety, nie pomaga.

Zawiodłem na całej linii, jako brat i jako chłopak. Gdyby to było możliwe, pojechałbym do Beckdale zamiast Lydii. Gdyby to było możliwe, oddałbym Ruby swoje miejsce w Maxton Hall, żeby mogła dokończyć naukę. Niestety w tej chwili myślenie życzeniowe niewiele pomoże.

– James – słyszę szept Ruby.

– Tak?

– Wyleciałam ze szkoły.

Pochyliam głowę, szukam jej wzroku. Z ulicznych latarni pada akurat tyle światła, żebym dostrzegł jej rozszerzone źrenice i zarumienione policzki. Poprosiłem Percy'ego, żeby wysadził nas przy wjeździe do Gormsey, w nadziei że krótki spacer otrzeźwi ją przynajmniej częściowo. Gdyby zjawiała się w domu w takim stanie, w jakim zastałem ją u Alistaira, z pewnością byłbym spalony w oczach jej rodziców.

Jej ciało przeszywa lekki dreszcz. Nie zastanawiam się długo, ściągam płaszcz i otulam ją ciepłym materiałem. Brakuje mi słów. Jestem w stanie tylko pocierać jej ramiona i usiłować ją rozgrzać.

Wydaje dziwny odgłos, który w zamierzeniu był chyba śmiechem, ale po drodze przerodził się w szloch.

– Wyleciałam ze szkoły. Rozumiesz?

Serce ściska mi się boleśnie. Nie. Nie rozumiem. Nie chcę tego zrozumieć. Tak samo jak nie chcę przyjąć do wiadomości, że to wszystko moja wina. Czy Ruby zdoła kiedykolwiek spojrzeć mi w oczy, gdy otrzeźwieje i w pełni zda sobie sprawę, że to ja spowodowałem jej nieszczęście?

– Nie mam pojęcia, co robić – szepcze niewyraźnie. – Z taką adnotacją w papierach nie przyjmą mnie do żadnej szkoły. A bez ukończenia szkoły nie mam szans na studia. Będę musiała poszukać pracy, żeby nie obciążać rodziców. – Choć mruga rozpaczliwie, łzy i tak płyną. Ruby gwałtownie nabiera tchu. Czuję, jak udziela mi się jej ból.

– Bardzo mi przykro, że znowu cię zawiodłem – mówię z przejęciem. Odgarniam jej włosy z oczu, zakładam za ucho, przesuwam kciukiem po jej policzku, wycieram łzy. – Mówiłem poważnie u Alistaira. Zrobię wszystko, co mojej w nocy, żebyś dostała się do Oksfordu. Obiecuję ci to.

Żadna obietnica w całym moim życiu nie była tak ważna, jak ta teraz.

Uzucie do Ruby rozwijało się powoli, aż w końcu dopadło mnie jak burza. W jej wypadku nie ma mowy o maskach i fasadach, przy niej jestem naprawdę sobą, i to właśnie mnie przeraża. Nie zniósłbym jej utraty po raz kolejny. Nie po tym, jak pokonaliśmy tyle przeszkód. Nie teraz, gdy wiem, że jest najlepszym, co mnie kiedykolwiek spotkało.

– Odkąd cię znam, w moim życiu panuje cholerny chaos – mówi ochryple. – Nie wiem, jak mogę ci uwierzyć.

Czuję, jak moja dłoń drży na jej policzku.

– Rozumiem. Póki ci się to nie uda, będę wierzył za nas dwoje.

Ruby z trudem przełyka ślinę, a potem powoli, jak w zwolnionym tempie, kładzie mi głowę na ramieniu. Oddycha głęboko, wtulona we mnie, jakbym

w tej chwili był jej jedyną ostoją. Nie wiem, czy naprawdę we mnie wierzy, czy zmęczył ją alkohol. Ale i tak unoszę dłoń i głaszczę ją po włosach.

Kiedy jest przy mnie, nie mam wrażenia, że dźwigam na barkach ciężar całego świata. Nie, wtedy wydaje mi się, że trzymam cały świat w ramionach.

## Ruby

Budzi mnie ciche pochrapywanie. Ocieężała, odwracam się na bok i widzę koło siebie Ember. Leży z ręką za głową, z rozchylonymi ustami.

Skąd się wzięła w moim łóżku?

Nie pamiętam, kiedy ostatnio razem spałyśmy. Dawniej w weekendy często urządziłyśmy pizama party i zasypiałyśmy, nie umywszy zębów, na łóżku pełnym okruszków po chipsach.

Przez mniej więcej trzydzieści sekund trwam w tym cudownym stanie, gdy człowiek już się obudził, ale jeszcze nie do końca odzyskał przytomność i rzeczywistość nie zdążyła zaatakować. Ale wtedy odczuwam nieprzyjemny posmak w ustach i wspomnienia poprzedniego dnia dopadają mnie z całą siłą.

Przeszywa mnie zimny dreszcz, serce gwałtownie rzuca się w klatce piersiowej. To wszystko wydarzyło się naprawdę. Zostałam zawieszona w prawach ucznia, ojciec Lydii wyrzucił ją z domu, piłam whisky z Alistairem Ellingtonem, a potem James odprowadził mnie do domu i obiecał, że wszystko naprawi.

Odruchowo przesuwam wzrok na korkową tablicę nad biurkiem. Z tej odległości nie mogę niczego przeczytać, ale te słowa znam już na pamięć.

Robi mi się niedobrze.

– Obudziłaś się – rozlega się u mojego boku zaspany, ochryply głos mojej siostry.

Mruczę twierdząco.

Ember opiera się na łokciu.

– Gdzie wczoraj byłaś? Rodzice odchodzili od zmysłów ze strachu.

– Mogłabym cię zapytać o to samo – odpowiadam. Odwracam się w jej stronę. – Chciałam odebrać cię ze szkoły, ale Maisie powiedziała, że w ogóle cię nie było.

Ember otwiera i zamyka usta. Rumieni się, ale nie odwraca wzroku. W końcu wzdycha głośno.



– No dobra, byłam na wagarach. Mam trochę problemów z matką i musiałam chwilę odsapnąć.

Przyglądam jej się spod ściągniętych brwi. Znam ją całe życie i doskonale wiem, kiedy coś przede mną ukrywa. Nie chcę naciskać – przecież ma prawo do tajemnic. Ale też nic nie mogę poradzić na niepokój, który mnie w tej chwili ogarnia. Unoszę się odrobinę, zanim jednak zdążę coś powiedzieć, Ember dodaje szybko:

– Tylko proszę, nie mów nic rodzicom.

Nie odpowiadam, ciągle patrzę jej w oczy.

– Proszę cię, Ruby.

– Niczego im nie powiem – mówię w końcu cicho. – Ale jeżeli potrzebujesz pomocy, w matmie czy czymkolwiek innym... Powiesz mi, prawda?

Kiwa głową.

– Tak jest.

W pokoju zapada nieprzyjemna cisza.

– To prawda? – pyta wreszcie nieśmiało. – Naprawdę cię zawiesili?

Siadam gwałtownie. Czarne punkty tańczą mi przed oczami, ukrywam twarz w dłoniach, a potem powoli kiwam głową.

W tej chwili rozlega się ciche pukanie do drzwi i mama zagląda do mojego pokoju. Usiłuję wyczytać coś z wyrazu jej twarzy, ale robi wszystko, co w jej mocy, by niczego nie dać po sobie poznać.

– Mamo... – zaczynam, ale przerywa mi ruchem głowy.

– Prosimy z ojcem, żebyście zeszły na parter – mówi beznamiętnym głosem. – Musimy wszyscy poważnie porozmawiać.

Znika za drzwiami. Po chwili słyszę jej kroki na schodach. Ziewam, przecieram oczy. Ember także siada na posłaniu.

Czuję na sobie jej wzrok, wiem, że czeka na odpowiedź.

Bez słowa wstaję i idę do łazienki. Energicznie szoruję zęby, żeby pozbyć się nieprzyjemnego posmaku, myję twarz. Zbieram włosy w końskich ogon, czeszę się najszybciej, jak potrafię. Po mnie do łazienki wchodzi Ember. Poranna rutyna sprawia, że odruchowo sięgam po szkolny mundurek, ledwie otworzę drzwi szafy. Cofam rękę nagle, jakby granatowa marynarka mnie parzyła. Chwilę trwa, zanim opanuję atak paniki, który czai się tuż-tuż, a potem odsuwam wieszak z mundurkiem i biorę czarną spódnicę i beżową bluzę oversize.

Rodzice siedzą przy stole, kiedy razem z Ember wchodzimy do kuchni. Gdyby to był zwykły poranek, powitaliby nas ze śmiechem. Pytaliby, jakie

mamy plany na ten dzień, opowiadali o swoich, a tymczasem śniadanie znikaloby ze stołu. Teraz patrzą na nas wzrokiem bez wyrazu, gdy siadamy naprzeciwko nich. Ciszę wypełnia jedynie bulgotanie ekspresu do kawy.

Rodzice wymieniają szybkie spojrzenia, komunikują się bez słów. A potem tata patrzy na mnie.

– Co się wczoraj wydarzyło, Ruby? – pyta.

Zirytowana wodzę wzrokiem między nimi.

– Mama na pewno już ci wszystko powiedziała.

– Mimo to wolałbym usłyszeć to od ciebie.

W oczach taty nie ma rozczarowania, które wczoraj widziałam we wzroku mamy. I dlatego zamiast patrzeć na niego, wolałabym wbić wzrok w rysę na kuchennym stole.

– Zostałam... Zostałam zawieszona w prawach ucznia – wyduszam w końcu.

– Dlaczego?

Z całej siły zaciskam zęby. Pokrywam się nieprzyjemną gęsią skórką, moje dłonie nagle są zimne i mokre. Jeszcze nigdy nie czułam się tak w towarzystwie rodziny. Najchętniej uciekłabym z powrotem do swojego pokoju.

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć, tato – mówię. – Że to prawda? Że chciałam poprawić sobie stopnie przed Oksfordem i dlatego całowałam się z nauczycielem historii?

U mojego boku Ember niespokojnie wierci się na krześle. Nie jestem w stanie spojrzeć ani na nią, ani na rodziców, błądzę wzrokiem po naszej kuchni. Zatrzymuję się na zegarze na przeciwległej ścianie.

Za pięć minut podjedzie szkolny autobus. Patrę na zegar zaskoczona. Zazwyczaj o tej porze już dawno czekałam na przystanku z plecakiem na ramieniu. A teraz siedzę w kuchni i wysłuchuję tych pytań.

– Nie, nie to chcę od ciebie usłyszeć – mówi tata spokojnie. – Owszem, chcę wiedzieć, o co chodzi z tymi fotografiami. Ale przede wszystkim chcę poznać twoją wersję.

Patrę na niego zaskoczona.

– Wczoraj nie dałam ci ku temu okazji i bardzo mi z tego powodu przykro – wtrąca się mama. – Ta sytuacja mnie przerosła. Kiedy siedziałam w gabinecie dyrektora i patrzyłam na zdjęcia... Uwierzyłam we wszystko, co mi powiedział pan Lexington, a tobie w ogóle nie dałam dojść do słowa.

Wstrzymuję oddech.

– Bardzo mi przykro, Ruby.

Nagle czuję pieczenie pod powiekami. W gardle rośnie mi gęsia gęsia, daremnie

usiłuję ją przełknąć. Nic z tego.

– Ale nie możesz tak po prostu zniknąć. – Jej głos przechodzi w nerwowy szept. – Umieraliśmy ze zmartwienia.

– Źle się stało, że nie mogłaś wczoraj na nas liczyć – dodaje ojciec. – Chcielibyśmy, żebyś nam wyjaśniła, co właściwie się stało.

Choćbym nie wiem, ile razy mrugała, łzy nie znikają. Po mojej lewej stronie Ember lekko gładzi mnie po plecach. Tak się cieszę, że w tej chwili jest przy mnie.

Mama nalewa mi herbaty, przesuwa filiżankę w moją stronę. Ocieram łzy, otaczam dłońmi ciepłą porcelanę. Stopniowo zimno ustępuje. Rodzice dają mi czas, żebym pozbierała myśli. Zastanawiam się szybko, co mogę im opowiedzieć. Czy nadużyję zaufania przyjaciół, opowiadając najbliższym o ich problemach? Ale teraz ta sprawa nie dotyczy już tylko Lydii i Jamesa, lecz także mnie. I choć są dla mnie bardzo ważni, nie mogę dłużej ryzykować dobrych relacji z rodzicami.

– Wszystko zaczęło się tamtego dnia, gdy poszłam do pana Suttona po referencje – zaczynam po dłuższej chwili. – We wrześniu zeszłego roku.

Rodzice słuchają mnie w skupieniu. I nagle ta sytuacja wcale już nie wydaje mi się przerażająca. Przeciwnie, mam wrażenie, że znajduję się w bezpiecznym schronieniu, w którym wreszcie mogę powiedzieć całą prawdę. I dlatego mówię dalej.

– Wydawało mi się, że byliśmy umówieni. Ale kiedy weszłam do jego gabinetu, nie był sam.

Na początku idzie mi ciężko, ale z czasem słowa płyną coraz łatwiej. Kiedy opowiadam, że te fotografie to sprawka Cyrila i ojca Jamesa, mama chwyta ojca za rękę.

– Mortimer Beaufort nie ma żadnych skrupułów – mówię ochryple. – Dla reputacji rodziny zrobiliby wszystko.

– I nie obchodzi go, że przy okazji niszczy inną rodzinę. – Mama kręci głową. – Co za okropny człowiek.

– Okropny człowiek? Mnie tam przychodzą do głowy znacznie gorsze określenia – prycha tata. Na jego czole pojawił się mars.

– Jakim cudem taki potwór spłodził tak cudowną osobę jak Lydia? – dziwi się Ember.

Mówiłam tak długo, że całkiem zabrakło mi tchu. Upijam łyk herbaty z nadzieją, że gula, która ciągle tkwi mi w gardle, wkrótce zniknie.

W kuchni zapada cisza. Jednak teraz nie wydaje mi się przytłaczająca, raczej

pełna zadumy.

– Nie mieści mi się w głowie, że trzymałaś to wszystko w sobie i nikomu się nie zwierzyłaś – mówi w końcu ojciec. Zdejmuje okulary, pociera nasadę nosa.

Moja herbata już całkiem wystygła. Odstawiam filiżankę.

– Nie chciałam nadużyć zaufania Lydii i Jamesa.

– Ale teraz już nie chodzi tylko o nich – zauważa Ember. Wczoraj doszłam do tego samego wniosku.

– Ta sprawa nas przerosła. Nie mam pojęcia, w jaki sposób mam udowodnić dyrektorowi, że mówię prawdę. Pan Beaufort jest członkiem rady rodziców, co roku przekazuje na rzecz szkoły ogromne sumy, podobnie jak rodzice Cyrila. Kiedy dojdzie do sytuacji słowo przeciwko słowo, wiadomo, komu uwierzy.

– Ale istnieją chyba oryginały tych zdjęć? – pyta mama.

– Skasował je. Jeżeli jeszcze gdzieś są, to tylko u niego albo u pana Beauforta.

– Zresztą, nawet jeśli uda nam się je znaleźć, niby jak Ruby ma udowodnić, że akurat to są oryginały, a nie przerobione zdjęcia?

– To wszystko na nic. – Tata kręci głową. – Musimy porozmawiać z twoim dyrektorem i wszystko mu powiedzieć.

– Nie! To niemożliwe. Nie mogę zdradzić tajemnicy Lydii. Ojciec i tak już wyrzucił ją z domu. Jak myślicie, co zrobi, kiedy prawda wyjdzie na jaw?

Przypominam sobie wszystko, co James mówił o ojcu. Przypominam sobie chłód w oczach pana Beauforta, rozciętą wargę Jamesa, siniak na twarzy Lydii.

– Tato, on jest nieobliczalny.

Mama pochyla się nad stołem i chwyta moje rękę.

– Ruby, to godne podziwu, że chcesz chronić przyjaciół, ale tutaj chodzi o twoją przyszłość.

– Posłuchaj, ja naprawdę nie mogę tego zrobić Lydii. Liczę, że James przekona Cyrila, żeby wyznał Lexingtonowi całą prawdę.

Mama wzdycha ciężko i patrzy na tatę. Ma zaciętą minę.

– I tak musimy porozmawiać z dyrektorem. – Już otwieram usta, by zaprotestować, on jednak ucisza mnie gestem. – Nie powiemy mu niczego o Lydii, ale chcę, żeby sprawdził autentyczność fotografii.

Zaciskam usta w wąską kreskę. Choć cudownie jest móc powiedzieć rodzicom prawdę, niepokoję się, że w tej kwestii jesteśmy innego zdania.

– Proszę, niech James najpierw spróbuje porozmawiać z Cyrilem, zanim cokolwiek zrobimy – mówię błagalnie.

Rodzice wymieniają spojrzenia.

– Ufasz mu na tyle? – pyta mama cicho. – Przecież to on zrobił te zdjęcia.

Spinam się wbrew sobie. Oczywiście, mama ma rację. Obiektywnie rzecz biorąc, nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym składać swoją przyszłość akurat w jego ręce.

– To nie tak jak myślisz, mamó. – Nieoczekiwanie Ember śpieszy mi z pomocą. – James jest w niej naprawdę zakochany. Nigdy w życiu nie skrzywdziłyby jej celowo.

Rumienię się po uszy. Patrzę na siostrę, a ona tylko wzrusza ramionami.

– Każdy by się zorientował po minucie w waszej obecności.

Mama zerka na tatę, który ciągle nie wydaje się zadowolony.

Wstrzymuję oddech.

– Damy mu tydzień – decyduje tata. – Potem idziemy do Lexingtona. Przez ostatnie lata za ciężko harowałaś, żeby twój wysiłek zniweczyło kilka kłamstw. – Jego głos drży z powstrzymywanej złości, zanim jednak któraś z nas skomentuje jego decyzję, chwytą za koła wózka inwalidzkiego i wyjeżdża z kuchni.

Mama ściska moją dłoń.

– Dziękuję, że nam wszystko powiedziałaś.

Z trudem przełykam ślinę.

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi wczorajszą reakcję. Nie miałam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

– Wiem. – Odwzajemniam jej uścisk. – Już dobrze, mamó.

Wstaje, pochyla się i całuje mnie w czubek głowy, a potem wychodzi w ślad za ojcem.

Uczucie ulgi, które wypełniało mnie przed chwilą, powoli znika. Stopniowo jego miejsce zajmuje zmęczenie. Kładę głowę na ramieniu siostry. Delikatnie gładzi mnie po włosach.

– Przynajmniej dzięki tobie nie wyszło na jaw, że poszłam wczoraj na wagary – mamrocze.

Resztkami sił wymierzam jej kuksańca.

## James

Kładę palec na guziku dzwonka, ale nie jestem w stanie go nacisnąć. Wydaje mi się, że moje nadgarstki otaczają niewidzialne kajdany i powstrzymują mnie przed tym ruchem.

A przecież już nie po raz pierwszy stoję przed domem Ruby. Nie po raz pierwszy denerwuję się na myśl o spotkaniu z nią i jej rodzicami. Jednak po wydarzeniach z minionych dwudziestu czterech godzin nie mam pojęcia, co mnie czeka w tym domu. Jak mam spojrzeć w oczy jej rodzicom, co powiedzieć? To samo czuję, myśląc o niej. A jeżeli jednak ciągle nie jest gotowa, żeby mi wybaczyć, i znowu każe mi odejść?

Na samą myśl mój żołądek ściska się boleśnie. Chyba nigdy w życiu nie denerwowałem się tak bardzo, jak w tej chwili.

Ale nie mogę też odejść. Dałem Ruby słowo, że już nie wspomnę o tym, że Lin zabiłaby mnie, gdybym – zgodnie z umową – nie przekazał Ruby notatek.

Głęboko nabieram tchu, a potem zbieram się w sobie i naciskam guzik dzwonka. Trzydzieści sekund później drzwi otwierają się powoli. Ojciec Ruby patrzy na mnie twardym, nieprzeniknionym wzrokiem. Jego determinacja przywodzi mi na myśl Ruby. Chrząkam głośno.

– Dzień dobry, panie Bell – zaczynam.

– James. – Kiwa mi głową. Widać od razu, że nie jest zachwycony moją wizytą.

– Chciałem zostawić Ruby pracę domową, a także notatki z zajęć, na których dzisiaj nie była. – Jako dowód unoszę plik kartek.

Mijają sekundy. Pan Bell bez słowa mierzy mnie wzrokiem. Wytrzymuję jego spojrzenie tak samo, jak zawsze usiłuję wytrzymać wzrok Ruby.

– Wejź – mówi w końcu i przesuwają się z wózkiem inwalidzkim na bok, żebym mógł wejść do środka. Znajduję się w wąskim przedpokoju, w którym – podobnie jak podczas poprzedniej wizyty – od razu rzucają mi się w oczy rodzinne fotografie na ścianach.

Gdybym kiedyś miał własny dom, też chciałbym mieć takie zdjęcia. Ta myśl pojawia się tak niespodziewanie, że gwałtownie odwracam wzrok.

– Ruby! – Pan Bell krzyczy tak głośno, że kulę się w sobie. – Masz gościa!

Kroki na piętrze, a potem ciche skrzywienie schodów, gdy Ruby schodzi na parter. Na mój widok szeroko otwiera oczy.

– Hej – mówię cicho, gdy zatrzymuje się przede mną.

Wiem, że takie powitanie nie wystarczy. Chciałbym dać jej o wiele więcej, ale nie mogę. Nie, póki pan Bell patrzy na mnie argusowym wzrokiem.

– James przyniósł ci lekcje – mówi. – Idźcie do salonu. Właśnie mieliśmy z Helen napić się herbaty.

Odprowadzam go spojrzeniem, gdy znika w kuchni. A potem znowu patrzę na Ruby. Wydaje się zmęczona i pokonana; najchętniej wziąłbym ją w ramiona i nigdy więcej nie wypuszczał. Zdaję sobie jednak sprawę, że w ten sposób jej nie pomogę, a tym bardziej nie rozwiążę jej problemów, powstrzymuję więc odruch i zerkam pytająco na drzwi do salonu.

Ruby kiwa głową i rusza przodem. Idę kilka kroków za nią.

– Uznaliśmy z Lin, że na pewno będziesz chciała mieć notatki z lekcji, żeby niczego nie stracić – zaczynam, kiedy razem usiedliśmy na kanapie. Kładę na stoliku plik kartek.

– Rozmawiałaś z nią? – Ruby pochyła się nad notatkami.

– Tak. Spotkaliśmy się podczas przerwy obiadowej i ustaliliśmy, kto na którym przedmiocie robi dla ciebie notatki.

Kąciki jej ust wędrują ku górze; minimalnie, ale zawsze coś.

– Bardzo się o ciebie martwiła – dodaję. – Wspominała, że od wczoraj nie może się z tobą skontaktować.

– Nie chciałam z nikim rozmawiać – wyznaje cicho.

Milczymy przez dłuższą chwilę, a potem Ruby bierze pierwszą kartkę i patrzy na mnie zdumiona.

– Po co ta przyklejona karteczka?

Odchrząkuję.

– Każdy przedmiot oznaczyliśmy innym kolorem, żebyś szybciej się zorientowała – wyjaśniam. – Lin w skrócie opowiedziała mi o twoim systemie kolorystycznym. To akurat jest matma.

Ruby wodzi wzrokiem między mną i notatkami i już nie wydaje się taka załamana. Rozpacz w jej oczach ustępuje czemuś innemu, cieplejszemu, aż w końcu na jej twarzy pojawia się coś na kształt uśmiechu. Bierze plik kartek na kolana i wertuje go uważnie.

– Pomyślałem sobie, że zapewne zechcesz to w spokoju przejrzeć, a gdybyś miała pytania, wszystko ci wyjaśnię. Poza literaturą, wy przerabiacie już *Annę Kareninę*, a my jeszcze jej nie zaczęliśmy. Ale z tym możesz zwrócić się do Lin.

Ruby machinalnie kiwa głową i dalej ogląda notatki.

– Mam nadzieję, że zdołasz wszystko odczytać. Bardzo się starałem, ale...

Więcej nie zdołałem powiedzieć, bo Ruby obejmuje mnie serdecznie.

– Super, wielkie dzięki – mówi.

Kilka kartek spadło na podłogę, ale mam to w nosie. Na tyle, na ile to możliwe w tej pozycji, odwzajemniam jej uścisk.

– Nie chcę rezygnować z naszej szkoły – mówi z ustami wtulonymi w moją marynarkę.

– Wiem.

Wtula się we mnie jeszcze bardziej. Obejmuję ją mocniej.

– Dzień dobry, James. – Rozlega się nagle za nami. W tej chwili ostatnie, na co mam ochotę, to wypuścić Ruby z ramion, ale drwiący głos Ember nie daje mi wyboru. Odwracam się. Jej siostra i matka stoją w progu. Podrywam się z kanapy.

– Dzień dobry, Helen. – Poprawiam na sobie marynarkę. – Hej, Ember.

Przez chwilę pokój wypełnia nieprzyjemna cisza, a potem Helen robi kilka kroków w moim kierunku. Przez moment obawiam się, że zechce mnie uderzyć. Zaciskam zęby, ale wtedy matka Ruby totalnie mnie zaskakuje.

Bierze mnie w ramiona.

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, co się dzieje.

Helen Bell mnie obejmuje.

– Bardzo mi przykro, James – mówi cicho.

Jej słowa sprawiają, że brakuje mi powietrza.

Odchyła się, jednak cały czas trzyma mnie za ramiona. Jestem sztywny, jakbym połknął kij. Nie mogę się poruszyć, nie jestem w stanie wykrztusić nawet jednego słowa. Przypomina mi się, jak mama obejmowała mnie po raz ostatni. To były nasze ostatnie urodziny, przy śniadaniu. Z otwartymi ramionami podeszła najpierw do Lydii, potem do mnie.

– Jeżeli jest coś, co możemy zrobić dla ciebie albo twojej siostry, nie wstydz się, mów otwarcie – mówi Helen. Odsuwam od siebie wspomnienie mamy.

Bałem się niechęci i wrogości. Tego, że zatrzasną mi drzwi przed nosem. A teraz matka Ruby obejmuje mnie i proponuje pomoc. Mnie. Chociaż przecież to w sumie przeze mnie Ruby wyleciała ze szkoły.

Z trudem kiwam głową. W tej chwili niczego już nie wiem. Wiem tylko, że



coraz trudniej mi wytrzymać jej spojrzenie i nie dać po sobie poznać, ile dla mnie znaczą jej słowa. Może na tym polega supermoc Helen Bell – zwalcza cierpienie dobrocią.

– James przyniósł mi notatki, żebym nie narobiła sobie zaległości – odzywa się Ruby i wyrywa mnie z transu. Gdyby dalej milczała, zapewne nie poruszyłbym się aż do wieczora i stał w salonie Bellów jak słupek soli.

Dopiero kiedy Helen koncentruje się na córce i podchodzi do kanapy, udaje mi się ponownie nabrać powietrza w płuca. Chwilę trwa, zanim biorę się w garść i wracam do Ruby, która akurat razem z Ember zbiera notatki z podłogi.

Ember przygląda się jednej z kartek, a potem podsuwa ją siostrze pod nos.

– Wyglądają, jakbyś sama je zrobiła – zauważa niemal rozbawiona.

Uśmiech Ruby przeszywa mnie jak strzała.

– Rzeczywiście.

Ponownie siadam na kanapie. Serce ciągle wali mi jak szalone, ale bliskość Ruby sprawia, że powoli odzyskuję spokój.

– Ember, pomożesz mi w kuchni? – prosi Helen.

Ember przewraca oczami z komiczną irytacją, ale bez słowa sprzeciwu idzie za matką.

A my z Ruby znowu zostajemy sami.

Odprowadzam Helen i Ember wzrokiem.

– Masz taką minę, jakbyś zobaczył ducha – zauważa rozbawiona Ruby.

– Twoja mama jest... – Sam nie wiem, jak to opisać. Potrząsam głową, opadam na kanapę i uśmiecham się do Ruby.

– Chyba się nie gniewasz, że im wszystko powiedziałam?

– Oczywiście, że nie. Powinni znać prawdę.

Oddycha głośno, z wyraźną ulgą.

– Nie byłam pewna, czy tak będziesz to postrzegał.

Kiwam głową. Nie znam więzi, jaka łączy Ruby z rodziną, nie z własnego doświadczenia. Ale potrafię ją docenić.

– Moim zdaniem to fantastyczne, jak się do siebie odnosicie. To nie takie oczywiste, że możesz im wszystko powiedzieć. Nie chciałem wywierać na ciebie presji. Przepraszam.

– Nie wywierałeś. Ja sama wolałam trzymać ich od tego z daleka, tak jak to robiłam od dwóch lat – odpowiada cicho, z przejęciem.

Wbijam wzrok w swoje dłonie.

Przypomina mi się dźwięk, z jakim ręka ojca uderzyła w policzek Lydii. Prześladował mnie przez całą noc, przez niego ciągle się budziłem.

– James? – szepce Ruby.

Wpatruję się w napiętą skórą na kłykciach.

– Czasami chciałbym, żeby u nas też tak było. Żebym miał rodzinę... Rodziców, z którymi mogę rozmawiać tak jak ty ze swoimi. Ja... – Głos odmawia mi posłuszeństwa.

– Wiem. – Ruby przysuwa się bliżej, tak że stykamy się kolanami.

– Nie mieści mi się w głowie, że ojciec wyrzucił Lydię z domu. – Oddycham coraz szybciej, serce miota mi się w piersi, całe ciało wydaje się za małe dla wypełniających mnie emocji. – W żaden sposób nie mogłem temu zapobiec. Nie mogłem nic zrobić, Ruby.

Kładzie dłonie na moich zaciśniętych pięściach. Jej dotyk jest delikatny, ciepły, podobnie jak jej głos, gdy zaczyna mówić.

– Nikt nie mógł temu zapobiec. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Z trudem przełykam ślinę. Mam wrażenie, że w moim gardle znajduje się milion szpilek.

– Ale to i tak nie wystarczyło. Bardzo... Bardzo mi przykro z powodu tego, co się wczoraj stało.

– Wiem – odpowiada cicho. Ścisną moją dłoń. Podnoszę głowę, żeby na nią spojrzeć. Widzę smutek w jej wzroku, ale też coś jeszcze. Coś, czego się chwytam, bo jest dobre, znajome.

– W tej chwili najważniejsze dla mnie to być z tobą i Lydią. Jesteście dla mnie najważniejsze.

Rozluźniam zaciśniętą pięść, odwracam ją, ujmuję dłoń Ruby, delikatnie unoszę do ust i przywieram wargami do jej skóry.

W spojrzeniu Ruby jest coraz więcej ciepła. Coraz więcej życia.

– Przez chwilę w to zwątpiłam – przyznaje cicho. – Pod gabinetem Lexingtona.

Kiwam głową. Widziałem to. Niedowierzenie i zawód w jej wzroku trafiły mnie prosto w serce. Zdaję sobie sprawę, że w przeszłości popełniłem poważne błędy. Ale tamte zdjęcia... To już nie jest część mojego życia. Takie intrygi nie przystoją mężczyźnie, którym teraz jestem czy raczej którym chciałbym być.

– Nie miałem pojęcia, że jeszcze mam je w telefonie.

Ruby kiwa głową.

– Niełatwo będzie przekonać Lexingtona, że prawda wygląda inaczej.

– Pewnie nie.

Na chwilę oboje pogrążamy się w myślach.

– Co z Lydią? – pyta w końcu Ruby. – Co teraz będzie?

Chrząkam głośno.

– Mieszka u ciotki Ophelii i ma prywatne lekcje, żeby mogła skończyć szkołę. Ojciec zagroził jej, że poda Suttona do sądu, jeżeli będzie się sprzeciwiać.

Ruby sztywnieje, a w jej oczach widzę tę samą wściekłość, która wypełnia i mnie.

– Najchętniej ja także spakowałbym swoje rzeczy i stamtąd spadał.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – pyta ostrożnie. – Może wtedy twój ojciec poszedłby po rozum do głowy i zrozumiał, że popełnił błąd.

Zaprzeczam energicznie.

– Nie mogę pogorszyć sytuacji w domu. Jeżeli się wyprowadzę, stracę jedyną okazję na przekonanie go, żeby pozwolił Lydii wrócić.

Ruby marszczy brwi.

– To oznacza zatem...

– Że na razie będę robił to, czego ode mnie zażąda – kończy cicho.

– Och, James.

Wzruszam ramionami. Ostatnie, co chciałbym osiągnąć tą wizytą, to znowu zawracać Ruby głowę problemami mojej rodziny. Ma wystarczająco dużo na swoich barkach, nie powinna martwić się jeszcze o mnie i o moją siostrę.

– Myślisz, że on się kiedyś zmieni? – pyta. Machinalnie gładzi kciukiem grzbiet mojej dłoni.

Myślę o tym intensywnie. Nigdy się nie zastanawiałem, czy mój ojciec kiedykolwiek się zmieni. W moich oczach zawsze był tylko Mortimerem Beaufortem, biznesmenem, który stawiał mi wysokie wymagania i od dziecka wywierał taką presję, że ciągle wydaje mi się, że lada chwila się uduszę.

Mam taki powracający sen, że tonę, a ojciec stoi nade mną i patrzy, jak umieram. Właśnie tak czuję się w tej chwili.

– Chyba nie – odpowiadam ochryple.

Ruby przysuwa się jeszcze odrobinę bliżej. Dotykamy się głowami.

– Jestem przy tobie – zapewnia szeptem.

Nie odpowiadam, tylko obejmuję ją i przyciągam do siebie.

– W weekend wybieram się do Lydii – mówię po dłuższej chwili. – U ciotki Ophelii w Beckdale będzie jej dobrze, ale poza nią nie zna tam nikogo i nie chciałbym, żeby czuła się osamotniona.

Ruby przygląda mi się ze współczuciem, choć przecież to ostatnie, czego chciałem. Ma własne problemy, nie powinienem zawracać jej głowy naszymi.

– Mogę jechać z tobą? – pyta po dłuższej chwili.

– Do Lydii?

Kiwa głową. Chyba wyczuwa moje zaskoczenie, bo zanim zdąży odpowiedzieć, dodaje szybko:

– Kiedyś. Gdybyś tego chciał.

– Lydia będzie zachwycona. – Odsuwam się odrobinę, żeby na nią spojrzeć, i dodaję cichutko: – Podobnie jak ja.

Zrobiłbym wszystko, żeby spędzić z nią cały dzień, ale muszę dzisiaj jeszcze coś załatwić, i nie jest to bynajmniej przyjemna sprawa.

Parkuję przed Red Heaven i wysiadam. Dziwnie się czuję, prowadząc samemu, ale w sobotę, po powrocie z Pemwick, Percy oznajmił, że źle się czuje, i od tego czasu nikt go nie widział. Nie mam mu tego za złe. Odstawienie zapłakanej Lydii do ciotki Ophelii, a potem powrót jak gdyby nigdy nic musiały i jemu dać się we znaki.

Z większą siłą, niż to potrzebne, zatrzasnąłem drzwi samochodu i pokonuję kilka kroków do wejścia do klubu. Słońce tymczasem zaszło już niemal całkowicie, w oddali niebo rozjaśnia tylko czerwona luna.

Rozsuwam ciężkie aksamitne zasłony i wchodzę do środka. Zaraz otacza mnie znajomy, słodki pudrowy zapach, dławi, podchodzi do gardła. Chyba nigdy nie byłem tu na trzeźwo. Bez alkoholu ten zapach, w połączeniu z widokiem tancerek na rurze, które wiją się w różowoczerwonym świetle w takt powolnej piosenki z intensywnymi basami, wydaje mi się nierzeczywisty. Jak świat, w którym jestem obcy, choć kiedyś do niego należałem.

– James! – Z pewnej odległości dobiega grzmiący głos Beara. Poza nim i tancerkami w klubie nie ma nikogo, co wcale mnie nie dziwi, bo większość gości zjawi się o wiele, wiele później.

Odwracam się i patrzę, jak właściciel Red Heaven zmierza w moim kierunku z szeroko otwartymi ramionami. Bear – to imię nie pasuje ani do jego postawnej, szczupłej sylwetki, ani do sztywnego na miarę garnituru Beauforta, który ma na sobie.

– Najpierw Cyril, teraz ty. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Cześć. – Podaję mu rękę. Uścisk jego dłoni jest równie silny i nieustępliwy, jak mojego ojca. Odwzajemniam go bez mrugnięcia okiem. – Właśnie go szukam. Gdzie jest?

Oczy Beara przybierają inny wyraz, choć z jego ust nie znika uśmiech.

– W jednym z dalszych pokoi. Dobrze się bawi.

Z trudem przełykam ślinę. No oczywiście.

– Mam nadzieję, że da się z nim porozmawiać.

Bear daje mi znak, żebym poszedł za nim.

– Sądząc po twojej minie, nieźle nabroił.

Przesuwam wzrok na masywne drzwi prowadzące do części dla VIP-ów. Nie odpowiadam.

– James, wiesz, że nie toleruję awantur w swoim klubie – ciągnie Bear stanowczo. – Jeżeli chcecie coś sobie wyjaśnić, to bardzo proszę, ale nie tutaj.

– Nie mam zamiaru się z nikim bić – odpowiadam.

– To dobrze – mruczy Bear, otwiera drzwi i dorzuca: – Jest na samym końcu.

Kiwam głową, idę długim korytarzem w kierunku, który mi wskazał. Bez wahania odsuwam zasłonę.

Cyril siedzi na czarnej skórzanej kanapie. Wydaje się rozluźniony, odrzucił głowę do tyłu i obserwuje tancerkę, która porusza się przed nim w takt muzyki. Patrzy, jak wsuwa sobie dłonie we włosy i zatacza koła biodrami, schodzi coraz niżej... Chrząkam głośno.

Cyril nie odwraca głowy w moim kierunku, ale widzę, jak napinają się wszystkie mięśnie jego ciała.

– Linette – zaczyna, nie odrywając wzroku od tancerki. – Zróbmy krótką przerwę, dobrze? – Jego głos wydaje się całkowicie wyprany z emocji.

Linette nieruchomieje zaskoczona, ale kiwa głową, widząc mnie w progu. Schodzi z malutkiego parkietu, mija mnie i posyła przelotny uśmiech.

Powoli podchodzę do kanapy. Przysuwam sobie obity skórą puf i siadam, chcę być naprzeciwko Cyrila. Ten nawet nie zadaje sobie trudu, by na mnie spojrzeć. Cały czas pustym wzrokiem wpatruje się w sufit, jakby oprócz alkoholu zażył coś jeszcze, coś znacznie mocniejszego.

Przypominam sobie jego wczorajsze słowa. Prowokację, wyraźnie słyszalną w jego głosie: *Zapytaj go, Ruby. Zapytaj go, kto zrobił te zdjęcia*. Przypominam sobie, jak oddał mi telefon i śmiał jeszcze mi za niego podziękować. Kosztowało mnie mnóstwo wysiłku, żeby nie rzucić się na niego, tylko odwrócić się i zostawić go samego pod gabinetem dyrektora.

Znam Cyrila. Gdybym go uderzył, zrobiłbym dokładnie to, na co liczył. Ale nie będzie tak łatwo. Nie wykorzystam swojej wściekłości, by złagodzić własny ból. Bo od razu widać, że Cyril cierpi. Przynajmniej kiedy człowiek go zna całe życie.

– Ojciec wyrzucił Lydię z domu – zaczynam.

Osiągam pożądany efekt: Cyril kuli się w sobie i patrzy na mnie z ukosa.

Tylko Lydia go interesuje. Wiedziałem, że tym sposobem do niego dotrę.

– Nawrzeszczał na nią, uderzył i wysłał do ciotki do Beckdale, Cyril – mówię

spokojnie. Obiecałem sobie, że zachowam panowanie nad sobą, ale w chwili, gdy powraca to wspomnienie, odruchowo zaciskam pięści. To instynkt.

W oczach Cyrila pojawia się mroczny blask.

– Powiedział, że dopilnuje, żeby Sutton zniknął z jej życia – mówi ochryple. – Że za jednym zamachem pozbędziemy się obojga.

Paznokcie boleśnie wbijają mi się w dłonie, tak mocno zaciskam pięści.

– Co takiego zrobiła ci Ruby? – syczę.

W śmiechu Cyrila nie ma ani odrobiny rozbawienia. Przesuwa dłońmi po twarzy, wplata je w ciemne włosy.

– Stary, przecież zanim zjawiała się ta dwójka, wszystko było doskonałe.

– Nic nie było doskonałe. Zanim Lydia poznała Suttona, była w fatalnym stanie.

Cyril kuli się w sobie. Podobnie jak ja zaciska pięści.

– Nieprawda.

– Może po prostu nie znałeś jej tak dobrze, jak ci się wydawało.

– Kurwa! – Z całej siły wali pięścią w kanapę. – Chciałem tylko, żeby wszystko było jak dawniej!

– Zachowujesz się, jakby dawniej wszystko było idealnie. A to nieprawda.

– Świetnie się bawiliśmy – przekonuje drżącym głosem. – James, byliśmy niezwycczeni. A teraz nic z tego nie zostało.

Ma rumieńce na policzkach, jego barki unoszą się i opadają coraz szybciej.

I nagle wiem, na czym polega problem. Podczas gdy ja tak naprawdę nigdy nie chciałem życia, które zaplanowali dla mnie rodzice, Cyril czuł się zupełnie inaczej. Ja zawsze obawiałem się przyszłości, a Cyril na nią czekał. Chciał studiować w Oksfordzie i podążać drogą, którą mu wytyczono; ja zawsze pragnąłem czegoś więcej – Cyrilowi wystarczyło to, co miał.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że zrobiłeś to ze względu na naszą przyjaźń.

– Oczywiście, że zrobiłem to ze względu na naszą przyjaźń! – Wygląda, jakby lada chwila miał się poderwać na równe nogi.

– Zrobiłeś to dla siebie. Jesteś egoistą. Nie umiesz sobie radzić ze zmianami.

– Nieprawda.

– Co ty sobie właściwie myślałeś? Że mój ojciec ucieszy się z tej wiadomości? – rzucam zimno.

– Powiedział, że dopilnuje, żeby Sutton zniknął. Nic więcej mnie nie obchodzi.

– A osiągnąłeś coś wręcz przeciwnego. Ani ja, ani Lydia nigdy więcej nie spojrzemy na ciebie tak samo.

Kuli się w sobie. Wygląda, jakbym uderzył go w twarz.

– Ja... Ja tego nie chciałem. Nie wiedziałem, że ją ukarze.

Pochylam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Skrzywdziłeś dwie osoby, na których zależy mi najbardziej na świecie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Nie mogę cofnąć czasu. – Słyszę ból w jego głosie; z trudem wypowiada słowa.

– Owszem, możesz.

Kręci głową.

– Lexington mi nie uwierzy, kiedy teraz do niego pójde. Zresztą, co z moją reputacją?

Wściekle uderzam pięścią w stół między nami. Dłoń eksploduje bólem, który przenika całe ramię. W tej chwili jest mi to obojętne.

– Wiesz co? Teraz mam w dupie twoją reputację. Idiotycznymi kłamstwami zniszczyłeś Ruby życie.

Patrzę na niego znacząco. Twardo odwzajemnia moje spojrzenie.

– Wiem, że jeszcze masz oryginalne zdjęcia. Daję ci tydzień, żebyś poszedł z nimi do Lexingtona.

– Ja...

Wstaję, patrzę na niego z góry.

– Jeżeli nie przekażesz Lexingtonowi oryginałów, koniec naszej przyjaźni okaże się twoim najmniejszym problemem – mówię cicho.

Cyril z trudem przełyka ślinę, wbija wzrok w swoje dłonie, zaciska pięści, rozluźnia je znowu. Z daleka widać, że toczy ciężką wewnętrzną walkę.

Nie mogę mu w tym pomóc. Powiedziałem wszystko, co mogłem.

– James – woła ochryple, gdy jestem już przy drzwiach. – Naprawdę tego nie chciałem.

Wściekłość na niego w połączeniu z niepewnością co do przyszłości Lydii i Ruby sprawia, że niemal kręci mi się w głowie. Może w głębi duszy Cyril wcale nie jest zły, ale w tej chwili nie wiem, czy naszą przyjaźń da się jeszcze ocalić. W tym momencie nie jestem w stanie na niego spojrzeć.

– Wiem.

Nie mówię nic więcej. Wychodzę.

## Graham

Beaufort.

Od mniej więcej pięciu minut stoję bez ruchu i wpatruję się w elegancką tabliczkę na przeszklonej fasadzie budynku.

Dawniej często tędy przechodziłem, bo dwie ulice dalej spotykała się nasza trupa teatralna. Wtedy jednak nie miałem pojęcia, że tutaj właśnie mieści się główna siedziba firmy Beauforta, zapewne dlatego, że nigdy szczególnie nie interesowałem się ani modą, ani wielkimi korporacjami.

Zawsze chciałem tylko jednego: zostać nauczycielem.

Kiedy Lydia zdradziła mi swoje nazwisko, niczego mi nie mówiło. Musiała mnie naprowadzić na właściwy trop, zanim zrozumiałem, że garnitur, który dziadek podarował mi na zakończenie studiów, powstał w firmie należącej do jej rodziny.

Po raz kolejny poprawiam kołnierzyk ciemnozielonej koszuli i przesuwam pasek torby na ramieniu.

Potem zerkam na zegarek: za pięć trzecia. Głęboko nabieram tchu i ruszam.

W towarzystwie dwóch biznesmenów w garniturach pokonuję obrotowe drzwi i znajduję się w holu nowoczesnego biurowca.

Lydia opowiadała kiedyś, że stara siedziba Beauforta, w której dzisiaj mieści się jedna z filii i pracownia krawiecka, w latach osiemdziesiątych okazała się za mała i dlatego tuż obok powstał ten wieżowiec, do którego stopniowo przenosiły się kolejne działy: marketing, księgowość, PR i w końcu cały zarząd. Budynek wznosi się na dwadzieścia pięter i chyba nikt nie ma wątpliwości, że właśnie tutaj bije serce tej firmy i zapadają najważniejsze decyzje.

Podłogę pokrywa jasny marmur, ściany są ze szkła. Na środku holu widnieje ogromne logo firmy Beauforta i jej nazwa w półkolu.

– W czym mogę pomóc? – pyta młody mężczyzna, gdy w końcu podchodzę do recepcji. Ma starannie nażelowane włosy z przedziałkiem i, podobnie jak niemal wszyscy tutaj, ubrany jest w czarny garnitur, który leży tak doskonale, że



na pewno uszyto go na miarę.

Celowo zostawiłem swojego beauforta w szafie, ale w tej chwili zastanawiam się, czy to nie był błąd. W dzinsach i nieco za dużej kraciatej marynarce czuję się w tej chwili jak wyrzutek.

– Graham Sutton. Jestem umówiony z panem Beaufortem – odpowiadam.

Młodzieniec pytająco unosi brwi, zaraz jednak pochyla się nad komputerem i szybko klika.

– Tak jest, już mam. – Wpisuje coś na klawiaturze, przesuwa się z krzesłem na bok, do małej czarnej szafeczki, otwiera szufladę, wraca do kontuaru i podaje mi biały prostokąt. Widnieje na nim napis „gość”, a wyżej znajduje się logo Beauforta i czarny kod kreskowy.

– Proszę po prawej stronie przejść przez kontrolę bezpieczeństwa, przepustkę należy podsunąć pod skaner. Po przejściu zobaczy pan windy po lewej stronie. Proszę jechać na samą górę.

– Dobrze, dziękuję bardzo. – Biorę przepustkę i ruszam we wskazanym kierunku.

– Powodzenia – woła za mną.

Nawet się nie domyśla, jak bardzo go potrzebuję.

Do windy razem ze mną wsiadają kobieta i mężczyzna. Mierzą mnie wzrokiem, gdy widzą, na które piętro się wybieram. Odwracam głowę, wpatruję się w swoje skórzane półbuty.

Jazda na dwudzieste piętro ciągnie się jak w zwolnionym tempie, a przecież winda mknie przerażająco szybko. Cały czas myślę tylko o Lydii. Od pięciu dni się nie odezwała. Umieram ze zmartwienia. Przez cały ranek usiłowałem się do niej dodzwonić, ale po naszej ostatniej rozmowie jej telefon przestał działać. Dopiero późnym wieczorem dostałem od niej wiadomość:

*Sprowadzam na ciebie same kłopoty. Może będzie lepiej, jeżeli o mnie zapomnisz. Bardzo mi przykro. Lydia*

Nie zareagowała na moją odpowiedź. Nie wiem, gdzie jest, nie wiem, jak się czuje. Kiedy wczoraj zadzwoniła do mnie sekretarka pana Beauforta, miałem wrażenie, że ziemia rozstępuje mi się pod nogami.

Jeżeli jej ojciec chce ze mną rozmawiać, to oznacza tylko jedno: już wie. Z jednej strony denerwuję się przez to bardziej niż przed pierwszą lekcją w Maxton Hall, z drugiej – odczuwam niemal... ulgę? Ostatnie dni z pewnością należały do najtrudniejszych w moim życiu. Straciłem pracę i zarazem prawdopodobnie karierę w zawodzie nauczyciela. Ale w całej tej beznadziei jest także myśl o Lydii. Lydii, z którą być może teraz mogę liczyć na wspólną

przyszłość, bez ciągłego strachu i wyrzutów sumienia. To wysoka cena, ale ona jest tego warta.

Wysiadam z windy jako ostatni. Kolejna recepcja. Ciemnowłosa kobieta wita mnie z profesjonalnym uśmiechem.

– Pan Sutton, prawda? Proszę tu poczekać. Pan Beaufort zaraz pana przyjmie.  
– Wskazuje krzesła na końcu korytarza.

Idę we wskazanym kierunku, ale nie siadam, tylko stoję przy oknie, z którego rozciąga się imponująca panorama Londynu. Patrzę na miasto, w którym dorastałem. Tamiza połyskuje w wiosennym słońcu, przywodzi na myśl łagodność, która nijak nie pasuje do burzy w moim wnętrzu.

– Panie Sutton, proszę wejść – informuje mnie asystentka.

– Dziękuję – odpowiadam ochryple.

A potem nabieram głęboko tchu, mijam rząd krzeseł i dotykam klamki.

Biuro ojca Lydii wygląda tak samo jak reszta budynku: czysto, zimno, bez emocji. Po prawej stronie stoi aluminiowa szafa na dokumenty, obok niej szara kanapa na metalowych nóżkach. Po lewej dostrzegam wielkie biurko ze szklanym blatem.

Pan Beaufort stoi za nim, przy oknie. Splótł ręce za plecami i odwraca się dopiero wtedy, gdy drzwi zamykają się za mną z cichym trzaskiem. Patrzy na mnie chłodno.

– Niech pan siada, Sutton – rzuca i wskazuje krzesło przed biurkiem.

W pierwszej chwili złości mnie brak powitania, ale i tak spełniam jego polecenie.

– Dzień dobry, panie Beaufort.

Podchodzi do biurka, także siada, opiera łokcie na szklanym blacie. Po jednej stronie stoi komputer o czarnym monitorze, po drugiej piętrzą się sterty papierów; dostrzegam katalogi i szkice. Na chwilę zatrzymuję na nich wzrok, zaraz jednak wracam do Beauforta.

– Domyśla się pan zapewne, dlaczego go wezwałem – zaczyna, nie okazując żadnych emocji.

– Domyślałam się – przyznaję.

– Zakładałam, że moja córka poinformowała pana o przeprowadzce.

Spokojnie odwzajemniam jego spojrzenie i staram się nie dać po sobie poznać, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Nie da się cofnąć czasu. Ale radzę panu: proszę nie marnować studiów w Oksfordzie na romans, który i tak jest bez szans.

Sposób, w jaki bagatelizuje nasz związek kilkoma słowami, jest jak cios

w klatkę piersiową. Przecież wcale mnie nie zna. Nie ma pojęcia, co nas łączy, jak bardzo sobie wzajemnie pomogliśmy. Nie pojmuję, że siebie potrzebujemy, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Idąc tu, nie liczyłem na jego błogosławieństwo. Żaden ojciec nie chce, żeby jego córka wiązała się z nauczycielem ze swojej szkoły, to oczywiste. Ale w tym, jak do mnie mówi, nie ma cienia szacunku, a to, że chce mnie onieśmielić, jest po prostu śmieszne. Mam w nosie jego władzę i jego pieniądze. Nie będzie mi mówił, co mam robić, a czego nie, a już na pewno nie będzie mi groził.

– Chyba nie bardzo rozumiem.

– Oczywiście, Sutton, powiem jasno – odzywa się po dłuższej chwili. Pochyliła się, splata dłonie. Kątem oka widzę, jak pobielają mu kłykcie. – Od tej pory nie będzie się pan kontaktował z moją córką. Jeżeli się dowiem, że nadal pan z nią rozmawia, że choć raz się pan do niej zbliżył, dopilnuję, żeby pan tego gorzko pożałował. – Wypowiada te słowa ze spokojem i pewnością siebie człowieka, który jest świadomy swojej władzy i nie toleruje sprzeciwu.

Zastanawia mnie, czy jednak nie powinienem się bać, ale myślę tylko o Lydii. O tym, co już razem przeszliśmy, o tym, co jeszcze przyniesie nam przyszłość.

W zeszłą sobotę, podczas balu wiosennego, zrozumiałem, że nie mogę się dłużej wzbierać przed uczuciem do niej. Wybrałem ją. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie łatwo. Jej ojciec jest zapewne największą przeszkodą na naszej drodze, ale z pewnością nie jedyną. Ale bez Lydii moje życie jest puste. Bez niej nic nie ma sensu. I bez względu na wszystko nie poddam się bez walki. Nie pozwolę jej sobie odebrać, a już na pewno nie przez ojca, który przez całe życie traktował ją z góry, umniejszał, choć przecież stać ją na dużo.

– Z całym szacunkiem, panie Beaufort, to nie wchodzi w grę – odpowiadam głosem równie zimnym, jak jego.

Teraz to Beaufort mruga zaskoczony. Najwyraźniej nie przywykł do sprzeciwu. Trwa to zaledwie ułamek sekundy, a potem odzyskuje panowanie nad sobą. Odchyła się i oddycha głośno.

– No dobrze. Podejdźmy do sprawy inaczej. – W następnej chwili pochyła się, podnosi z podłogi aktówkę, kładzie na biurku. Odwraca ją w moją stronę, otwiera zamek.

Wieko unosi się, a ja zaciskam zęby tak mocno, że słyszę ich zgrzyt.

Z walizki uśmiecha się do mnie królowa z niezliczonych banknotów.

Kołnierzyk koszuli uciska mnie nagle nieznośnie, powstrzymuję się z trudem, by go nie poluzować. Powoli przesuwam wzrok na pozbawioną wyrazu twarz

Beauforta.

– Proszę to potraktować jako rekompensatę nieprzyjemności – mówi beztrzesko.

Serce wali mi jak oszalałe, na darmo staram się oddychać równomiernie.

– Panie Beaufort, ja nie chcę pana pieniędzy.

Unosi brew.

– To jest bardzo satysfakcjonująca suma.

– Nie o to chodzi.

Cholera, podniosłem głos. Wcale tego nie chcę, ale w starciu z tym człowiekiem nie mam wyboru.

– Nie pojmuje pan, co pan robi własnej córce takim zachowaniem?

Teraz to on z całej siły zaciska zęby.

– Radzę uważać na słowa – cedzi cicho.

Energicznie potrząsam głową.

– Był pan jej bohaterem. Zrobiłaby wszystko, byle traktował ją pan poważnie i wprowadził do firmy. Ale dla pana istnieje tylko jedna droga, wcześniej wytyczona, na której dla pana córki nie ma miejsca. Nigdy się pan nią nie interesował. Miał pan w nosie, co się z nią dzieje. Najważniejsze, żeby ta cholerna firma nie ucierpiała. Zawsze był pan ślepy na jej potrzeby. Fakt, że w tej chwili w ten sposób ingeruje pan w jej życie, dowodzi tylko, że w ogóle nie zna pan własnej córki.

Beaufort podrywa się tak energicznie, że jego krzesło uderza w przeszkloną ścianę.

– Nie ma pan pojęcia, o czym mówi.

Ja także wstaję, żeby nie patrzył na mnie z góry.

– Nie ma pan pojęcia, przez co już przeszła.

– Dla moich dzieci zrobiłbym wszystko, nieważne, czy podoba się panu moje postępowanie. Koniec końców wszystkie decyzje, które podejmuję, są dla ich dobra. Gdyby pan był ojcem, zrozumiałby pan.

Za moimi plecami otwierają się drzwi, ale nie obchodzi mnie, czy ktoś to słyszy. Zapewne i tak lada chwila wyprowadzą mnie ochroniarze. Nie mam najmniejszego zamiaru tu wracać.

– Kiedy będę ojcem, będę słuchał swoich dzieci – rzucam. – Będę je dopingował i wspierał we wszystkim, czego zapragną. I nigdy, przenigdy nie będę przedkładał własnych ambicji nad ich.

Beaufort zaciska usta. Nie patrzy na mnie, tylko na drzwi gabinetu. Odwracam się zirytowany.

W progu stoi James. Przenosi wzrok między nami, a potem zatrzymuje go na aktówce, która ciągle leży przede mną na biurku.

## James

Czuję, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

W gabinecie ojca jest tak cicho, że każdy mój nierówny oddech wydaje się nieznośnie głośny. Nie potrafię opisać tego, co w tej chwili czuję, wiem tylko, że jest to coś, co wzbierało we mnie od lat i lada chwila eksploduje.

– Chyba nie mówisz poważnie, tato – wyrzucam z siebie i wchodzę do gabinetu.

Ojciec przygląda mi się bez cienia emocji.

Wskazuję głową walizkę.

– Nie wystarczy ci, że wysłałeś Lydię do ciotki Ophelii? Naprawdę chcesz jej zrobić jeszcze i to?

Czuję, że moja twarz staje w ogniu. Podobnie jak mój żołądek. Żyły. Całe ciało. Wydaje mi się, że wszystko wokół wiruje, wszystko poza moim ojcem. Zaciskam pięści, czuję, jak drżą. To drżenie przenika mnie aż do kości. W moim ciele jest tyle skumulowanej wściekłości, że z trudem utrzymuję się na nogach.

– Myślisz, że wystarczy rzucić trochę kasy na stół, a on na zawsze zniknie z życia Lydii? Myślisz, że w dzisiejszych czasach to jeszcze tak działa?

– Daruj sobie ten melodramatyczny ton i zamknij drzwi. – Nie spuszczać ze mnie wzroku, ojciec opuszcza wieko walizki. W końcu wraca spojrzeniem do Suttona. – Proszę to jeszcze przemyśleć.

– Nie muszę. Jeżeli wezwał mnie pan tutaj, żeby mnie szantażować albo kupić, źle pan trafił. – Sutton kiwa mi głową na pożegnanie. – Życzę miłego dnia.

Odwraca się i podchodzi do drzwi. Zbliża się do mnie. Zwalnia i przez chwilę wydaje mi się, że chce mi coś powiedzieć, ale potem głośno nabiera tchu, kręci tylko głową i wychodzi z gabinetu bez słowa. Drzwi zamykają się cicho.

Nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

Ojciec natomiast zabiera aktówkę z biurka, stawia ją na podłodze i uruchamia komputer.

Jak gdyby nigdy nic.

Wściekłość we mnie przybiera na sile, rośnie. Nie jestem w stanie nad nią zapanować, a po tym, co przed chwilą widziałem, wcale też tego nie chcę.

*Myślisz, że on się kiedyś zmieni?* W uszach ponownie rozbrzmiewają mi słowa Ruby.

Teraz już znam odpowiedź.

Właściwie zawsze ją znałem. Po prostu nie chciałem przyjąć jej do wiadomości.

Nagle wiem, skąd we mnie ten ogień.

Przez te wszystkie lata stawałem na głowie, żeby zadowolić ojca. Bez sprzeciwu pogodziłem się z wizją przyszłości, którą dla mnie zaplanował. Ale z tym już koniec.

Nie chcę stać się człowiekiem, który za wszelką cenę narzuca innym swoją wolę i idzie przez życie, nie bacząc na wyrządzone szkody. Zawsze mi się wydawało, że nie mam wyboru. Ale minione miesiące pokazały mi, że życie jest nieprzewidywalne. Udowodniły, że jest coś, o co warto walczyć. I obudziły we mnie coś, czego dawniej nie czułem: odwagę.

Odwagę, by zrobić coś dla siebie.

Odwagę, by wziąć swoje życie we własne ręce.

Odwagę, by sprzeciwić się ojcu.

– Dość tego. – Sam nie mogę uwierzyć, że mówię tak spokojnie.

– Słucham? – Ojciec wydaje się pogrążony w myślach. Pisze coś i nawet na mnie nie patrzy.

Pokonuję gabinet kilkoma długimi krokami, aż stoję tuż przy biurku. Dopiero wtedy podnosi głowę znad klawiatury.

Dotykam sygnetu na palcu lewej dłoni. Sygnetu, który zakładałam na każde posiedzenie rady nadzorczej Beauforta. Symbolu, że jestem częścią tej rodziny. A przecież tak naprawdę symbolizuje jedynie więź, którą udajemy przed całym światem. Zdejmuję go powoli, przez chwilę ważę w dłoni. Nie jest ciężki, ale jednocześnie mam wrażenie, że trzymam w dłoni cały ciężar, który przytłaczał mnie przez osiemnaście lat mojego życia.

– Próbowałem, tato – mówię. – Naprawdę próbowałem być dobrym synem. Chciałem, żebyście z mamą byli ze mnie dumni. Ale... – Potrząsam głową. Sama myśl o mamie sprawia ból. Nie wiem, czy sprawiłbym jej zawód, gdyby mnie teraz widziała. – Już dłużej nie mogę.

Kładę sygnet na jego biurku, nie spuszczając wzroku z jego twarzy.

– Sprzedam swoje udziały w Beauforcie. – Kiedy cofam dłoń, czuję lekkość, jakiej nigdy wcześniej nie doznałem. Wydaje mi się, że wystarczy powiew wiatru, a uniosę się jak piórko, bo zerwałem wszelkie więzi łączące mnie z tą firmą i tym człowiekiem.

Ojciec milczy. Tylko wykrzywione usta zdradzają, że nie jest zadowolony z rozwoju sytuacji. Po kilku sekundach ponownie koncentruje się na ekranie komputera. Oddycham głośno i odwracam się.

– Jeżeli mówisz poważnie, możesz nie wracać do domu – mówi cicho, gdy jestem już przy drzwiach.

Zerkam na niego przez ramię. Myślę o siostrze, której w tej chwili odbieram ostatnią szansę ucieczki z Beckdale. Myślę o uśmiechu mamy. O wszystkim, czego w moim życiu już nie ma.

– Do jakiego domu? – pytam.

Nie czekam na jego reakcję, otwieram drzwi i wychodzę.

W tej chwili jedno wiem na pewno. Robię to po raz ostatni.

## Ember

Przez całą drogę do domu Wrena czuję się obserwowana.

A przecież wiem doskonale, że te obawy są bezpodstawne. Ruby siedzi w miejskiej bibliotece na drugim końcu Gormsey i przerabia notatki, które na zmianę podrzucają jej James i Lin. W drodze do domu nie znajdzie się nawet w pobliżu tej dzielnicy. Powinnam przestać się denerwować.

Jednak niepokój nie ustępuje.

Może chodzi raczej o to, że dotychczas jeszcze nigdy nie okłamałam siostry. Oczywiście mamy przed sobą tajemnice, ale nigdy nie było to nic tej wagi. Za jej plecami spotykam się z chłopakiem z jej szkoły. Kiedy się dowie, że robię właśnie to, przed czym mnie ostrzegała, będzie miała do mnie pretensje.

Wren i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, chociaż nie jestem pewna, czy to właściwe słowo określające naszą relację. Bo abstrahując od faktu, że piszemy do siebie prawie codziennie, spotkania twarzą w twarz mogę policzyć na palcach jednej ręki.

Być może jestem po prostu podekscytowana. A co, jeśli podejść do niewłaściwego domu i zadzwonię do niewłaściwych drzwi? Albo jeszcze gorzej, jeśli nikt mi nie otworzy?

Ale kiedy skręcam w uliczkę, której nazwę Wren przysłał mi SMS-em, od razu zauważam mały wóz meblowy, z którego tragarze wynoszą właśnie kanapę i kierują się do niewielkiego bliźniaka. Przed drzwiami piętrzą się kartony, więc od razu wiem, do którego domu iść.

Upewniam się w tym, kiedy w progu nagle staje Wren i podnosi jedno z pudeł. Ma na sobie szarą koszulkę bez rękawów, czarne dżinsy i adidas. Na mój widok unosi rękę. Pokonuję ostatni odcinek, mijam samochód, idę wąskim podjazdem do drzwi, nie odrywając od niego wzroku. Dopiero po chwili dociera do mnie, że powinnam sprawdzić czas. Nerwowo zerkam na zegarek.

- Od mojego domu do twojego jest tylko osiem minut – oznajmiam.
- Najwyraźniej internet się pomylił – odpowiada Wren.



– Albo nie wziął pod uwagę mojego zawrotnego tempa.

– Lub podał przybliżony czas dla starszków z chodzikiem i dlatego wyszło dziesięć minut.

Uśmiecham się. Wren nieśmiało odwzajemnia uśmiech i zerka za siebie. Zaraz jednak ponownie wraca do mnie wzrokiem.

– Chodź.

Już od progu na podłodze piętrzą się kartony. Zatrzymuję się, podnoszę jeden, na którym wielkimi czarnymi literami wypisano imię Wrena.

– Ja nawet znam tę ulicę – mówię, kiedy Wren usuwa się na bok, żebym mogła wejść do domu. On także podnosi pudło i ruszamy na górę, zostawiając drzwi szeroko otwarte. Białe schody trzeszczą pod moimi stopami. Stopnie są bardzo wąskie, muszę uważać, żeby się nie przewrócić.

– Tutaj. – Wchodzimy do pierwszego pokoju po prawej stronie. – Postaw gdziekolwiek.

Pokój jest mniej więcej tej samej wielkości co mój. Pożółkłe, puste ściany, na których gdzieś tam widnieją rysy i pęknięcia, powstałe w przeszłości. Podłoga trzeszczy jeszcze bardziej niż schody. Każdy krok słychać chyba w całym domu.

– Bardzo tu... – zaczyna Wren. W pierwszej chwili myślę, że zawahał się, bo szukał odpowiednich słów, potem jednak widzę, że daje sobie spokój i tylko wzrusza ramionami.

– Uroczo. Można tu sporo zrobić. Właśnie po to przyszłam, prawda? Specjalnie włożyłam robocze ciuchy. – Wskazuję swoje stare szare spodnie od dresu i luźną czarną koszulkę, na której od Bożego Narodzenia do dzisiaj widnieją ślady lakieru, gdy razem z Ruby odnawialiśmy dla taty szafkę na przyprawę. Zebrałam włosy w koński ogon, którego końce łaskoczą mnie między łopatkami.

– Podziel się ze mną swoim optymizmem – prosi Wren i ponownie rozgląda się po pokoju. Jest w nim już rama łóżka i biurko przy ścianie. Stoi pod oknem. Wystarczą trzy kroki, żebym do niego podeszła.

– Fantastyczny widok na ogród sąsiada. – Uśmiecham się do niego przez ramię. – Możesz ich szpiegować. No wiesz, gdybyś nie miał nic innego do roboty.

– Szczerze mówiąc, przychodzą mi do głowy lepsze pomysły – odpowiada cicho.

Z mojej twarzy znika uśmiech, kiedy myślę o innych rzeczach, które być może miał na myśli. Nagle przed oczami stają mi obrazy, na które w tej chwili

absolutnie nie ma miejsca.

Jakby tego było mało, czuję, że się czerwienię.

– Przyniosłam wszystko, co udało mi się znaleźć – mówię szybko, zdejmując torbę z ramienia i kładąc ją na biurku. Wyjmuję z niej taśmę klejącą, folię i wałek do malowania. – Kupiłeś farbę?

– Tak. – Wren wskazuje dwa wiadra przy drzwiach. A potem podchodzi do mnie i podnosi rolkę taśmy klejącej.

Dyskretnie obserwuję go z ukosa.

Choć znamy się od niedawna i nigdy nie powiedział tego wprost, wyczuwam, jak bardzo poruszyła go ta przeprowadzka. Nie tylko w tej chwili, także podczas tych kilku tygodni, kiedy ze sobą rozmawialiśmy.

Początkowo nasz kontakt ograniczał się do komentarzy pod moimi wpisami. Wren dotrzymał słowa z imprezy i przeczytał cały blog; nagle każdego dnia czekał na mnie co najmniej jeden nowy komentarz; napisał coś nawet pod moim pierwszym wpisem. Czasami było to tylko kilka słów, innym razem cała epopeja o tym, że nigdy nie zastanawiał się nad postrzeganiem grubych osób i że tak naprawdę to media kształtują społeczne gusta i kierują naszą uwagę w określoną stronę. Niektóre komentarze stały się zaczątkiem ciekawych dyskusji, najpierw na blogu, potem w prywatnych wiadomościach na Instagramie. Kiedy w końcu wymieniliśmy się numerami telefonów, już od dawna rozmawialiśmy nie tylko o moim blogu, lecz o wszystkim i o niczym. Opowiadał mi, co się dzieje u niego w domu, o ojcu, który nie jest w stanie spojrzeć w oczy ani jemu, ani jego mamie, o strachu, że nie dostanie stypendium i nie będzie mógł studiować w Oksfordzie. Opowiadałam mu, jak czasami nie mam siły wstać z łóżka, nie dlatego, że jestem zmęczona, lecz dlatego, że brakuje mi siły, by zmierzyć się z kolejnym dniem, i że, o ironio losu, zazwyczaj właśnie w te dni powstają najbardziej inspirujące, optymistyczne posty na blogu.

Zadziwiające, że z niektórymi osobami tak się po prostu dzieje. Zwłaszcza kiedy zapada noc i reszta świata pogrąża się w spokojnym śnie.

– Najpierw zakleimy gniazdka – decyduję i wskazuję taśmę klejącą w jego dłoni.

Mruczy coś niezrozumiałe w odpowiedzi.

Szturcham go w ramię. Posyła mi pytające spojrzenie.

– Nie bądź taki. Będzie fajnie.

– Gdybyś widziała mój dawny pokój, zrozumiałabyś, dlaczego mi się to nie podoba.

– Zacznij od tamtego kontaktu – mówię, puszczając jego uwagę mimo uszu.

Sięgam po wałek, rozkładam sprzęt do malowania wzdłuż dłuższej ściany pomieszczenia. W pojemniku ciągle widnieją jasnozielone i szare smugi po naszym ostatnim malowaniu i nagle przypominam sobie mamę, która roześmiana stoi na drabinie, i Ruby, która celuje we mnie z pędzla jak z pistoletu.

Spoglądam na Wrena, który okleja taśmą dolną część gniazdka.

– Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że to okropne uczucie stracić dom – mówię. Nieruchomieje na chwilę, ale potem pracuje dalej, jak gdyby nigdy nic. – Ale z czasem uda ci się spojrzeć na to z dystansem. Nie ma innego wyjścia, albo to, albo osiwiejesz.

Teraz patrzy na mnie rozbawiony.

– Można osiwieć ze złości?

Energicznie potakuję.

– Chcesz być jedynym siwym osiemnastolatkiem w promieniu pięciuset kilometrów? Nie sądzę. – Kiwam głową i wstaję. Podchodzę do biurka po folię.

– Popatrz, a ja myślałem, że to nowa moda. Czy mi się zdaje, czy ostatnio czytałem na jakimś blogu o babcinym stylu?

Uśmiecham się pod nosem. Także i ten wpis musiał skomentować. Byłam wtedy z rodzicami w Londynie i zobaczyłam na ulicy młodą kobietę, której styl bardzo mi się spodobał. Miała na sobie spódnicę w kwiaty i związaną w pasie dzinsową koszulę, ale najfajniejsze były jej włosy; upięte srebrne warkoczki i postrzępiona grzywka. Spontanicznie zapytałam ją, czy zgodziłaby się wystąpić gościnnie na moim blogu, a potem przez mniej więcej godzinę wypytywałam o fryzurę.

– *Granny look* polega na tym, że człowiek celowo farbuję sobie włosy na siwe. Poza tym trzeba mieć wyczucie, a nie powoływać się na modę, kiedy jest się w złym humorze. A to naprawdę jest superpokój. – Zataczam ramieniem łuk, obejmując nim całe pomieszczenie. – Musimy tylko włożyć w niego trochę pracy.

Wren wstaje i przegląda mi się przez dłuższą chwilę. W końcu kiwa głową.

– Masz rację. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Lepiej bierz się do pozostałych gniazdek.

Kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu, w końcu kiwa głową i posłusznie zajmuje się pracą. Ja tymczasem otulam folią kaloryfer, który także widział już lepsze czasy.

Już mam sprawdzić w internecie, czy kaloryfer można pomalować normalną farbą, gdy deski podłogi w korytarzu trzeszczą głośno.

W progu staje wysoka kobieta, zapewne mama Wrena. Ma ciemnobrązową skórę, takie same oczy jak Wren i krótkie ciemne włosy. Na mój widok uśmiecha się ciepło.

– Ember, prawda? – Podchodzi do mnie. Wydaje się autentycznie zadowolona na mój widok, więc obejmuję ją serdecznie.

– Bardzo mi miło, pani Fitzgerald – odpowiadam grzecznie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I proszę, mów mi Christine. – Wyzwała się z moich objęć i rozgląda ciekawie. Jej wzrok zatrzymuje się na folii na podłodze. – Jak widzę, ostro wzięliście się do roboty.

– Ember ma wielkie wizje co do tego pokoju – odpowiada Wren z drugiego końca. Wstaje. – Pomóc ci, mamó?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Chciałam tylko powiedzieć, że idę po zakupy. Podobno gdzieś w pobliżu jest Tesco. Kupić wam coś?

Wren myśli intensywnie.

– Może sok pomarańczowy?

– Już zapisałam. Ember?

– Nie, dziękuję.

Christine wodzi wzrokiem między nami.

– Gdybyście potrzebowali pomocy przy malowaniu, dajcie znać.

– Oczywiście, mamó.

Uśmiecha się i znika za drzwiami. Odwracam się do Wrena.

– Przepiękna – szepczę.

– Miło, że to mówisz. Kiedyś była modelką – odpowiada.

– Naprawdę?

Potwierdza ruchem głowy.

– Występowała na pokazach mody w Paryżu i Mediolanie. Ale to było ponad dwadzieścia lat temu.

– O rany. To musiały być cudowne chwile – mówię z przejęciem.

– Sam nie wiem. – Wren wzrusza ramionami. – Rzadko o tym opowiada.

– Właściwie dlaczego?

Wren przykleja ostatni kawałek taśmy przy kontakcie, a potem prostuje się i podchodzi do biurka.

– Myślę, że czasami tęskni za dawnym życiem. W każdym razie zmienia temat, ilekroć rozmowa schodzi na tamte czasy.

– Och. – Zatrzymuję się przy nim i wyjmuję z torby pozostałe rzeczy. – To samo robi mój tata. On także właściwie nigdy nie wspomina czasów sprzed

wypadku, jakby wcale ich nie było.

Wren kładzie jeden z wałków na pojemniku na farbę. Powoli unosi wieko. Nie patrząc na mnie, dodaje:

– Mama jest ostatnio trochę dziwna.

– Jak to?

Bierze ode mnie wałek, niespokojnie obraca go w dłoniach.

– Udaje, że to wszystko nie robi na niej wrażenia, ale... – Waha się przez chwilę. – Wczoraj słyszałem, jak płakała w łazience. Ściany są tu dosyć cienkie.

Zagryzam usta.

– Taka zmiana nikomu nie przychodzi łatwo – mówię cicho. – Trochę czasu musi upłynąć, zanim się do tego przyzwyczai.

Wren milczy przez dłuższą chwilę, a potem gwałtownie nabiera tchu.

– Nie znoszę, kiedy płacze.

Wydaje się tak bezradny, tak załamany, że najchętniej podeszłabym do niego i serdecznie objęła. Mimo to nie ruszam się z miejsca.

– W sumie to lepiej, że płacze, bo razem ze łzami człowiek wyrzuca z siebie frustrację.

Wren kiwa głową, choć nie wydaje się przekonany.

– Może powinna wyjść na dach i wrzeszczeć na całe gardło, żeby pozbyć się wszystkiego, co jej doskwiera.

Teraz kąciki jego ust unoszą się odrobinę.

– Sąsiedzi zapewne mieliby niezły ubaw.

– Fakt. Niech lepiej z tym poczeka, aż zaprzyjaźnicie się ze wszystkimi w okolicy, wtedy nikt nie będzie miał jej tego za złe.

Rozkładałam pędzle na biurku i oglądałam każdy po kolei, żeby zdecydować, od którego zacznę.

Po chwili orientuję się, że Wren mi się przygląda. Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Co jest? – pytam.

Przesuwa wzrokiem po mojej twarzy, lekko rozchyła usta. Po chwili jednak zamyka je z powrotem i zaciska je w wąską kreskę.

– Nic – odpowiada i wskazuje kabełek z farbą. – Zaczynamy?

– Przecież po to tu jestem, prawda?

Przez cały czas, gdy malujemy ściany nowego pokoju Wrena, zastanawiam się w duchu, na jakie słowa zabrakło mu odwagi.

# Ruby

Mój kalendarz wygląda zupełnie inaczej niż zaledwie tydzień temu.

Do tej pory organizowałam swój dzień na podstawie planu lekcji, spotkań komitetu organizacyjnego i przygotowań do Oksfordu, ale teraz nie mam powodu, by rano wstawać o określonej godzinie czy odrabiać lekcje na konkretny dzień. Początkowo całkiem zbiło mnie to z tropu, ale potem postanowiłam, że nie pogrążę się w rozpacz, tylko zbuduję sobie nową rutynę.

Przedpołudnia spędzam w małej miejskiej bibliotece, gdzie przegryzam się przez kolejne pozycje z listy lektur oksfordzkich i jednocześnie szykuję do egzaminów końcowych. Po lekcjach James albo Lin przywożą mi notatki z zajęć z danego dnia, nad którymi ślęczę do wieczora i staram się zrozumieć wszystko, o czym była mowa na zajęciach.

Dziwnie się czuję, nie chodząc do szkoły. Z każdym mijającym dniem jest mi trudniej pozbyć się obaw, które od poniedziałku co chwila wracają, zdają się mnie dławić. Nie dają mi spokoju, gdy idę do biblioteki, męczą mnie w drodze do domu. Są przy mnie, kiedy siadam do kolacji z rodziną, nie dają mi zasnąć, choć James dzwoni do mnie i opowiada o wszystkim i o niczym, byle tylko odwrócić moją uwagę.

Ale nie poddam się bez walki. Nie chcę pogodzić się z zaistniałą sytuacją. James przedstawił Cyrilowi ultimatum i póki nie minął wyznaczony czas, kurczowo chwytam się nadziei, że dyrektor pozna prawdę i pozwoli mi wrócić do Maxton Hall. W tej chwili nie jestem w stanie zastanawiać się, co będzie, jeżeli wszystko rozegra się inaczej. Jeżeli sobie na to pozwolę, zobaczę, jak cała moja przyszłość pęka niczym bańka mydlana, a tego po prostu nie zniosę.

Ember natomiast codziennie przedstawia mi nową alternatywę, na wypadek gdyby plan A (Oksford, nieważne jakim sposobem) się nie powiódł. Dotychczas zaprezentowała mi plan B (ubiegać się o staż u Alice Campbell, a później pracować w jej fundacji kulturalnej) oraz plan C (rzucić wszystko w cholerę i razem z nią otworzyć firmę odzieżową), przy czym oczywiście ten ostatni wariant budzi w niej dużo większy entuzjizm niż we mnie, przynajmniej na razie.

Odchylam się i prostuję ręce nad głową. O obitych szarym materiałem bibliotecznym krzesłach można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są wygodne. Albo stabilne. W ciągu minionych trzech dni ustaliłam, że są tu dokładnie dwa, które się nie kołyszą, przy czym w jednym w regularnych

odstępach czasu wypada śrubka. Przekonałam się o tym na własnej skórze, bo dwukrotnie mało nie dostałam zawału, kiedy nagle siedzenie przesunęło się pod mną i prawie runęłam na ziemię.

Na razie nic mi się nie stało, jestem jednak prawie na sto procent pewna, że William, emeryt, który także codziennie przesiaduje w bibliotece, przeprowadził takie same badania na temat krzesel, bo ilekroć pojawia się tu przede mną, zajmuje jedyne niekiwające się, niegroźące upadkiem krzesło i obserwuje mnie z niemal szelmowskim błyskiem w oku, gdy zrezygnowana wybieram jedno z gorszych miejsc.

I tak go lubię.

Kiedy w piątkowy rano staję przed drzwiami biblioteki, okazuje się, że jest zamknięta ze względu na inwentaryzację i otworzy podwoje dopiero w południe. W pierwszej chwili jestem zbита z tropu, ale w końcu ląduję z książką w małej kafejce i tam zabijam czas. Punktualnie o dwunastej melduję się pod drzwiami, gdzie jest już także William. Kiedy kilka godzin później wychodzę, po raz pierwszy uśmiecha się do mnie, bo do tej pory to ja, gdy pakowałam swoje notatki i wychodziłam z małej czytelnicy, żegnałam go lekkim uśmiechem. Zachwycona tym małym zwycięstwem ruszam do domu.

– Jestem! – krzyczę już od progu.

– W kuchni – odpowiada tata.

Zdejmuję buty i wieszam cienką kurtkę w szafie.

– William dzisiaj po raz pierwszy się do mnie uśmiechnął – oznajmiam jeszcze w przedpokoju. – On chyba mnie...

Zatrzymuję się w pół kroku i mrugam nerwowo.

Tata nie jest w kuchni sam.

Za kontuarem stoi James.

Zakasał wysoko rękawy białej koszuli, aż za łokcie. W jednej dłoni trzyma ziemniaka, w drugiej obieraczkę. Tata siedzi obok i kroi kartofle w cieniutkie plasterki.

W pierwszej chwili nie jestem pewna, czy to się dzieje naprawdę, czy śnię właśnie przedziwny sen.

– Co wy... Co wy tu robicie? – wykrztuszam z trudem.

– Zapiekankę – odpowiada tata, nie podnosząc wzroku znad deski do krojenia.

Przyglądam się uważnie Jamesowi i od razu widzę, że coś jest nie w porządku.

Widzę to w jego oczach, jego postawie i ponurej aurze, która go otacza.

– Wszystko dobrze? – pytam. Staram się zachować spokój w głosie, ale nic

nie poradzę na to, że cała się spinam i odruchowo zaciskam dłonie na szelkach plecaka.

James chrząka. Patrzy na swoje dłonie, jakby na chwilę zapomniał, co właściwie robi, a potem znowu podnosi wzrok. Kącik jego ust wędruje minimalnie w górę. To nie jest prawdziwy uśmiech, zaledwie żalosna próba, która sprawia, że w moim żołądku narasta niepokój.

– Chciałem cię odwiedzić, ale nie było cię w domu – odpowiada i zerka na tatę. – I dlatego twój tata zatrudnił mnie jako kuchcika.

Obserwuję ich spod zmarszczonych brwi.

– Okazało się, że wcale nie jestem taki zły, jak można było przypuszczać – dodaje, a tata potwierdza ruchem głowy.

– Prawda. Doszliśmy już do tego, że mamy więcej ziemniaka niż łupiny.

W innych okolicznościach rozbawiłby mnie ten komentarz, ale w tej sytuacji nie ma niczego komicznego. James stoi w koszuli z zakasnymi rękawami i włosami, które wyglądają, jakby wielokrotnie przeczesywał je palcami. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. Zazwyczaj wypełnia sobą nawet największe pomieszczenie, ale teraz wydaje się niepewny siebie i zagubiony. Jakby sam nie wiedział, gdzie jest, a tym bardziej co ma dalej robić.

– Idźcie na górę i porozmawiajcie, a ja skończę obiad – decyduje tata. – James, bardzo mi pomogłeś, ale z resztą poradzę sobie sam.

James waha się przez chwilę, ale potem kiwa głową i podaje tacie obieraczkę. Odkłada ziemniaka na deskę, podchodzi do zlewu i myje ręce.

Posyłam tacie uśmiech pełny wdzięczności. Odpowiada tym samym, chociaż widzę niepokój w jego wzroku. Nie wiem, czy martwi się o mnie, czy o Jamesa.

Czekam, aż James skończy myć ręce, a potem razem idziemy na górę, do mojego pokoju. Zdejmuję plecak i odwracam się do chłopaka, podczas gdy on stoi niepewnie na środku pomieszczenia.

Podchodzę bliżej. Podnoszę na niego wzrok. Odwzajemnia moje spojrzenie i znowu wygląda, jakby chciał się do mnie uśmiechnąć.

– Nie musisz się uśmiechać, jeżeli nie masz na to ochoty – szepczę. Obawiam się, że zniknie przy najmniejszym odgłosie. Wynika to zapewne z tego, że nigdy nie widziałam go w takim stanie. Nie mam pojęcia, co robić. Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozsądne rozwiązanie: dać mu czas.

– Zrobiłem to – mówi w końcu ochryple. Chrząka. – Odszedłem z Beauforta. Znaczenie jego słów dociera do mnie dopiero po dłuższej chwili.

– Słucham? – pytam ledwo słyszalnym głosem.

– Byłem świadkiem tego, jak ojciec chciał przekupić Suttona, żeby trzymał



się z daleka od Lydii. – Potrząsa głową, przeczesuje włosy palcami. – Nie wiem, jak to się stało, ale coś we mnie pękło. Dotarło do mnie, jakie to wszystko jest nieuczciwe. I że nie mogę tak dalej.

Moje dłonie niemal odruchowo znajdują jego biodra.

– Powiedziałem mu, że nie chcę mieć nic więcej wspólnego z Beaufortem i że sprzedam swoje udziały.

Wstrzymuję oddech.

Zaledwie kilka tygodni temu James wyznał mi, że obawia się, że sprawi matce zawód i zmarnuje dzieło jej życia, jeżeli nie uda mu się kontynuować jej pracy i kierować firmą tak, jak by tego chciała. Wyzwolenie się spod wpływu ojca zawsze było jego największym marzeniem, ale nigdy nie było szans na jego spełnienie. Nieważne, jak bardzo mu tego życzyłam. Fakt, że dzisiaj to zrobił, ze wszystkimi konsekwencjami, które przyniesie ta decyzja, nie mieści mi się w głowie.

– Jak zareagował? – pytam szeptem.

– Powiedział, że mogę nie wracać do domu.

Coś boleśnie kłuje mnie w piersi, zwłaszcza kiedy widzę, z jakim trudem James zachowuje panowanie nad sobą. Jest blady jak ściana; kiedy dotykam jego dłoni, czuję, jakie są lodowate.

– Ja już nie mam rodziny, Ruby. – Głos mu się załamuje.

Zarzucam mu ręce na szyję.

Drży, gdy odwzajemnia uścisk. Przywiera do mnie rozpaczliwie. Odruchowo wracam myślami do tamtego dnia, gdy po śmierci jego matki pojechałam do niego do domu i tuliłam go, gdy płakał. To jest podobny moment.

Nie wiem, jak długo tak stoimy. Ciszę wypełniają tylko nasze oddechy, początkowo szybkie i nerwowe, z czasem coraz spokojniejsze.

W końcu James odsuwa się odrobinę i patrzy na mnie. Ma rumieńce na policzkach i zaczerwienione oczy.

– Chciałem... Chciałem do ciebie – wyznaje cicho. – Przepraszam, że zwałam to wszystko na twoje barki.

Energicznie potrząsam głową.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Chcę być dla ciebie wsparciem.

– Kiedy wychodziłam z Beauforta... – Głośno wypuszcza powietrze z płuc. – Jeszcze nigdy nie czułem się równie wolny. Jakbym teraz mógł zrobić wszystko, czego zapragnę.

Posyłam mu pytające spojrzenie.

– Ale dociera do mnie powoli, co tak naprawdę zrobiłem. – Z trudem przełyka

ślinę. – I co to oznacza z perspektywy reszty mojego życia.

Sięgam po jego dłoń, przyciągam go do siebie, na łóżko. Siadamy. Odwracam się do niego. Nasze palce cały czas są splecione.

– Razem przetrwamy wszystko, co się wydarzy.

James patrzy na nasze dłonie. Włosy opadają mu na czoło. Najchętniej znowu wzięłabym go w ramiona.

– Potrzebujesz czegoś? – pytam tylko. – Musimy jechać do ciebie do domu po rzeczy?

– Nie – odpowiada z wysiłkiem. – Najważniejsze zabrałem prosto po spotkaniu. Wziąłem także swój samochód. Mam konto, do którego ojciec nie ma dostępu, na które wpływa moja pensja z Beauforta i gdzie znajduje się wszystko, co w ciągu minionych lat udało mi się zaoszczędzić. – Po chwili wahania dodaje: – Na najbliższy tydzień zarezerwowałem pokój w hotelu. Tutaj, niedaleko.

Oczy zachodzą mi łzami.

– Nie musisz nocować w hotelu – zapewniam. – Moi rodzice na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu, żebyś zatrzymał się u nas.

– Nie mogę tego od was oczekiwać, Ruby. I bez tego macie dość kłopotów.

Kręci głową.

– Nie pozwolę ci zamieszkać w hotelu, nie po tym, co się stało.

James wzdycha, zanim jednak zdąży coś powiedzieć, ujmuję jego twarz w dłonie.

– Zostań u nas. U mnie.

Zamyka oczy, pochyla się, aż dotykamy się czołami. Delikatnie muskam opuszkami palców jego skórę.

– Kocham cię, Ruby.

Słyszając te ciche słowa, ja także zamykam oczy.

Ta chwila jest wyjątkowa, jak koniec czegoś wielkiego i zarazem początek pełny nadziei i możliwości. James na to zasłużył. To najodważniejszy chłopak, jakiego znam. Jestem z niego bardzo dumna.

Kiedy tak siedzimy wtuleni w siebie, raz za razem szepczę mu to do ucha.

## Lydia

Po niecałym tygodniu w Beckdale dowiedziałam się o mojej ciotce następujących rzeczy:

W jej domu zawsze coś się dzieje. Nawet kiedy jej nie ma, przyjaciele i znajomi wpadają na siebie na korytarzu, każdy objuczony papierami jak katalogami, każdy chcący poznać jej zdanie.

Moja ciotka nigdy nie daje nikomu odczuć, że jest nie na miejscu. Odkąd tu mieszkam, ochoczo wzięła mnie pod swoje skrzydła i cały czas daje mi do zrozumienia, że cieszy się, że tu jestem, nawet jeżeli prowadzi akurat ważną rozmowę albo telekonferencję ze współpracownikami z jednej z firm podlegających Beaufortowi. Nawet w nocy mogłabym brykać na jej łóżku, kiedy smacznie śpi, a ona i tak posłałaby mi przyjazny uśmiech i przybiła piątkę. Taka jest fajna.

Dowiedziałam się także, że jest fanką Jonas Brothers.

Tak jest. Moja czterdziestodwuletnia ciotka uwielbia, jak to sama określiła, energetyczny pop Jonas Brothers. Ilekroć z głośników płynie kolejna piosenka tego zespołu, patrzę na nią z niedowierzaniem i obserwuję, jak nuci pod nosem i co najmniej jedną stopą wybija rytm.

– No i co się tak gapisz? – rzuca nagle, nie odrywając wzroku od szkicownika.  
– Ten kawałek to klasyka.

Mówi to z takim przekonaniem, że chce mi się śmiać. Szybko pochylam się nad szkicownikiem.

Siedzimy jej w gabinecie, ona za biurkiem, ja na fotelu w kącie, po drugiej stronie pomieszczenia. Ostatnio ciągle obserwowałam ją z tego miejsca, jak pracuje, słuchałam jej rozmów telefonicznych i ze zdumieniem stwierdziłam, że ciągle ma pełne ręce roboty.

Najbardziej jednak podziwiam to, że w przeciwieństwie do moich rodziców udaje jej się nie tylko pracować od rana do nocy, lecz także wykorzystać każdą chwilę wolnego czasu. Po długim dniu w biurze wieczory spędza w ogrodzie

albo zaprasza przyjaciół na lampkę wina. Albo siada w oranżerii i rysuje.

– Najważniejsza jest równowaga – odparła, gdy zapytałam, jak to robi. – Beckdale daje mi spokój, niezbędny, by znaleźć w sobie twórczą energię.

Długo myślałam o jej słowach i intryguje mnie, dlaczego ojciec tak bardzo ograniczył nasze kontakty. Pamiętam koszmarne rodzinne kolacje, które zawsze kończyły się nieprzyjemnościami i po których ojciec przedstawiał Ophelię jako szaloną, niepoważną hipiszkę, której nie można powierzać poważnych decyzji. Stopniowo dociera do mnie, że to nieprawda.

Zerkam na projekt, nad którym pracuję od godziny. Dopiero w przyszłym tygodniu zaczynam prywatne lekcje. Ophelia nalegała, żebym w ciągu dnia towarzyszyła jej i rysowała. Jej zdaniem to oderwie moje myśli od innych spraw. Dodała także:

– Dawniej zawsze bardzo mi się podobały twoje projekty. Jestem ciekawa, w którym kierunku się rozwinęłaś.

Początkowo krępowałam się rysować w jej obecności. Poza tym brakowało mi pomysłów. Teraz jednak to już prawie rutyna, że siadam na fotelu i coś bazgrzę.

– Jutro przyjadą James i Ruby – mówię po chwili i zerkam na ciotkę. Dzisiaj ma na sobie długą do ziemi białą spódnicę i dzinsową koszulę, związaną na supeł w pasie. Włosy zebrała w luźny kok, z którego wysuwają się niesforne kosmyki. Moja mama nigdy w życiu w takim stroju nie wyszłaby z domu, że już nie wspomnę o pójściu do biura, a jednak w tej chwili Ophelia jest do niej tak podobna, że łapię się na tym, że przyglądam jej się odrobinę za długo.

– Cieszę się, że poznam Ruby – mówi. Nawet jeżeli zauważyła mój wzrok, nie komentuje tego, upija tylko łyk kawy z ogromnego kubka i natychmiast się krzywi. – O nie, już wystygła. – Odsuwa kubek od siebie.

– Zaparzyć ci świeżą? – Chcę wstać, ale Ophelia powstrzymuje mnie gestem.

– Nie, daj spokój. I tak jest już późno. Jeżeli teraz wypiję kawę, nie zasnę przez pół nocy. – Przeciąga się i wstaje z krzesła. Podchodzi do mnie. – Pokaż – mówi.

Podaję jej szkic. To sukienka portfelowa, prosta i elegancka. Taki strój, który moja mama nosiła praktycznie codziennie. Kiedy to rysowałam, czułam z nią dziwną więź.

– Och – mówi Ophelia nade mną. Jej ton zdradza, że także to zauważyła. – Naprawdę ładne.

Wbijam spojrzenie w rysunek i unikam jej wzroku.

Odkąd tu zamieszkałam, ani razu nie nalegała, żebym się jej zwierzyła. Nie

wypytywała o ojca, nie poruszyła tematu ciąży i choć z jednej strony cieszę się, że nie muszę o tym rozmawiać, z drugiej zastanawia mnie jej zachowanie. Traktuje mnie, jakby nic się nie stało, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, że mając osiemnaście lat, spodziewam się bliźniąt i mieszkam u niej.

Może w ten sposób radzi sobie z problemami. Albo chce dać mi czas, aż będę gotowa, żeby z nią pogadać.

– Nie mam pewności co do kolorów – mówię w końcu. – Coś mi tu nie pasuje.

Czuję, jak przez dłuższą chwilę przygląda mi się z ukosa, a potem delikatnie gładzi po ramieniu.

– Twoja mama zawsze radziła, żeby w takiej sytuacji zdać się na instynkt.

Patrzę na kredki na stoliku i sięgam po jasnoszarą. Niespokojnie obracam ją w dłoniach i zastanawiam się, co w mojej sytuacji zrobiłaby mama.

– Nie wiedziałam, że razem rysowałyście – mówię i w końcu patrzę na Ophelię.

– Bezustannie – odpowiada i siada na sąsiednim fotelu.

– Tylko ubrania czy też inne rzeczy?

Ophelia śmieje się cicho.

– Głównie ciuchy, ale twoja mama rysowała też komiksy. Niektóre były megaśmieszne.

– Naprawdę? – Tego sobie w ogóle nie wyobrażam. Mama zawsze była śmiertelnie poważna i skoncentrowana na ważnych sprawach.

– Zanim musiała zająć miejsce naszego ojca, Cordelia była bardzo beztroska i pozwalała sobie na niejedną żarcik.

Usiłuję sobie wyobrazić, jak wtedy wyglądała: w luźnej sukience, z rozczochranymi rudymi włosami, ze szkicownikiem na kolanach. O dziwo, to wcale nie takie trudne, jak mi się wydawało. Wypełnia mnie ciepło, chrząkam, żeby pozbyć się guli, która nie wiadomo kiedy zjawiała się w gardle.

Chciałabym ją taką poznać.

Muzyka płynąca z głośników wydaje się nieodpowiednia. Nie pasuje do poważnej rozmowy.

– Mam zdjęcia z tamtych czasów, zarówno jej, jak i jej komiksów. Twoja mama zostawiła tu wszystkie swoje albumy. Jeżeli chcesz, mogę ich poszukać.

– Byłoby super. Dziękuję.

Ophelia w zadumie przesuwa mój szkicownik na stole.

– Dawniej zawsze sobie wyobrażałyśmy, co pewnego dnia zrobimy z Beauforta – zaczyna po chwili. – Twoje projekty z dzieciństwa... – Na jej

ustach pojawia się nieśmiały uśmiech. Odnajduje mój wzrok. – Miałyśmy z twoją mamą te same plany. Kolekcja damska. Rozwój firmy w nowym kierunku.

– I co się zmieniło? – pytam.

– Poznała Mortimera. Pozwoliła, by on i nasz ojciec wmówili jej, że za żadne skarby świata nie może zerwać z tradycją. Jeszcze długo miałam nadzieję, że pewnego dnia zmieni zdanie i ponownie ściągnie mnie na pokład, ale... – Ophelia wzrusza ramionami. – Najwyraźniej później już tego nie chciała.

Na chwilę zapada cisza. Wsłuchujemy się w gitarowe riffy kolejnej piosenki.

W końcu ponownie zabieram głos.

– Jak myślisz, masz jeszcze szansę, by to zrealizować?

– Odkąd Cordelia... Odkąd jej nie ma, już w to nie wierzę, nie. – Z trudem przełyka ślinę. – Wiedziałaś, że ani razu nie wymieniła mnie w testamencie?

Głośno nabieram tchu.

– Nie, nie miałam pojęcia.

Nie było mnie nawet na odczytaniu testamentu. Po śmierci mamy tata załatwił wszystko z naszym prawnikiem, co akurat bardzo mi odpowiadało. Nie chciałam wiedzieć, co zostawiła mi w spadku. Chciałam tylko, by do nas wróciła.

– Zapisała wszystko Mortimerowi. Jak na osobę, dla której tradycja firmy była tak ważna, złamała odwieczną regułę.

– Jak to? – pytam zdumiona.

– Od wielu pokoleń Beauforta dziedziczy najbliższy żyjący krewny. W przypadku naszego taty była to Cordelia. Po jej śmierci firma powinna trafić w wasze albo moje ręce.

– Nie do wiary – mówię zdumiona. – Dlaczego tak postąpiła?

– Od ponad dwudziestu lat byli niepokonanym duetem. Może chciała postawić na pewnego konia, który poprowadzi firmę tak, jak to sobie wymyśliła.

Już miałam coś odpowiedzieć, ale naszą rozmowę przerywa głośny dzwonek do drzwi. Ophelia wykonuje gest sugerujący, że jeszcze nie wyczerpałyśmy tego tematu, po czym podrywa się i oddala w kierunku drzwi wejściowych.

Niecałe pół minuty później słyszę, jak woła mnie z dołu. Podnoszę głowę.

– Tak?

– Masz gościa.

Wstaję ze zmarszczonym czołem. Zerkam na zegarek. Dochodzi ósma wieczorem. Zastanawiam się, czy to Cyril. James mówił, że z nim o mnie rozmawiał.

A co, jeżeli to naprawdę on? Na samą myśl zaciskam zęby i pięści. Powoli

schodzę na parter. Ale kiedy wkraczam do holu i widzę, kto stoi na progu, moje serce robi salto.

To nie Cyril.

To Graham.

## Alistair

Dzisiejszy trening to był istny koszmar. James, Wren i Cyril znowu nie przyszli, co nie tylko wpływa na kiepską atmosferę w drużynie, ale też doprowadza trenera na skraj wytrzymałości. Zarządził tyle dodatkowych rund dookoła boiska, że pod koniec prawie nie czuję nóg i boję się, że zwymiotuję z wyczerpania. Najchętniej uciekłbym do domu, do łóżka, i zapomniał o całym makabrycznym tygodniu.

Ale Roger Cree zaprasza nas na piwo do Black Fox, a ponieważ nie uśmiecha mi się kolejny samotny wieczór, idę z resztą chłopaków.

Ten rok szkolny miał być naszym najlepszym rokiem w życiu. Teraz tylko uśmiecham się z politowaniem na wspomnienie szczenięcej naiwności z minionych wakacji. Od tego czasu właściwie wszystko się zmieniło: Wren, odkąd wyprowadził się do skromniejszego domu, prawie nie patrzy nam w oczy, Cyril od tygodnia nie pokazuje się w szkole, James rozpaczliwie usiłuje zadowolić jednocześnie swojego ojca, Lydię i Ruby.

A ja... A ja pozwoliłem, by najlepszy przyjaciel złamał mi serce, i teraz muszę się z tym pogodzić.

Kesh, podobnie jak reszta drużyny, także jest w pubie. Siedzi z rezerwowym bramkarzem przy ciemnym drewnianym stole po drugiej stronie pomieszczenia. Najchętniej nie zwracałbym na niego uwagi, ale ilekroć podnoszę wzrok znad piwa, czuję na sobie jego mroczne spojrzenie. Jakby przez cały wieczór nie spuszczał mnie z oczu. Odruchowo wracam myślami do przeszłości. Czuję jego dłonie, jego skórę, jego usta, słyszę jego głos w uszach, słowa bez znaczenia, które szepcze, gdy go pieszczę.

To, że właśnie skończyłem trzecie piwo, bynajmniej nie pomaga w tłumieniu tych wspomnień.

Ilekroć mi się wydaje, że zdołam zapomnieć o wspólnie spędzonych chwilach, wystarczy jedno jego spojrzenie, by wszystko wracało z podwójną siłą. Nie wiem, ile to jeszcze potrwa. Tym bardziej że ciągle próbujemy się przyjaźnić.



Nie mogę się od niego uwolnić, choćbym nie wiadomo jak się starał. A już na pewno nie, kiedy tak na mnie patrzy znad brzegu szklanki.

– Słuchaj, o co właściwie chodzi z Jamesem i resztą waszej paczki? – zagaduje mnie Roger i tym samym wyrywa z zadumy.

– Co? – W pierwszej chwili nie wiem, o czym mówi.

Odstawia szklankę na stół.

– Szczerze? Zaczynam podejrzewać, że celowo chcecie rozwalić tę drużynę.

Patrzę na niego spod ściągniętych brwi.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Beaufort już prawie w ogóle nie przychodzi na treningi, bo woli nudzić się na posiedzeniach komitetu organizacyjnego. Fitzgeralda i Vegi nie widziałem od kilku tygodni. Że już o tobie nie wspomnę. Sam wiesz, jak kiepsko ci idzie.

Zastygam w bezruchu z piwem w dłoni. Najchętniej wylałbym mu je na głowę.

– Co ty w ogóle wiesz? – rzucam zadziornie. – Gdyby Jamesa nie zawieszono w zeszłym semestrze, nie miałbyś szans dostać się do drużyny. Nie masz pojęcia, z czym w tej chwili mierzą się moi kumple, więc lepiej uważaj, co mówisz.

Cree naburmusza się.

– I tak dostałbym się do drużyny. Powiedzmy sobie szczerze: każdy z nas ma własne problemy, ale żeby ciągle zrywać się z treningu? Uważacie się za takich ważnych, a tak naprawdę jesteście tylko rozpuszczonymi gnojkami, którzy mają za dużo czasu i pieniędzy.

Podrywam się z krzesła tak energicznie, że upada na ziemię. Robię krok w kierunku Rogera i chcę go złapać za ramię, ale wtedy ktoś kładzie dłoń na moim ramieniu.

Nie muszę się odwracać, by wiedzieć kto. Gdybym nie poznał go po delikatnym, ale stanowczym uścisku, zdradziłby go niepowtarzalny zapach. Uwielbiam jego zapach. Do tego stopnia, że czasami po treningu pożyczam od niego dezodorant, twierdząc, że zapomniałem swojego, choć to oczywiście nieprawda.

– Daj spokój, Alistair – mówi cicho za moimi plecami.

Strącam jego dłoń z ramienia, ciągle wpatrzony w Rogera.

– Odszczekaj to.

Roger śmieje się gorzko.

– Beaufort może balować całymi dniami, ale na trening nie dociera. Kapitan nie zostawia swoich ludzi w trudnej sytuacji.

– Słuchaj, jesteś w drużynie niecały rok i już uważasz, że masz prawo oceniać Jamesa? Nie masz pojęcia, ile ta drużyna mu zawdzięcza. Gdyby nie on, nie byłoby nas tutaj – mówię tak głośno, że ludzie koło nas przerywają rozmowy i obserwują ciekawie rozwój sytuacji. Mam to w nosie. Słowa Rogera doprowadziły mnie do pasji. A kiedy Kesh znowu dotyka mojego barku, wkurzam się jeszcze bardziej.

Odwracam się do niego.

– Nie dotykaj mnie – warczę i strącam jego dłoń.

– Że już o was dwóch nie wspomnę – Roger ciągnie bez litości. – Przecież i tak wszyscy wiedzą, że wy...

Panika w oczach Kesha sprawia, że działam odruchowo: odwracam się i z całej siły walę pięścią w twarz Rogera. Czuję, jak pod moimi kłykciami trzaskają jego kości, trafiam gdzieś między okiem a nosem, albo i w jedno, i drugie. Cree z jękiem osuwa się na ziemię, a potem wybucha chaos. Pozostali członkowie drużyny otaczają nas szczelnie, Kenton podnosi Rogera, ktoś odciąga mnie do tyłu. Jeszcze nie skończyłem. Znowu chcę zaatakować, chcę mieć pewność, że będzie trzymał buzię na kłódkę i nie opowiadał bzdur o najważniejszym człowieku w moim życiu.

Niestety, nic z tego. Kesh wyciąga mnie na zewnątrz, za róg budynku, do małego zaułka za barem. Dopiero tam mnie puszcza. Stoję plecami do niego, dysząc ciężko, ciągle zaciskam pięści.

– Nie musiałeś tego robić – Kesh po dłuższej chwili przerywa milczenie. Nawet z tej odległości dociera do nas głośna muzyka rockowa z pubu. Usiłuję skupić się na dźwiękach, a nie na nim, stojącym tak blisko mnie, ani na tym, że przed chwilą uderzyłem kolegę z drużyny.

*Nie musiałeś tego robić.*

Wygląda na to, że obaj z Keshem ciągle robimy nie to, czego tak naprawdę chcemy.

– Sam już nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć – mówię. Nagle tracę wszystkie siły. Jakbym dał z siebie już wszystko, na co było mnie stać.

Czuję, że Kesh podchodzi o krok, jestem świadom ciepła jego ciała za plecami. Przeszywa mnie dreszcz.

– Niczego nie chcę usłyszeć. – Kładzie mi dłoń na plecach. Tym razem nieśmiało. Ten dotyk jest inny niż wtedy w pubie. Jest znajomy i delikatny.

Z trudem przełykam ślinę.

– Kesh – rzucam ostrzegawczo.

Jest coraz bliżej, przesuwa dłoń do przodu, na mój brzuch. Klatką piersiową

dotyka moich pleców. Wstrzymuję oddech.

– Alistair – odpowiada ochryple. Muska ciepłym oddechem płatek mojego ucha. Cały pokrywam się gęsią skórką.

– Co ty wyprawiasz? – pytam szeptem.

Tylko Kesh przyprawia mnie o nerwowe podniecenie, o niemal elektryczne drżenie, przenikające od stóp do głów; tylko przy nim wydaje mi się, że jestem w stanie nieważkości.

– Sam nie wiem – odpowiada i powoli przesuwając dłoń po moim brzuchu.

– Za to ja wiem – odpowiadam z trudem. Kesh przysuwa się jeszcze bliżej. – Jeżeli nie przestaniesz, odwrócę się do ciebie. Przycisnę cię do ściany i zacznę całować. I obaj wiemy, co będzie dalej.

– Chyba musisz mi przypomnieć – szepcze Keshav. Obejmuje mnie mocniej. Czuję jego klatkę piersiową na plecach, czuję, że oddycha coraz szybciej, czuję twardość przy moich pośladkach. Mój puls przyśpiesza. – Co dalej?

Śmieję się z trudem.

– Kesh, to doprawdy żałosna próba wyłudzenia pocałunku.

A potem zbieram w sobie resztki silnej woli, chwytam jego rękę i odsuwam od mojego brzucha. Jednocześnie na drżących nogach odwracam się do niego. Od adrenaliny ciągle pulsującej w żyłach kręci mi się w głowie.

Najchętniej poszedłbym sobie i zostawił go samego. Nie mogę się znowu w nim zatracić, nie teraz, gdy wiem, co będzie dalej.

Ale kiedy delikatnie kładzie mi dłoń na policzku, nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

– Alistair – szepcze.

Tak bardzo chciałem jeszcze raz usłyszeć, jak wypowiada moje imię. Tak bardzo. Rozum nakazuje odwrócić się i odejść, zanim będzie za późno, ale kiedy Kesh dotyka ustami moich warg, rozum się wyłącza i natychmiast zapominam o wszystkich powodach, dla których powinienem to natychmiast przerwać.

Nie mogę inaczej. Muszę odwzajemnić pocałunek.

Kesh porusza wargami, najpierw delikatnie, potem coraz pewniej, coraz mocniej. Odruchowo unoszę dłoń do jego twarzy, gładzę jego szczękę, wplatam mu palce we włosy.

Wzdycha bez tchu.

– Cudownie, prawda? – szepcze w moje usta.

Pomrukuje twierdząco.

– Zawsze mogłoby tak być.

Otrzeźwienie przychodzi nagle, uderza nieoczekiwanie. W jednej sekundzie

uświadamiam sobie, że znajdujemy się w ciemnym zaułku i że ta sytuacja to całkowite przeciwieństwo tego, czego od niego chcę.

Nerwowo opuszczam rękę, cofam się o krok.

– Kesh, nie chcę być twoim mrocznym sekretem. Nie wiem, ile razy mam ci to powtarzać.

Jego ciemne oczy rozbłyskują.

– Nie pojmuję, czemu chcesz zniszczyć to, co jest między nami.

– To ty nas niszczysz! – Mój głos niesie się echem w ciasnym zaułku. Spodziewam się, że Kesh niespokojnie obejrzy się za siebie, żeby się przekonać, czy nikt nas nie usłyszał, on jednak nie odrywa ode mnie wzroku.

– Fakt, że do tej pory nie rozumiesz, o co mi chodzi, jest najlepszym dowodem na to, że to błąd – mówię cicho, gorzko.

– To nie jest błąd – sprzeciwia się.

Bezradnie potrząsam głową.

– Kesh, zlituj się.

– Dlatego ze mną zerwałeś? – pyta. W jego głosie słyszę tę samą frustrację, która wypełnia i mnie. – Bo uważasz, że to nie jest dla mnie równie ważne, jak dla ciebie?

Wzdycham zrezygnowany.

– Trudno zerwać z kimś, z kim się tak naprawdę nie jest – zauważam.

Przymyka oczy, oddycha głęboko. Najwyraźniej stara się wziąć w garść.

– Nie jesteś gotowy na związek – tłumaczę. Czuję, jak się czerwienię. – W porządku, ale ze mną jest inaczej.

Kesh robi krok w moim kierunku. Widzę błaganie w jego oczach. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zawsze jest tak cholernie opanowany i zamknięty w sobie. Nikomu, nawet mnie, nie zdradza, co się z nim naprawdę dzieje. Ale w tej chwili jego rozpacz jest tak wyraźna, tak przejmująca, że autentycznie ją wyczuwam.

– Pamiętam, jak było z twoimi rodzicami. Ja... – Urywa, oddycha z trudem. – Ja się po prostu boję.

– Wiem – odpowiadam.

Coming out przed rodzicami był najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu. Ale nie miałem innego wyjścia. Chciałem wreszcie być tym, kim w głębi duszy byłem od dawna. A to oznaczało, że musiałem wyznać rodzicom prawdę. Wtedy było mi obojętne, jakie będą tego konsekwencje. To było wyzwolenie.

Do chwili, gdy zobaczyłem zawód na twarzy ojca i łzy w oczach matki. Do chwili, gdy zaczęli traktować mnie zupełnie inaczej. Od tego czasu wolałem

spędzać czas z przyjaciółmi, bo nie wytrzymałem we własnym domu.

Nie chcę być tym, który zmusza Keshę do czegoś, na co on nie jest jeszcze gotowy. Jestem jego przyjacielem. Powinien zawsze móc na mnie liczyć, bez względu na to, co wybierze. Nawet jeżeli nigdy nie powie rodzicom prawdy, powinienem zawsze być u jego boku.

I na tym właśnie polega problem.

Chcę czegoś więcej niż potajemne pocałunki i szeptane przyrzeczenia, których i tak nie można dotrzymać, ale w tej chwili Kesh nie może mi tego dać. Ten wieczór udowodnił mi to po raz kolejny. To nic nowego, ale za każdym razem boli bardziej. Dlatego że jest moim przyjacielem i widzę, że tracę go w jeszcze większym stopniu niż do tej pory. A przede wszystkim dlatego, że zakochałem się w nim i nie wiem, jak się od tego uwolnić.

Na samą myśl czuję pieczenie pod powiekami. Z trudem przełykam ślinę i mrugam szybko, żeby się opanować.

– Alistair... – szepcze Keshav ochryple i robi krok w moim kierunku.

Kręcę przecząco głową i wbijam wzrok w ziemię.

Nie mogę od niego oczekiwać, żeby ujawnił nasz związek.

A on nie może oczekiwać, że będę się bez końca ukrywał.

To do niczego nie prowadzi. Obaj o tym wiemy.

Ponownie podnoszę na niego wzrok, wędruję spojrzeniem po jego kościach policzkowych, delikatnym zarostcie, po ustach.

A potem patrzę w jego ciemne oczy. I wreszcie robię coś, co powinienem zrobić już dawno temu: dławię resztkę nadziei w zarodku.

– Może na jakiś czas powinniśmy trzymać się od siebie z daleka.

Z jego twarzy odpływa cała krew.

– Alistair...

Zanim zdążę pożałować tej decyzji, odwracam się i odchodzę.

## Graham

Na mój widok Lydia szeroko otwiera oczy.

– Co ty tu robisz? – pyta ledwie słyszalnym głosem.

Już otwieram usta, by odpowiedzieć, ale po sekundzie zamykam je. Stoję bez słowa i patrzę na nią, kurczowo zaciskając palce na bukiecie w dłoni.

Mam jej tyle do powiedzenia, ale w tej chwili żadne słowa nie przechodzą mi przez gardło.

Może to z podniecenia. A może wynika to z tego, że nie wiem, czy nadal oboje chcemy tego samego. Tydzień temu wydawało mi się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy, ale wtedy do akcji wkroczył jej ojciec i teraz nie mam pojęcia, na czym stoimy.

Chciałbym wreszcie okazać się mężczyzną, na którego zasługuje. Mężczyzną, którego poznała tamtego pierwszego lata. Ale co, jeżeli ona już mnie nie chce? Co, jeżeli doszła do wniosku, że beze mnie będzie jej lepiej?

– Musiałem cię zobaczyć – wykrztuszam z siebie w końcu.

Lydia ciągle tylko na mnie patrzy.

– Może pan wejdzie? – wtrąca się pani Beaufort i odsuwa się w bok.

Nie odpowiadam jej, tylko patrzę pytająco na Lydię.

Sekundy ciągną mi się w nieskończoność. W końcu Lydia powoli kiwa głową. Odchrząkuję i wchodzę na ostatnie dwa stopnie prowadzące do domu.

– Idźcie do oranżerii – mówi pani Beaufort do Lydii. – Ja tymczasem nastawię wodę na herbatę.

W ślad za Lydią idę długim korytarzem do obszernego salonu i dalej, przez dwuskrzydłowe drzwi do przytulnej oranżerii. Lydia wciska guzik w ścianie i po chwili pomieszczenie rozjaśniają niezliczone lampki w drewnianej podłodze. Za oknem rozciąga się posiadłość Ophelii Beaufort. Wiedziałem z opowiadań Lydii, że jej ciotka mieszka na odludziu, nie miałem jednak pojęcia, że w promieniu dziesięciu kilometrów poza małą stacją benzynową nie ma tu absolutnie nic.

– To dla ciebie – mówię głupio i wręczam jej kwiaty.

Bierze ode mnie różowy bukiet róż, gerber i chryzantem i wtula w niego twarz. Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu, gdy wdycha słodki zapach. Zasycha mi w gardle, zastanawiam się, czy właściwie odbiera mój gest. Czy rozumie, jak ważna jest dla mnie ta chwila. Bo po raz pierwszy daję jej coś, nie rozglądając się niespokojnie na boki z obawy, że ktoś nas zobaczy.

Lydia wpatruje się w bukiet przez dłuższą chwilę, a potem chrząka.

– Dziękuję.

I znowu zapada cisza. Chciałbym rozejrzeć się dookoła, ale nie mogę oderwać wzroku od Lydii. Ma na sobie za luźną niebieską koszulę i połyskujące czarne legginsy. Związała włosy w niesforny kucyk, z którego wysuwają się pojedyncze kosmyki i opadają jej na twarz. Nie wygląda jak Lydia, którą znam – jeszcze nigdy nie widziałem jej takiej. To uświadamia mi, jak w gruncie rzeczy mało czasu razem spędzaliśmy, ile jeszcze mamy do nadrobienia.

Kiedy milczenie między nami staje się nie do wytrzymania, Lydia wskazuje

komplet wypoczynkowy z ciemnobrązowej skóry na środku ogrodu zimowego. Siada na kanapie. Delikatnie kładzie bukiet na małym stoliku. Widzę, jak bardzo drżą jej dłonie.

Jestem na siebie wściekły, że to z mojego powodu.

Podchodzę do niej nieśmiało i siadam, ale nie na kanapie, tylko na fotelu obok.

– Bardzo się o ciebie martwiłem – mówię cicho. – Nie możesz wysłać mi takiego mejla, a potem zapadać się pod ziemię.

Skórzane obicie trzeszczy pod moim ciężarem. Kładę dłoń na oparciu i odwracam się lekko, żeby patrzeć Lydii prosto w oczy. Położyła dłonie na kolanach.

– Wiem.

Wydaje mi się, że między nami wznosi się potężny betonowy mur i żadne z nas nie wie, jak go rozbić. Jeszcze tydzień temu miałem nadzieję, że możemy być razem, jeżeli w końcu zbiorę się na odwagę i odejdę z Maxton Hall. Nagle nie jestem tego taki pewien.

– Opowiedz mi, co się stało – proszę.

Lydia unika mojego wzroku, wpatrzona w swoje dłonie. Wygładza legginsy, poprawia koszulę.

– Lydia – szepczę, gdy nie odpowiada. Wypowiadam tylko jej imię, ale staram się włożyć w nie wszystko: moje uczucia i wiarę, którą ciągle w nas pokładam.

Pytająco unosi wzrok. Widzę łzy w jej oczach.

– Możesz mi wszystko powiedzieć. Cokolwiek to jest. Nieważne, czym groził ci ojciec: nie odejdę, jeżeli sama tego nie zechcesz. Nie będę nigdy więcej udawał, że się nie znamy. Wtedy, na balu, mówiłem poważnie. Chcę z tobą być.

Z kąćków jej oczu płyną łzy. Błyskawicznie zsuwam się z siedzenia i klękam przed nią.

Schyla głowę, łzy spływają jej po policzkach, opadają na kolana. Ostrożnie wyciągam rękę i przesuwam kciukiem po wilgotnej skórze.

– Tak mi przykro – mówi drżącym głosem.

– Nie musi być ci przykro – odpowiadam i otulam jej policzek całą dłonią.

– Od samego początku wciągnęłam cię w swoje bagno. Od pierwszej chwili byłam dla ciebie tylko ciężarem. A teraz przeze mnie straciłeś pracę. Graham, ja wszystko niszczę.

Energicznie potrząsam głową i dotykam jej twarzy także drugą dłonią. Czekam, aż na mnie spojrzy.

– Niczego nie zniszczyłaś. Przeciwnie, i tak zamierzałem poszukać czegoś innego. Teraz jest ciężko tylko dlatego, że wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej.

Lydia energicznie kręci głową. Cierpię, widząc ją w takim stanie.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłaś na mnie liczyć, gdy potrzebowałaś tego najbardziej. Jeżeli mi pozwolisz, teraz już zawsze będę przy tobie.

– Nie mów takich rzeczy – wydusza z siebie z wysiłkiem i patrzy na mnie zapłakanymi oczami.

– Mówię poważnie – zapewniam z przejęciem. Znowu ocieram jej łzy. – Nie musisz się niczego obawiać.

Z trudem przełyka ślinę. Nagle cała się spina.

– Owszem, muszę.

– Więc porozmawiajmy o tym – proszę cicho.

– Właściwie powinnam była ci powiedzieć już dawno temu – zaczyna. W jej smutnych zielononiebieskich oczach widzę ten sam strach, który wyczuwam w całym jej ciele. – Bo ta sprawa... Ta sprawa jeszcze bardziej postawi twoje życie na głowie.

Nagle zasycha mi w ustach. Czuję wzbierającą panikę, a jednocześnie nie wyobrażam sobie, by to, co ma mi do powiedzenia, było gorsze niż wszystko, co już razem przeszliśmy.

– O co chodzi, Lydia?

Patrzy na mnie zza zasłony mokrych rzęs. Wyraźnie dostrzegam moment, w którym zbiera się na odwagę, by wypowiedzieć ciężące jej słowa.

– Jestem w ciąży.

Moje dłonie zastygają na jej policzkach.

– Słucham? – wyduszam z siebie z wysiłkiem.

– Jestem w ciąży – powtarza. – Z bliźniętami.

Podnoszę na nią wzrok. Czuję w swojej klatce piersiowej ucisk, który przybiera na sile, aż wydaje mi się, że lada chwila pękne. Cały czas mam w uszach jej słowa, powoli składają się na obraz, od którego brakuje mi tchu.

– Naprawdę? – szepczę ochryple.

Kiwa głową. Wydaje mi się, że w ogóle nie oddycha, tak samo jak ja.

Wypełniają mnie najróżniejsze uczucia. Nie panuję nad nimi, podobnie jak nad myślami, kotłującymi się w głowie. Bez wahania pochylam się i przywieram ustami do jej czoła. Z gardła wyrывa mi się szloch, przyciągam ją do siebie i tulę z całej siły. Nie istnieją żadne pytania, żadne granice, nic, co byłoby ważniejsze niż ta chwila. Delikatnie kołyszę Lydię w ramionach.



– Tak bardzo bałam się ci powiedzieć – mówi cichutko.

W odpowiedzi tylko kręcę głową.

W tym momencie nie jestem w stanie wypuścić jej z objęć. Choć ta nowina powinna mnie przerazić, stało się coś dokładnie przeciwnego: czuję, jak w jednej chwili wszystko w moim życiu trafia na właściwe miejsce. Niepokój i strach, które jeszcze kilka minut temu nie dawały mi spokoju, ustępują miejsca radości i ekscytacji. Kręci mi się w głowie, bo oddycham za szybko.

Odrywam się od Lydii. Cały czas klęczę na podłodze, z dłońmi na jej ramionach. Patrząc jej w oczy i mówię drżącym głosem:

– Bardzo mnie uszczęśliwiłaś.

W jej zapłakanych oczach pojawia się niedowierzanie. Mruga szybko.

A potem zarzuca mi ręce na szyję. Odwzajemniam uścisk, przyciągam ją do siebie i tulę; nie wiem, jak długo – sekundy, minuty, całą wieczność.

Nie mam pojęcia, jak długo trwamy w tej pozycji, wiem tylko, że to jedna z piękniejszych chwil mojego życia.

– Powinnam była ci powiedzieć już dawno temu – mówi Lydia szeptem i odrobinę się odchyła, ale cały czas trzyma mnie w objęciach.

– Od kiedy wiesz? – pytam.

– Od listopada.

Na chwilę zamykam oczy.

– Och, Lydio.

– Nie wiedziałam, co robić – dodaje szeptem. Natychmiast kręcę głową.

– Na samą myśl, że bałaś się mojej reakcji... – Oddycham z trudem. – Jestem na siebie wściekły. – Ponownie odnajduję jej wzrok. – Bo to najpiękniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Kąciki jej ust unoszą się niemal niezauważalnie.

Przesuwam dłoń po jej plecach.

– Graham, nie mam pojęcia, co dalej.

– Ja też nie. Ale wszystkiego się dowiemy. Razem – zapewniam. – Wszystko się ułoży.

Lydia błądzi palcami po moim karku. Przeszywa mnie dreszcz, gdy przesuwają dłoń na moją szczękę i podbródek.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – szepcze. Zawisa spojrzeniem na moich wargach, zaraz jednak wraca do oczu. I znowu opuszcza wzrok. A potem pochyla się powoli. Zamykam oczy i wychodzę jej naprzeciw.

Kiedy nasze usta się stykają, przeszywa mnie prąd.

O wielu sprawach musimy porozmawiać. Ale ten pocałunek jest jak obietnica.

Oznacza, że przeszłość zostaje za nami, że w tej chwili zaczyna się coś nowego.

## Ruby

W sobotni rano jak zwykle wchodzę do kuchni, by pomóc tacie przy śniadaniu, najpierw jednak dyskretnie zaglądam do salonu, chcąc się przekonać, czy James już się obudził. Prześcieradło, kołdra i poduszka leżą starannie złożone na środku kanapy, ale po nim nie ma śladu. Odwracam się, idę do kuchni i zdumiona stoję w progu.

James jest sam. Stoi przy kontuarze i wyciska pomarańcze. Włosy ma jeszcze mokre po prysznicu, tego ranka włożył ciemne dżinsy i białą koszulkę, obciskając barki. Obserwuję, jak jego mięśnie napinają się, gdy wyciska połówki pomarańczy, i z trudem przełykam ślinę. Jest coś bardzo intymnego w tym, jak stoi w naszej kuchni i szykuje śniadanie.

Wydaje mi się, że mogłabym przywyknąć do tego widoku. Tak samo jak mogłabym przywyknąć do tego, że spędzam z nim wieczory na kanapie i rozmawiam do późnej nocy, tak jak wczoraj.

Najciszej, jak potrafię, wchodzę do kuchni, obejmuję go od tyłu, oplatom ramionami w pasie. Spina się na chwilę, pewnie dlatego, że go zaskoczyłam, zaraz jednak znowu się rozluźnia.

– Dzień dobry – szepczę.

James obraca się do mnie i uśmiecha lekko.

– Dzień dobry – odpowiada równie cicho. A potem pochyla się i delikatnie przywiera wargami do moich ust. Jego pocałunek smakuje pomarańczami. Wzdycham, wtulam się w niego, aż opiera się plecami o kontuar. Obejmuje mnie w pasie, przyciąga jeszcze bliżej do siebie.

Czuję przy sobie twardość jego brzucha, chcę wsunąć dłoń pod jego koszulkę, ale właśnie w tej chwili słyszę, jak do kuchni wjeżdża tata.

James odskakuje ode mnie jak oparzony, ja, chcąc zachować równowagę, wyciągam rękę przed siebie i trącam karafkę, z której wylewa się sok pomarańczowy. Na kontuarze wykwitła niewielka plama.

– Dzień dobry, moi drodzy – odzywa się tata za moimi plecami. Zerkam na

Jamesa z ukosa i zaciskam usta w wąską kreskę, żeby nie parsknąć śmiechem. Stoi wyprostowany jak żołnierz, sztywny, jakby kij połknął, zaczerwieniony po uszy.

– Ja... Chciałem przygotować śniadanie – tłumaczy się i niepotrzebnie wskazuje rozlany sok.

Tata tylko kiwa głową. Jego oczy błyszczą podejrzenie. Wie doskonale, że James darzy go ogromnym szacunkiem, i wykorzystuje to bezczelnie, co jest z jednej strony nie fair, a z drugiej cholernie zabawne.

Trwa to jeszcze przez kilkanaście sekund, zanim w końcu tatę ogarnia litość.

– Co powiecie na jajecznicę? – rzuca.

– Super – odpowiadam. James mruczy coś pod nosem. A potem ścieram plamę z soku i zaczynam nakrywać do stołu.

James tymczasem wyciska pozostałe połówki pomarańczy.

– Jak się spało? – zagaduje tata.

– Bardzo dobrze. Kanapa jest superwygodna. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Tata zbywa go machnięciem ręki.

Kiedy mama wróciła do domu i wysłuchiwała całej historii, bez chwili namysłu zaproponowała Jamesowi, żeby zatrzymał się u nas, dopóki nie wyjaśni się sprawa z jego ojcem. Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością, ale krótko to trwało, bo już chwilę później wzięła mnie na bok i oznajmiła stanowczo, że nam ufa i że nie możemy nadużyć tego zaufania. Później przez dobre pół godziny nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy.

– Zaraz po śniadaniu jedziemy z Jamesem do Lydii – oznajmiam.

– Chcecie samochód?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, weźmiemy auto Jamesa.

– To dobrze, bo planowaliśmy wybrać się z mamą po zakupy. – Tata otwiera szufladę po swojej prawej stronie i wyjmuje patelnię, którą od razu stawia na kuchence.

– Tata od tygodnia cieszy się na myśl o kupnie nowego noża – tłumaczy mama, która w tym momencie wchodzi do kuchni. – Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiadamy z Jamesem jednocześnie.

Mama siada przy stole. Rozgląda się po kuchni.

– Czy to naprawdę świeżo wyciskany sok pomarańczowy?

James kiwa głową i podaje jej pełną szklanekę.

– Proszę bardzo.

– No, no, no. – Mama patrzy na mnie spod wysoko uniesionych brwi. – Do

czegoś takiego mogłabym się przyzwyczaić.

Nie odrywając wzroku od Jamesa, przyznaję:

– Ja też.

## James

– Twój ulubiony kolor?

Nie do wiary, że Ruby wymyśliła akurat takie pytanie. Jednocześnie przychodzi mi na myśl, że właściwie dziwne, że nie zadała mi go już dużo wcześniej; i jest tak bardzo w jej stylu, że uśmiecham się pod nosem.

– Jeżeli musisz się tak długo zastanawiać, to nie jest twój ulubiony kolor – zauważa, gdy ciągle milczę.

Wpatruję się w drogę przed nami. Mamy za sobą już półtorej godziny jazdy, czeka nas jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut. Dziwnie się czuję, że kieruję sam taki kawał drogi, a jednocześnie nie przypominam sobie, kiedy ostatnio czułem się równie dobrze, jak teraz, z Ruby u boku.

Już wczoraj wieczorem zaczęliśmy się wzajemnie wypytywać. Jestem zachwycony tym, jak beztrosko się do siebie odnosimy, mimo tego wszystkiego, i jak lekko rozmawiamy.

– Zielony – odpowiadam w końcu.

Zerkam na nią z ukosa i widzę, jak leciutko marszczy nos. Najwyraźniej nie zadowolilem jej tą odpowiedzią.

– Jest mnóstwo odcieni zielonego. Sprecyzuj, proszę.

Wzruszam ramionami. Przecież nie odpowiem: zieleń twoich oczu, bo wtedy puszcze pawia prosto na deskę rozdzielczą. Chociaż taka właśnie jest prawda. Zanim poznałem Ruby, nie miałem ulubionego koloru.

Teraz owszem.

– Ten śliczny sraczkowaty zielony – odpowiadam więc i wskazuję na jej kolana, na których leży jej plecak. Chociaż niemożliwe, żeby zabrała więcej rzeczy niż ja, bo wiozę siostrze mnóstwo drobiazgów z jej pokoju, plecak pęka w szwach.

– Hej! Od lat dobrze mi służy, więc się go nie czepiaj.

– Ember mówiła rano, że masz go od przedszkola.

– Nieprawda! – oburza się. – Ma dopiero sześć lat.

– Och, może się przesłyszałem, może miała na myśli, że mógłby już iść do przedszkola.

W odpowiedzi Ruby pokazuje mi język. W tej chwili tak bardzo chcę ją pocałować, że z całej siły zaciskam ręce na kierownicy, żeby się powstrzymać.

Staram się zapanować nad myślami, ale nie bardzo mi to wychodzi. Nawet teraz, kiedy Ruby siedzi koło mnie, tęsknię za nią. W nocy prawie oszalałem. Niemal cały czas myślałem i za wszelką cenę starałem się zapomnieć, że moja dziewczyna znajduje się kilka kroków ode mnie i ma na sobie tylko krótką piżamkę w groszki.

Za to, co wtedy chodziło mi po głowie, będę się smażył w piekle.

– Jeżeli chcesz, możesz odzyskać tamtą torbę – mówię ochryple, nie odrywając wzroku od przedniej szyby. Wsłuchuję się w rytm silnika, wpatruję w pola za szybą.

Byle nie zwracać uwagi na to, że spodnie nagle wydają się za ciasne, bo moja wyobraźnia znowu podąża w nieodpowiednim kierunku.

– Byłoby super – odpowiada, ale wydaje się przy tym tak zgaszona, że moje sprośne myśli chwilowo znikają. – Tylko że w tej chwili właściwie nie potrzebuję plecaka.

– Słuchaj, model James nadaje się do wszystkiego. A poza tym najpóźniej w przyszłym tygodniu wrócisz do Maxton Hall – mówię z przekonaniem.

Tym razem się uśmiecha. Kątem oka widzę, że się rozluźnia.

– Masz rację. Może ta torba to rzeczywiście nie jest zły pomysł.

– Ruby Bell, moje pomysły nigdy nie są złe.

Prycha pogardliwie, co brzmi podejrzanie jak śmiech. Robi mi się ciepło z radości.

Bardzo się cieszę, że wreszcie mamy coś takiego – wspólną sobotę, podczas której nikt nas nie rozdzieli, ani Cyril, ani ojciec, ani rodzice Ruby, ani nic innego na całym świecie. To spełnienie marzeń. Ciągle nie mogę uwierzyć, że mimo wszystkiego, co się wydarzyło, Ruby znowu wpuściła mnie do swojego życia.

– Wiesz, co sobie pomyślałam? – pyta nagle.

– No?

– Dziwnie jest widzieć cię za kierownicą – stwierdza rozbawiona. – Do tej pory kojarzyłeś mi się wyłącznie z jedzeniem i pić na tylnym siedzeniu limuzyny.

Teraz to ja pryham pod nosem.

– Nie wiedziałam nawet, że masz samochód.

– Dostałem w prezencie, gdy zrobiłem prawo jazdy – odpowiadam. – Ale szczerze mówiąc, większość czasu spędza w garażu.

– Nie podoba ci się? – Ruby rozgląda się po wnętrzu czarnego coupe.

– Nie o to chodzi – odpowiadam odrobinę za późno. – Percy woził nas od dzieciństwa. Nie przypominam sobie dnia, w którym go nie widziałem. A teraz...

– A teraz?

Wzruszam ramionami.

– Teraz już mnie nie wozi.

– Masz z nim kontakt?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Właściwie dlaczego nie?

– Wożenie nas to jego praca. Domyślam się, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– Naprawdę tak uważasz? – dziwi się. Wzruszam ramionami. Ruby dodaje: – Zna ciebie i Lydię od dzieciństwa. Na pewno jesteście mu bliscy, zwłaszcza po tym wszystkim, co się wydarzyło.

– Tak myślisz?

Przez chwilę szuka odpowiednich słów.

– Kiedy kilka tygodni temu wioził mnie do Pemwick, rozmawialiśmy trochę o twojej mamie. Odniosłam wrażenie, że bardzo przeżył jej śmierć.

Teraz nie chcę o tym myśleć. Nie, nie mogę o tym myśleć. Nie chcę kolejnej osoby, o którą musiałbym się martwić.

Ruby przygląda mi się z boku. Spodziewam się, że nie odpuści tematu tak łatwo, ale wtedy kładzie dłoń na mojej, zaciśniętej na dźwigni biegów.

– Chyba jesteś zmęczony – zauważa. – Naprawdę dobrze ci się spało na kanapie?

– Bardzo dobrze – odpowiadam szczerze. Fakt, że prawie nie zmrużyłem oka, nie ma nic wspólnego z kanapą.

– Jeżeli będą się bolały plecy, ja mogę spać z Ember, a ty w moim pokoju.

Z trudem przełykam ślinę. Noc w łóżku Ruby, otoczony jej zapachem, wśród rzeczy drogich jej sercu, ze świadomością, że dzieli nas tylko ściana? O nie.

– Bardzo lubię waszą kanapę – odpowiadam z nieco przesadnym entuzjazmem. – Mną się nie przejmuj. A poza tym, czy to nie moja kolej z pytaniem?

– Ach, tak.

Widzę, jak się prostuje. Z trudem powstrzymuję uśmiech.

– No dobra... Twoje ulubione zwierzę?

– Pingwin – odpowiada bez chwili namysłu.

– Pingwin?

Energicznie kiwa głową.

– Tak. Wyglądają, jakby paradowały we frakach. A poza tym są megaromantyczne i monogamiczne, jeżeli znajdą partnera.

– Naprawdę?

– Tak. To fascynujące, prawda? Przy czym... No dobra, muszę przyznać, że jeżeli po zimie nie znajdą starego partnera, szukają sobie nowego. Ale poza tym są wierne. I dają sobie prezenty. Megasłodkie.

– Prezenty? Niby co?

– Kamyczki. Żwirek, zazwyczaj ukryty pod lodem. Niełatwo się do niego dostać. I dlatego to dowód miłości, gdy jeden pingwin daje drugiemu coś takiego.

Spoglądam na nią przelotnie.

– Chyba już wiem, dlaczego je lubisz.

– Kiedyś oglądałyśmy z Ember dokument o parze pingwinów. Obie płakałyśmy rzewnymi łzami.

Z uśmiechem potrząsam głową.

– Teraz moja kolej – ożywia się Ruby. – Wymień miejsce, w którym chciałbyś być pocałowany.

Nie śmieję się już, tylko uśmiecham delikatnie.

– To nie pytanie.

Ruby wzdycha.

– W jakim miejscu chciałbyś być pocałowany?

– Przez ciebie? Wszędzie.

– James! – upomina mnie, ale widzę, że też się uśmiecha.

– Muszę się zastanowić.

Jest tyle miejsc, które chciałbym z nią odwiedzić, tyle rzeczy, które możemy zrobić razem, momentów, które chcę z nią przeżyć w przyszłości.

Na myśl o wspólnej przyszłości serce bije mi szybciej. Widzę ją wyraźnie oczami wyobraźni: Ruby i ja w naszym wspólnym mieszkaniu, i pocałunek, zarazem codzienny i romantyczny. Są w nim uczucia i zażyłość powstała w ciągu lat. Na tę myśl przeszywa mnie przyjemny dreszcz.

O takim pocałunku marzę.

Zdaję sobie jednak sprawę, że to nie jest odpowiedni moment, by wyznać jej coś tak ważnego.

– Nie przesadzam, mówiąc: wszędzie – odpowiadam po dłuższej chwili. – Ale nie miałbym nic przeciwko pocałunkowi w bibliotece. W otoczeniu książek,



ukradkiem, ale zarazem publicznie... Tak, to byłoby coś.

– Hm...

– Nie wydajesz się zadowolona z mojej odpowiedzi.

– Nie, tylko spodziewałam się raczej, że odpowiesz coś w stylu: na jachcie, pod gwiazdami.

– Na jachcie, pod gwiazdami? Mówisz poważnie?

Żartobliwie szturcha mnie w ramię.

– A skąd ja mam wiedzieć, co ci chodzi po głowie?

– A jak brzmiałaby twoja odpowiedź? – pytam.

Ruby myśli długo. Wyczuwam moment, w którym decyduje się na odpowiedź. Z sekundy na sekundę zmienia się atmosfera w samochodzie, nagle staje się o wiele gęstsza.

– Chciałabym, żebyś znowu pocałował mnie w Oksfordzie – mówi cicho.

Odruchowo wracam wspomnieniami do naszej nocy w Oksfordzie. Jak na mnie nakrzyczała, a potem rzuciła mi się na szyję. Jak zataczając się, wpadliśmy do pokoju, na łóżko. Jak wplotła mi palce we włosy.

Odchrząkuję.

– Pocałunek w Oksfordzie – mówię z trudem. – Tak jest.

Postanawiam, że za wszelką cenę spełnię to marzenie.

## Ruby

– Tutaj zawsze bawiliśmy się w chowanego – opowiada James, kiedy wysiadamy z samochodu i idziemy żwirową ścieżką z parkingu w stronę domu.

– Tutaj można trenować do maratonu – odpowiadam i rozglądam się z podziwem.

Po prawej i lewej stronie rozciąga się ogromna łąka, na której gdzieś rosną drzewa wiśni, w większości jeszcze nagie, ale na niektórych gałązkach widać już zielone listki. Posiadłość Ophelii jest gigantyczna, że już nie wspomnę o rezydencji, która wznosi się przed nami. Dom, z osiemnastego wieku, pod wieloma względami jest podobny do rezydencji Beaufortów, także za sprawą krzewów rosnących wzdłuż murów, ale sprawia o wiele przytulniejsze wrażenie.

– Dawniej często tu przyjeżdżaliśmy, ale w minionych latach coraz rzadziej – wspomina James. – Mama powiedziała kiedyś, że Ophelia wcale nie była zadowolona, gdy przepisano na nią tę posiadłość, bo to oznaczało także, że od tej pory miała trzymać się z daleka od firmy. Pamiętam rodzinną kolację, podczas której usiłowała przekonać moich rodziców, żeby ponownie przyjęli ją na pokład Beauforta. Kiedyś doszło nawet do tego, że wybiegła z płaczem, bo sytuacja bardzo się zaostrzyła. Później właściwie już tu nie przyjeżdżaliśmy, widywaliśmy ją tylko u nas w domu albo na firmowych imprezach w Londynie.

Zerkam na niego z ukosa.

– To pewnie okropne uczucie, gdy człowiek chce się zaangażować, ale zamykają mu drzwi przed nosem.

Przez chwilę idziemy w milczeniu. James głośno nabiera powietrza w płuca.

– Z jednej strony to miejsce wiąże się dla mnie z pięknymi wspomnieniami, z drugiej cały czas przypominają mi się awantury między ojcem i Ophelią. Nie mam pojęcia, jak w tej chwili powinienem się czuć.

Wydaje się zagubiony. Widzę, że stara się ukryć, jak bardzo męczy go ta cała sytuacja. Ale przede mną niczego nie ukryje, i dobrze o tym wie.

Stajemy przed imponującymi drzwiami. Chwytam go za rękę i uśmiecham się

z otuchą.

Odwzajemnia uśmiech, oddycha głęboko i kładzie palec na przycisku dzwonka.

Kiedy rozbrzmiewa głośny gong i niesie się echem po domu, dociera do mnie, jak bardzo jestem podekscytowana. Cały czas myślałam tylko o Jamesie i Lydii i zapomniałam, że w ogóle nie znam ich ciotki.

Mam nadzieję, że jest miła.

Ilekcóż w ciągu minionych dni James o niej opowiadał, wyraźnie wyczuwałam, że jest mu bliska. Chyba nie zniosłabym kolejnego członka rodziny Beaufortów, którego nie polubię, zwłaszcza jeśli byłaby to osoba, której opinia ma dla Jamesa wielkie znaczenie.

Drzwi otwierają się z cichym zgrzytem. Wstrzymuję oddech.

– James, Ruby! – krzyczy kobieta w ciemnozielonym kombinezonie. Uśmiecha się do nas promiennie. Jest niesamowicie podobna do Cordelii Beaufort. Dopiero kiedy człowiek przyjrzy się uważnie, zauważa różnice między nią a matką Jamesa. Ophelia ma delikatniejsze rysy, jest młodsza, a to głównie za sprawą uśmiechu, z którym nas wita. – Super, że udało się wam przyjechać.

James robi krok do przodu i obejmuje ją serdecznie.

– To jest Ruby – przedstawia mnie i kładzie mi dłoń na plecach. – Ruby, to moja ciotka Ophelia.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Ruby – zapewnia Ophelia i podaje mi rękę.

Ściskam ją grzecznie.

– Dziękuję, wzajemnie – odpowiadam.

Ophelia odsuwa się od drzwi.

– Zapraszam, śniadanie już czeka.

W ślad za nią idziemy długim korytarzem. Rozglądam się ciekawie. Także w środku dom sprawia wrażenie przytulnego i gościnnego. Moją uwagę przykuwają nowoczesne abstrakcyjne obrazy i kolorowe tapety. Od razu czuję się tu jak u siebie.

– Ruby, słyszałam, że czytasz mangi – zaczyna nagle Ophelia. Patrę na nią zdumiona.

– To prawda – przyznaję.

– Oglądasz też anime?

Wodzę wzrokiem między nią a Jamesem. Potwierdzam ruchem głowy.

– Uwielbiam anime.

– Ja przepadam za filmami animowanymi i już od dawna przymierzam się do

anime. Niestety do tej pory nie miałam na to czasu. Może mi coś polecisz?

– Z największą przyjemnością.

– Ophelio, kiedy prosisz Ruby o coś takiego, powinnaś być ostrożna. Zaraz zrobi ci listę dłuższą niż dystans maratonu.

– Hej! – krzyczę oburzona.

James uśmiecha się tylko.

– Cóż, wtedy miałabym pełne ręce roboty. Ale bez ciśnienia, Ruby. – Ophelia uśmiecha się do mnie przez ramię.

Dochodzimy do końca korytarza, Ophelia otwiera masywne ciemne drzwi po lewej stronie i przepuszcza nas przodem. Po chwili znajdujemy się w przytulnej jadalni... I nagle zatrzymuję się w pół kroku, bo widzę, kto siedzi przy suto zastawionym stole.

Nastawiłam się, że przez cały dzień będę pocieszała zapłakaną Lydię. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, była załamana i nieszczęśliwa.

Ostatnie, czego się spodziewałam, to rozpromieniona Lydia przy stole. Nie tylko rozpromieniona, także roześmiana. A tym bardziej nie spodziewałam się, że u jej boku zobaczę swojego nauczyciela historii, który czule gładzi jej dłoń.

– Cześć – rzuca James, jakby w przeciwieństwie do mnie wcale nie był zaskoczony tym widokiem.

Lydia i Sutton odwracają się do nas. W następnej sekundzie Lydia podrywa się na równe nogi, rzuca się Jamesowi na szyję i przytula go z całej siły. Obejmują się serdecznie. James zamyka oczy.

– Dzięki, że mi powiedziałaś, gdzie jestem – szepcze Lydia.

– Miałem nadzieję, że do ciebie przyjedzie – odpowiada James tak cicho, że z trudem rozróżniam jego słowa. W każdym razie sprawiają, że Lydia się uśmiecha. Po chwili odrywa się od niego i podchodzi do mnie. Obejmujemy się.

– Cieszę się, że cię widzę – zaczynam.

– Wzajemnie. – Przytula mnie odrobinę mocniej.

– Siadajcie. – Ciotka Ophelia wskazuje nietknięte jeszcze nakrycia. – Zaparzę świeżą herbatę.

Ponieważ nie ruszam się od razu, Lydia bierze mnie za rękę i prowadzi do stołu.

– Wszyscy się już znacie – zauważa i wodzi wzrokiem między Jamesem, panem Suttonem a mną.

– No tak – mamroczę pod nosem, a James kiwa głową. Siadamy naprzeciwko Lydii i pana Suttona.

Zapada niezręczna cisza. Nie mogę się powstrzymać, cały czas gapię się na

byłego nauczyciela historii. Bez względu na to, co wiem o jego związku z Lydią, ciągle nie mogę się nadziwić, że widzę go w dzinsach i koszulce.

– Witajcie – Sutton w końcu przerywa ciszę.

– Dzień dobry, panie profesorze – odpowiadam odruchowo i natychmiast gryzę się w język. Zupełnie jakbym była w szkole. O Jezusie.

Pan Sutton krzywi się lekko.

– Wiesz, Ruby, teraz chyba lepiej: Graham. Już nie jestem twoim nauczycielem.

– Chyba nie przejdzie mi to przez gardło. Albo będę potrzebowała co najmniej kilku lat – mówię w końcu.

Kąciki jego ust leciutko wędrują w górę.

– W porządku.

– Na co czekacie? – Ophelia wraca do jadalni z imbrykiem herbaty. Nalewa nam i siada u szczytu stołu. – Smacznego.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego, że atmosfera przy śniadaniu będzie taka luźna i radosna. Obserwuję, jak pan Sutton, nie, Graham, podaje Lydii koszyczek z grzankami, a Ophelia nakłada Jamesowi jajecznicę na talerz, i przypomina mi się tamta kolacja w towarzystwie ojca Lydii i Jamesa. Nie sposób wyobrazić sobie większej różnicy.

James wydaje się równie zagubiony jak ja, bo dopiero po kilku minutach rozluźnia spięte barki.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczyna, patrząc siostrze w oczy.

Lydia zamiera z nożem na grzance.

– Brzmi poważnie.

James waha się chwilę, a potem kiwa głową i opowiada jej, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Kiedy kończy, na twarzy Lydii wykwitają czerwone plamy. Ophelia z niedowierzaniem kręci głową.

– Ojcu naprawdę odbiło – podsumowuje Lydia.

Ophelia wyciera ręce w lnianą serwetkę i odkłada ją na stół.

– Cały Mortimer. Kiedy coś mu nie pasuje, przekreśla to. Tylko dlatego wylądowałam tutaj, w Beckdale.

Zapada cisza. Żadne z nas nie je.

– Ruby – zaczyna Lydia po dłuższej chwili. Patrzy na Grahama i wraca wzrokiem do mnie. – Wczoraj wieczorem długo rozmawialiśmy. Także o Maxton Hall. I postanowiliśmy, że opowiemy dyrektorowi o naszym związku. I to już jutro.

Przyglądam się jej z niedowierzaniem.

– Co takiego? Oszaleliście? Ja...

– To jedyny sposób – nie daje mi dokończyć.

– Twój ojciec wysłał cię tutaj, żeby utrzymać twój stan w tajemnicy. Nie możesz teraz iść do szkoły i powiedzieć o wszystkim dyrektorowi!

Lydia energicznie kręci głową.

– Nie obchodzi mnie, czego chce ojciec. Nie mogę od ciebie oczekiwać, żebyś ponosiła konsekwencje mojego... Naszego błędu.

Wodzę wzrokiem między nią a Grahamem, a potem odwracam się do Jamesa.

– A co z Cyrilem? – pytam. – Dałeś mu czas do poniedziałku, żeby powiedział Lexingtonowi prawdę.

James potwierdza ruchem głowy.

– Lydia, poczekajcie jeszcze. Jeżeli Cyril pokaże mu oryginalne zdjęcia, nikt nie zostanie ukarany. – Przenosi wzrok na Grahama. – A ty nie będziesz zawieszony.

Graham patrzy mu w oczy.

– I tak nie wrócę do Maxton Hall. – Spogląda na Lydię i uśmiecha się leciutko. – W najbliższym czasie chcę przede wszystkim być z Lydią. A potem zobaczymy – dodaje po chwili.

– To, co zrobił Cyril... – Lydia z trudem przełyka ślinę. – Nie spodziewałam się, że jest do tego zdolny. I nie podoba mi się, że los Ruby jest w jego rękach.

Przy tych słowach przeszywa mnie dreszcz.

– Lydia... – zaczyna James, ona jednak nie zmienia zdania.

– Już podjęłam decyzję.

James zaciska usta w wąską kreskę i nie spuszcza wzroku z siostry. Po kilku sekundach głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– To twój wybór.

– Nie tak to sobie wyobrażałam – zauważam cicho.

– Ruby, doceniam, co dla mnie zrobiłaś. – Lydia pochyla się i bierze mnie za rękę. – Ale z tym koniec. Jutro złożę Lexingtonowi wizytę.

– Skąd niby wiesz, gdzie mieszka? – pytam. Serce bije mi jak oszalałe. Czyżby naprawdę coś miało się wkrótce zmienić? Czy naprawdę już niedługo odzyskam nadzieję na przyszłość?

– Tego nie wiem. – Lydia patrzy to na mnie, to na Jamesa. Na jej ustach błąka się niemal szelmowski uśmieszek. – Ale na szczęście wiem, gdzie i z kim dyrektor Lexington spędza wolny czas.

## James

*James,*

*pochojne decyzje to część procesu dorastania. Jestem gotów puścić tę sprawę w niepamięć, jeżeli w poniedziałek o piętnastej stawisz się na posiedzeniu zarządu. Informacja znajduje się w twoim kalendarzu. Nie spraw mi zawodu.*

*Pozdrawiam,*

*Mortimer Beaufort*

Kasuję wiadomość od ojca. Nie odpowiadam. Mój puls oszalał, kiedy to przeczytałem, ale teraz zbywam ją wzruszeniem ramion. Szkoda mu było czasu na cieplejsze słowa, posłużył się oficjalnym podpisem nawet w mejlu do własnego syna. Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie, że jego zdaniem moja decyzja była pochojna. Przecież latami ignorował wszystkie sygnały sugerujące, że nie chcę mieć nic wspólnego z Beaufortem.

Fakt, że pisze do mnie teraz nie po to, żeby ściągnąć mnie z powrotem do domu, lecz by zachować twarz przed pozostałymi członkami zarządu, utwierdza mnie w przekonaniu, że postąpiłem właściwie.

W którymś momencie nie będzie już tak bolało. Tego także jestem pewien.

Odkładam komórkę na łóżko i rozglądam się po pokoju, w którym umieściła nas Ophelia. To pokój gościnny, gdzie dawniej sypialiśmy z Lydią, ilekroć przyjeżdżaliśmy tu w odwiedziny. Już wtedy podziwialiśmy eklektyczny wystrój, tak bardzo różny od tego, jaki widzieliśmy na co dzień w domu, poczynając od tapety w kwiatki, przez staroświeckie łóżko, po ciężkie, stanowczo za długie aksamitne zasłony. Odnosi się wrażenie, że część rzeczy Ophelia pozbiierała z ulicy i przytaszczyła do domu. Mimo to zawsze się tu dobrze czułem.

Wibracja telefonu wyrywa mnie z zadumy. Widzę, że dostałem nową wiadomość, a kiedy patrzę na nadawcę, po raz kolejny tego wieczoru czuję, że napinają się wszystkie mięśnie w moim ciele.

Cyril.

Otwieram ją po chwili wahania.

*Bardzo mi przykro.*

Tylko tyle. Z trudem przełykam ślinę i otwieram załącznik. Zdjęcia ładują się powoli. Te same, które wtedy zrobiłem Ruby i Suttonowi. Oryginały, widzę to od razu. Oddycham głośno, choć na ich widok nagle robi mi się niedobrze.

Pamiętam doskonale, co sobie myślałem i czułem, gdy je robiłem. Nie wiedziałem, jaka jest Ruby, chciałem chronić Lydię, zadbać, by nigdy więcej nie cierpiała. Nie myślałem o możliwych konsekwencjach, o tym, co mogłoby się stać, gdyby ktoś je zobaczył.

Z telefonem w dłoni podchodzę do wąskich drzwi łazienki. Pukam cicho.

– Możesz wejść – mówi Ruby.

Uchylam drzwi.

– Nie uwierzysz, co... – zaczynam, ale słowa stają mi w gardle.

Myślałem, że Ruby brała prysznic i już skończyła. Ona tymczasem siedzi w wielkiej w wannie. Zebrała włosy w węzeł, z którego wysuwają się pojedyncze kosmyki, mokre, falujące. Z trudem przełykam ślinę, kiedy odruchowo wędruję wzrokiem coraz niżej. Na jej barkach połyskują krople wody i choć wanna jest pełna piany, miejscami dostrzegam jej nagą skórę.

– Wszystko w porządku? – pyta. Prostuje się odrobinę.

Odchrząkuję głośno.

– Cyril wysłał mi oryginały zdjęć – odpowiadam ochryple. Podnoszę rękę z komórką.

– Naprawdę? – Ruby pochyła się z niedowierzaniem, żeby lepiej je zobaczyć.

– Już właściwie straciłam nadzieję.

– Mówiłem ci przecież, że wszystko się ułoży – zauważam.

Widok jej nagiego ciała za bardzo mnie rozprasza, żebym był w stanie sformułować choćby jedną sensowną myśl. Znowu odchrząkuję.

– I co teraz? – pyta po dłuższej chwili. Zdaję sobie sprawę, że i ona mówi innym, bardziej gardłowym głosem.

Teraz chyba powinienem wyjść.

– Przekażę je Lydii. Najlepiej od razu. Później o tym porozmawiamy. Nie chciałem ci przeszkadzać. Odpocznij. – Odwracam się i już mam wyjść, gdy jej głos każe mi zatrzymać się w miejscu.

– James? – mówi cichutko, a jednak jej głos przeszywa mnie jak błyskawica.

Ponownie odwracam się w jej stronę. Ma rumieńce na twarzy. Odchrząkuje cicho.



– Może chcesz... Nie chcesz zostać?

Z trudem przełykam ślinę i otwieram usta, ale odebrało mi mowę.

Ruby czerwieni się jeszcze bardziej.

– Oczywiście nie musisz. Ja...

Otrząsam się z odrętwienia.

– Oczywiście, że chcę zostać – odpowiadam i powoli rozpinam koszulę. –  
Jeżeli mogę?

Kiwa głową. Tylko raz, z przekonaniem w oczach.

Nie musi mnie prosić po raz kolejny.

Zamykam drzwi na klucz. Ledwie rozlega się jego ciche szcęknięcie, wszystko traci znaczenie: ojciec, Cyril, Maxton Hall. Wszystko poza Ruby, która znajduje się niecałe dwa metry ode mnie, naga, i patrzy na mnie z wyczekiwaniem z wanny pełnej piany.

Po raz pierwszy od bardzo dawna jesteśmy sami. Nie tak jak dzisiejszego ranka – tutaj nikt nie wejdzie i nam nie przeszkodzi. Tutaj jesteśmy tylko my.

Nie odrywając od niej wzroku, kładę komórkę na szafce, a potem chwytam skraj koszulki i powoli ściągam. Rzucam ją na podłogę, potem zdejmuję skarpetki. Kiedy rozpinam pasek, oczy Ruby ciemnieją. Wędruje wzrokiem po moim ciele, śledzi moje ruchy, gdy najpierw zsuwam spodnie, a potem bokserki.

Teraz już niczego przed nią nie ukryję. I w tej chwili wcale tego nie chcę, chociaż to, jak przygryza dolną wargę, sprawia, że większość krwi odpływa na południe.

Nie waham się dłużej, wchodzę do niej do wanny. Woda jest jeszcze ciepła, tak ciepła, że tam, gdzie rozsuwam pianę, unoszą się smużki pary. Ruby przygląda mi się, gdy się zanurzam, a potem przysuwam coraz bliżej, aż kładę ręce na obramowaniu wanny tuż przy niej. Na jej ustach pojawia się delikatny uśmiezek.

– Hej – mówię cicho.

– Hej – odpowiada. Bierze moją twarz w mokre dłonie. Kciukami przesuwają po moich policzkach. Zamykam oczy, pochylam się, żeby ją pocałować. Wzdycha cicho, gdy nasze usta się spotykają. Przyciąga mnie bliżej. Czuję na skórze dotyk jej piersi. Przeszywa mnie dreszcz.

– Dzięki, że ze mną przyjechałaś – mówię między pocałunkami.

Ruby zsuwa dłonie z mojej twarzy na klatkę piersiową.

– Z tobą pojedę wszędzie, James.

Serce wali mi jak szalone. Gdy ponownie unoszę powieki, napotykam jej ciepłe, ufne spojrzenie.

Ilekoć tak na mnie patrzy, najbardziej na świecie chcę być takim człowiekiem, na jakiego zasłużyła.

– A ja z tobą.

Zarzuca mi ręce na szyję. Obejmuję jej nagie plecy, przyciągam do siebie. Woda z wanny wylewa się na posadzkę, ale żadne z nas nie zwraca na to uwagi.

Kiedy tym razem się całujemy, bardzo długo nie przerywamy.

## Lydia

– Naprawdę nie chcesz, żebyśmy z tobą weszli? – pyta Graham już po raz trzeci tego przedpołudnia.

Odwracam się do niego i szukam jego dłoni. A potem powoli potrząsam głową.

– Nie. To coś, co muszę zrobić sama.

Marszczy brwi, wyraźnie niezadowolony z mojej decyzji.

– Mam wrażenie, że wysłały cię samą w paszczę lwa – odzywa się Ruby z tylnego siedzenia. W lusterku widzę, że z przejęcia pobladła.

– A co niby jeszcze może się stać? – pytam, odpinając pas bezpieczeństwa. – Z domu już mnie ojciec wyrzucił. Do Maxton Hall nie wrócę. Wszystko będzie dobrze, Ruby. Uwierz mi.

James już otwiera usta, także Graham ma taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie daję im ku temu okazji. Zdecydowanie otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Nie odwracając się, idę przez parking klubu golfowego w kierunku wejścia. Zakładam okulary przeciwsłoneczne na nos i przez rozsuwane drzwi wchodzę do holu. Recepcjonista wita mnie szerokim uśmiechem. Nie mam pojęcia, czy chłopak mnie rozpoznał, ale przesuwam spojrzenie na mój brzuch i zatrzymuje je tam na chwilę. Z jego twarzy nie znika uśmiech, jest na to zbyt profesjonalny, ale wyraźnie widzę, w którym momencie zrozumiał, co oznacza zaokrąglony brzuszek.

Ciemnoniebieska sukienka z dekoltem w łódkę, którą włożyłam tego ranka, przylega do ciała jak druga skóra i nie pozostawia wątpliwości co do mojego stanu. Po raz pierwszy od wielu miesięcy włożyłam coś tak obcisłego. Powoli przyzwyczajam się do myśli, że nie muszę już się ukrywać.

Uśmiecham się do recepcjonisty i przechodzę przez hol, stawiając długie kroki. Zmierzam do restauracji, w której zazwyczaj ojciec i jego przyjaciele biesiadują po kilku partyjkach golfa. Kiedy byliśmy mali, często nas tu zabierał.

Nie dlatego, że chciał nas nauczyć gry w golfa, tylko żeby pochwalić się nami przed kumplami, którzy także przyprawiali swoje dzieci. Pamiętam ich rozmowy nad naszymi głowami, pamiętam, jak z Jamesem i Alistairem bawiliśmy się w chowanego, żeby się tak strasznie nie nudzić.

Moje kroki niosą się echem po marmurowej posadzce. Wchodzę do restauracji. Już z daleka zauważam ojca. W towarzystwie kilku innych mężczyzn siedzi przy okrągłym stoliku przy wielkim oknie, z którego rozciąga się widok na zielone pagórki i staw na polu golfowym. Im bliżej podchodzę, tym wyraźniej słyszę ich głosy. Ktoś opowiada dowcip, chyba zabawny, bo ojciec odrzuca głowę do tyłu i śmieje się głośno. To dla mnie obcy dźwięk, już od dawna go nie słyszałam.

Po raz ostatni głęboko nabieram tchu, a potem podchodzę do ich stolika. Natychmiast czuję na sobie spojrzenia pięciu par oczu. Śmiech ojca zamiera gwałtownie.

– Co ty tu robisz? – pyta. Cały czas wpatruje się w mój brzuch. Nagle blednie. Gorączkowo zerka na przyjaciół. Spodziewam się niemal, że lada chwila wstanie, żeby mnie sobą zasłonić.

– Nie przyszłam z twojego powodu – odpowiadam stanowczo.

Jestem dumna z chłodu w swoim głosie, choć na widok ojca serce boleśnie mi się ścisnęło. Cały czas mam przed oczami tamten moment, gdy cisnął moją komórką o ścianę i jak szalencie zaczął na oślep wrzucać moje ubrania do walizki. Odruchowo dotykam policzka, w który mnie uderzył.

On chyba także o tym myśli. Widzę to w jego oczach, na chwilę pojawia się w nich bolesny błysk, jednak znika równie szybko, jak się pojawił.

Odrywam od niego wzrok, patrzę na mężczyznę naprzeciwko niego.

– Panie Lexington, czy ma pan chwilę? – pytam.

Dyrektor Maxton Hall wodzi wzrokiem między mną a ojcem. Bez okularów, które zawsze nosi w szkole, wygląda zupełnie inaczej.

– Panno Beaufort, jeżeli chce pani ze mną porozmawiać, proszę zgłosić się rano do sekretariatu – mówi w końcu.

Nie daję się zbyć.

– To bardzo pilna sprawa.

Słyszysz, że mówię poważnie, bo mierzy mnie wzrokiem. Patrzy na mój brzuch. Zapada cisza. Wstrzymuję oddech.

W końcu kiwa głową.

– Dobrze.

Odsuwa krzesło. Wstaje.

Zerkam na ojca. Siedzi sztywno, jakby kij połknął, z całej siły zaciska dłoń na szklance. Nie reaguje, gdy Lexington przejmuje inicjatywę i prowadzi mnie w kierunku holu.

Tam wskazuje kanapy i fotele ustawione pośrodku. Potrząsam przecząco głową. To, co mam mu do powiedzenia, muszę wygłosić na stojąco. To nie będzie przyjacielska pogawędka.

– Musimy porozmawiać o zawieszeniu Ruby Bell – zaczynam, patrząc mu prosto w szare oczy.

Mruga zdumiony.

– Panno Beaufort, nie mogę z panią rozmawiać o sprawach dotyczących innych uczniów, chyba to pani rozumie.

– W poniedziałek popełnił pan wielki błąd. Chciałabym go naprawić.

– Nie wiem, o czym pani mówi. – Cały czas przemawia spokojnie, ale widzę żyłkę pulsującą na jego skroni.

– To nie Ruby miała romans z Grahamem Suttonem, tylko ja.

Lexington szeroko otwiera oczy.

– Panno Beaufort... – zaczyna, ale nie daję mu dokończyć.

– Gdyby pan mi nie wierzył... – Opieram dłonie na biodrach. – Tutaj ma pan dowód. – Zerkam na swój brzuch.

Lexington opuszcza wzrok, zaraz jednak wraca do mojej twarzy. Odchrząkuje energicznie, głęboko nabiera tchu i brnie w zaparte.

– Na fotografiach wyraźnie widać pannę Bell.

– Owszem, bo zdjęcia zostały spreparowane. W rzeczywistości Ruby i Graham tylko rozmawiali o imprezie.

Sięgam do torebki, wyjmuję komórkę i otwieram zdjęcia, które James przesłał mi wczoraj wieczorem. Podsuwam aparat Lexingtonowi pod nos.

Dyrektor mruży oczy, pochyla się lekko do przodu. Widzę, jak zmienia się wyraz jego twarzy, jak sceptycyzm ustępuje niedowierzaniu i zmartwieniu. Kręci głową, masuje palcami nasadę nosa.

– Na miłość boską, Mortimer, coś ty narobił? – mamrocze tak cicho, że ledwie go słyszę.

– Ojciec chciał mnie chronić. Na swój własny, chory sposób – odpowiadam odruchowo. Nie mam pojęcia, skąd przekonanie, że muszę go bronić.

Lexington przygląda mi się z namysłem. Na jego czole pojawia się głęboki mars.

– Od dwudziestu lat jestem dyrektorem tej szkoły, ale coś takiego... Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

– Jestem gotowa złożyć pisemne oświadczenie. Graham także. Zrobimy wszystko, żeby Ruby mogła dokończyć szkołę. Nie powinna zostać ukarana za nasze błędy – tłumaczę z przejęciem.

Lexington kiwa głową.

– Panna Bell może w poniedziałek wracać do szkoły. Natychmiast skontaktuję się z jej matką.

– Przepraszam, że zaatakowałam pana w weekend – dodaję. – Ale nie mogłam z tym czekać ani chwili dłużej.

– Dziękuję za szczerść. Na pewno nie było pani łatwo.

W odpowiedzi tylko kiwam głową i podaję mu rękę.

– Wszystkiego najlepszego, panno Beaufort – mówi Lexington i ściska ją mocno.

A potem odwracam się i znowu przemierzam hol. Na zewnątrz oddycham z ulgą i na chwilę zamykam oczy. Słońce łaskocze w nos, wypełnia mnie niewypowiedziana euforia.

Idę przez parking do pozostałych. Ruby, James i Graham wysiedli z samochodu. Graham opiera się o maskę z dłońmi w kieszeniach, Ruby stoi wtulona w Jamesa, który szepcze jej coś do ucha. Na mój widok wstrzymuje oddech i patrzy pytająco.

Uśmiecham się triumfalnie.

Ruby odrywa się od mojego brata i biegnie w moją stronę.

– Jestem królową! – krzyczę i wyrzucam ręce w powietrze.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem. Ostatnie kroki pokonuję biegiem. Chwytam ją za ramiona.

– Już nie jesteś zawieszona – oznajmiam.

– Niemożliwe!

Kiwam głową.

– Ależ owszem.

– Nie! – W następnej chwili rzuca mi się na szyję. Obejmuje mnie tak mocno, że brakuje mi tchu. – Dzięki! – szlocha. – Dzięki, dzięki, dzięki!

Ja także ją obejmuję. Zamykam oczy i rozkoszuję się jej bliskością. W końcu powiedziałam na głos to, co do tej pory w sobie tłumiałam. Po raz pierwszy pokazałam wszystkim swoją ciężę, nie wstydząc się jej. I pomogłam przyjaciółce. Chyba nigdy w życiu nie czułam się tak dobrze, jak w tej chwili.

– Bardzo cię lubię, Ruby – mówię cicho.

– Ja ciebie też. I to jak – odpowiada.

Otwieram oczy, nie wypuszczając jej z objęć, i patrzę na Jamesa. Jego krzywy

uśmiezek zdradza, że jest co najmniej równie wzruszony, co Ruby i ja.

A potem przesuвам spojrzenie na Grahama. W jego oczach widzę obietnice wypowiedziane w ciągu minionych nocy. Po raz pierwszy czuję, że naprawdę wszystko się ułoży. Nieważne kiedy.

## Ruby

Kiedy w poniedziałek rano jadę do szkoły, wydaje mi się, że wspomnienia z poprzedniego tygodnia to tylko zły sen. Mam na kolanach swój terminarz, w którym grubym czarnym flamastrem piszę: poniedziałek. Bardzo uważam, żeby nie przekroczyć linii, którą jeszcze w domu naszkicowałam ołówkiem. Patrząc na nową kartkę i na moich ustach pojawia się uśmiech. Do mojego życia wróciły kolory.

Na ten dzień zaplanowałam turkus, róż, lila i miętową zieleń, której jeszcze nigdy nie używałam. Zapisałam nimi następujące punkty:

Pierwszy dzień w szkole po zawieszeniu!

Ustalić z Lin, jak posuwają się prace nad ogniskiem (i powtarzać się jej raz za razem, jak bardzo za nią tęskniłam).

Przeczytać nowy wpis na blogu Ember i odpisać na wiadomości z zeszłego tygodnia (a także otoczyć ją siostrzaną miłością i spróbować ustalić, z kim spotyka się w takiej tajemnicy).

Gotować z Jamesem <3

Od wczorajszego wieczora James ma własny kolor w moim terminarzu. Nawet teraz, kilka godzin później, prześladowuje mnie jego mina, kiedy mu to oznajmiłam. Na samo wspomnienie przeszywa mnie dreszcz. Podobnie jak na wspomnienie jego ust, które wędrowały po mojej szyi, i dłoni, które powoli wsuwał pod mój sweter i sprawiał, że wydawałam dźwięki, które starałam się stłumić poduszką.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł robić to w autobusie? – Głos Jamesa wyrzywa mnie z zadumy.

Czuję, że się rumienię. Odchrząkuję.

– Nie doceniasz mnie.

Wpatruje się w czarny notes na moich kolanach.

– Po prostu nie chcę, żebyś przesadziła. W zeszłym w tygodniu obrzuciłaś mnie flamastrami.

– To była wyjątkowa sytuacja. Strona mnie wkurzyła. A poza tym zeszły tydzień to był... zeszły tydzień – tłumaczę i podkreślam każdą literę. – Teraz wszystko będzie lepiej.

W tym momencie autobus hamuje tak gwałtownie, że zsuwam się z siedzenia i odruchowo chwytam oparcia przed sobą. Przerażona patrzę na notes: czarna linia przekreśla całą stronę.

– No nie! – Gniewnie zerkam na kierowcę. Nie zwraca na mnie uwagi, zamyka drzwi z przodu autobusu i wciska pedał gazu. – To wszystko twoja wina, James. Mnóstwo razy notowałam podczas jazdy i coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło.

– Jasne, jeszcze mi wmawiaj, że to ja chciałem jechać autobusem – odpowiada sucho. – Samochodem bylibyśmy w szkole dwa razy szybciej.

– Chciałam jechać autobusem, żeby uczcić ten dzień. – Wymachuję flamastrem. – Ty mogłeś sobie jechać samochodem.

– Po pierwsze, nie chciałem, żebyś jechała sama. Po drugie, masz niewiarygodny dar sprawiania, że nawet nudne rzeczy, jak jazda autobusem, wydają się ekscytujące i ciekawe, choć w rzeczywistości wcale tak nie jest.

Przez chwilę obserwuje, jak usiłuję z czarnej kreski zrobić w miarę efektowną gałązkę kwiatów. A potem odgarnia mi włosy z twarzy i zakłada za ucho.

– Mógłbym się do tego przyzwyczaić – mówi cicho.

Odwracam do niego głowę.

– Do jazdy autobusem?

Uśmiecha się lekko.

– Do tego też. Ale przede wszystkim miałem na myśli budzenie się u twego boku.

Czuję, że się rumienię. W jego ustach brzmi to, jakbyśmy ciągle spali w jednym łóżku, a przecież od tamtej nocy w pokoju gościnnym Ophelii tak nie jest.

– Chociaż dom Bellów to istny dom wariatów. Helen wstała dzisiaj o czwartej, a Ember ma o szóstej rano tyle energii, że moim zdaniem to nienormalne.

– Mama od kilku tygodni ma nowego szefa i bardzo jej zależy, żeby się nie spóźnić. Ember... – Kręcę głową. – Nie mam pojęcia, jak ona to robi. Przecież ona nawet nie pije kawy.

– Istne szaleństwo.

Podobnie jak łatwość, z jaką mi przychodzi rozmowa z Jamesem o mojej rodzinie.



– Fajnie, że u nas mieszkasz – mówię po dłuższej chwili.

James zerka na mnie z ukosa. Widzę ciepło w jego spojrzeniu. A potem obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

Jazda do szkoły mija zdecydowanie za szybko i za wolno jednocześnie. Tuż przed ostatnim przystankiem wstaję i idę w kierunku drzwi, chwytając się kolejnych poręczy. Słyszę, jak James potyka się co krok za moimi plecami. Sporo mnie kosztuje, żeby stłumić uśmiech.

Wysiadamy. Czuję, że jestem bardzo podekscytowana i że serce wali mi jak szalone. Prawie jakbym szła do szkoły po raz pierwszy. Kiedy jednak wysiadam z autobusu i widzę, kto na mnie czeka, zatrzymuję się w pół kroku.

– Niespodzianka! – krzyczy Lin.

Nie jest sama.

Wraz z nią na przystanku czeka cały komitet organizacyjny. Wszyscy uśmiechają się promiennie. Nawet Camille, choć skrzyżowała ręce na piersi.

Zanim w pełni do mnie dotrze, co się dzieje, Lin podchodzi do mnie i obejmuje serdecznie.

– Tak się cieszę, że wróciłaś – mówi drżącym głosem. Odrywa się ode mnie i ma taką minę, jakby chciała się rozpląkać. – Nie wiem, jak wytrzymałabym bez ciebie do końca roku szkolnego.

– A ja nie wiem, jak wytrzymałibyśmy do końca roku szkolnego z Lin jako szefową – wtrąca się Jessalyn i też mnie obejmuje. – Ruby, ona nas wykańcza. Jeden tydzień ciągnął się jak cały semestr.

– Chciała tylko, żeby wszystko było perfekcyjne na powrót Ruby – zauważa Kieran. On także mnie obejmuje. Uśmiecha się nieśmiało. – Fajnie, że już jesteś. Brakowało nam ciebie.

– Dobrze gada – dorzuca Doug.

– Bez ciebie było dziwnie – odzywa się w końcu Camille. Zakłada włosy za ucho i wzdycha teatralnie. – W sumie dobrze, że wróciłaś. – Wreszcie i ona do mnie podchodzi, żeby się przywitać.

Kiedy wypuszcza mnie z ramion, dopadają mnie emocje. Cały komitet organizacyjny przyszedł mnie przywitać. Jakby im mnie naprawdę brakowało. Gula staje mi w gardle i nie znika, choć przełykam raz za razem.

Na początku swojej nauki w Maxton Hall nie przypuszczałam, że kiedyś do tego dojdzie. Wydawało mi się, że lepiej będzie trzymać się od wszystkich z daleka, ukończyć tę szkołę i nic więcej. Teraz widzę, że to był błąd. I że prawdopodobnie straciłam wiele pięknych chwil.

– Idziemy? – pyta Camille. – Zaraz apel.

Potwierdzam skinieniem. Ruszamy w stronę Boyd Hall. Lin bierze mnie pod rękę. Kładzie mi głowę na ramieniu.

– Najwyższy czas.

– Też tak uważam. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Wchodzę do szkoły razem z nią i Jamesem i czuję na sobie spojrzenia innych uczniów. Głowy odwracają się na mój widok, przez korytarz przebiega szmer głosów.

Jest mi to całkowicie obojętne.

– W życiu nie jadłam równie pysznej lasagne – oznajmiam z pełnymi ustami i podnoszę do ust kolejną porcję.

– Jest równie kiepska jak zawsze. Widzisz wszystko przez różowe okulary, bo miałaś tydzień wolnego – zauważa Lin i z niesmakiem patrzy na jedzenie na swoim talerzu.

– Nie, to ty masz zbyt wysokie wymagania.

– A ty bardzo, bardzo niskie, jeżeli to ci naprawdę smakuje. Co to niby ma być? Szpinak? Rozgotowane brokuły? Nie sposób się zorientować.

Przeżuwam z błogą miną, a Lin przygląda mi się spod oka.

– Bardzo za tobą tęskniłam, Ruby.

– Ja za tobą też. Za wszystkim tęskniłam. Nawet za cuchnącą szatnią przed wuefem.

Lin znowu się krzywi.

– Świetnie, zrównujesz mnie z szatnią. Powinnam się obrazić, ale za bardzo się cieszę.

W odpowiedzi tylko się uśmiecham.

Po jedzeniu odnosimy tace do okienka. Zanim wyjdę, zerkam na Jamesa, który razem z Keshem, Alaisterem i Wrenem siedzi przy ich zwykłym stoliku pod oknem. Wszyscy są bardzo poważni, rozmawiają pochyleni nad stołem. Zastanawiam się, czy James opowiada im właśnie, co wydarzyło się w weekend. Że już nie mieszka u ojca i nie ma nic wspólnego z firmą Beaufort. I że Cyril w sobotę przesłał mu oryginalne zdjęcia.

Kiedy myślę o tym wszystkim, co od września zmieniło się w ich paczce, robi mi się smutno. James wspominał kiedyś, jaki mieli plan na ten rok: wygłupy, imprezy, cokolwiek, byle nie martwić się o przyszłość. Tymczasem wszystko potoczyło się dokładnie odwrotnie.

Odruchowo zatrzymuję wzrok na miejscu Cyrila, pustym przez całą przerwę obiadową. Choć nigdy nie wybaczę mu tego, co zrobił, niepokoi mnie ten widok.

– Rozmawiałaś może z Cyrilem? – pytam Lin, gdy wreszcie wychodzimy ze stołówek.

Spina się gwałtownie. Zakłada czarne pasmo włosów za ucho.

– Nie. I po tym, co ci zrobił, nigdy więcej nie chcę z nim rozmawiać.

Robi mi się niedobrze. Co prawda Cyril postąpił karygodnie, ale mimo to kielkuje we mnie coś na kształt współczucia. To nie może być łatwe – najpierw stracić ukochaną, a potem także przyjaciół.

– Właściwie dlaczego pytasz? – rzuca Lin.

– Tak tylko – zbywam ją. Staram się zlekceważyć dziwne uczucie w żołądku.

– Jak sobie dzisiaj radziłaś na lekcjach? – pyta po dłuższej chwili, podczas której szłyśmy obok siebie w milczeniu.

– Dzięki waszym notatkom, super. – Uśmiecham się z wdzięcznością. – Naprawdę uratowaliście mi życie.

– Nie ma sprawy.

– Kiedyś ci się odwdzięczę – zapewniam. – Także za harówkę w Komitecie organizacyjnym.

Lin zbywa mnie machnięciem ręki, a potem uśmiecha się lekko.

– Gdyby mnie kiedyś zawieszono w prawach ucznia, bo ktoś wrobi mnie w romans z nauczycielem, rób dla mnie notatki.

Rzucam się na nią, ale odskakuje ze śmiechem.

– A tak na marginesie – dorzuca, gdy razem wchodzimy do biblioteki – na historii przegięłaś. Nowy był w szoku, bo ciągle się zgłaszałaś.

Mówiąc „nowy”, ma na myśli naszego nowego nauczyciela historii, który przez pozostałe do końca roku miesiące będzie zastępował pana Suttona. Specjalnie w tym celu ściągnięto go z emerytury. Ciekawie, ale też dziwnie było mieć lekcję historii z kimś innym niż Sutton.

– Powinam coś jeszcze wiedzieć przed zebraniem?

– Tak! – Lin zatrzymuje się między dwoma regałami i patrzy na mnie wielkimi oczami. – Moim zdaniem Camille i Doug są parą – mówi szeptem.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia, jak do tego doszło, zresztą to jeszcze nic pewnego, ale w zeszłym tygodniu widziałam, jak obejmowali się na parkingu. Wydawali się bardzo przejęci, trzymali się za ręce i w ogóle.

– Camille i Doug – mamroczę. – Kto by pomyślał?

– To w sumie słodkie – zauważa Lin i otwiera drzwi do pokoju zebrania. – Masz już swoje klucze?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Niestety jeszcze nie. Właściwie rano powinnam była pójść do Lexingtona, ale jakoś jeszcze się na to nie zdobyłam.

– Iść z tobą? – proponuje po chwili wahania, gdy rozkładamy nasze rzeczy.

– Zrobiłabyś to?

– Oczywiście. Po takiej aferze ja też bałabym się iść do niego sama.

– Szczerze mówiąc, najchętniej nigdy więcej bym go nie oglądała. – Przypomina mi się moje rozczarowanie, gdy nie znając mojej wersji historii, najzwyczajniej w świecie wyrzucił mnie ze szkoły.

– Najważniejsze, że wróciłaś – zauważa Lin. – Jeżeli chcesz, pójdę z tobą.

Tłumię złość, która wzbiera na wspomnienie mojego ostatniego spotkania z dyrektorem, i uśmiecham się z wdzięcznością do przyjaciółki.

– Wielkie dzięki, naprawdę.

Pozostali schodzą się powoli – wszyscy, poza Jamesem, który musi wziąć udział w kryzysowym zebraniu drużyny lacrosse, zwołanym przez trenera Freemana. James zapewniał, że nie mam się czym martwić, ale i tak na samą myśl robi mi się nieswojo.

– Zaczynamy? – Lin rozgląda się wokoło. – W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Lexingtonem. Przedstawił całą listę obostrzeń, których musimy przestrzegać podczas ogniska. W zeszłym roku naprawdę sporo rzeczy poszło nie tak.

– To prawda. – Camille marszczy nos. – Za wiele osób się upiło.

– Podobno Lexington wszedł w rzygi – dorzuca Doug. – Pewnie dlatego tak długo zwlekał z zezwoleniem.

– W tym roku byłoby najlepiej, żeby nikt nie rzygał – zauważam. – Dlatego musimy ściągnąć dwukrotnie więcej nauczycieli, żeby mieli wszystkich na oku.

Rozlega się pomruk aprobaty.

– Zastanawialiśmy się z Ruby, czy nie zorganizować pokazu klubu tanecznego. Może dzięki temu ludzie szybciej wyjdą na parkiet. Co wy na to?

– Pod warunkiem że ustalimy dokładnie, jaką choreografię pokażą. Bo czasami mają bardzo dziwne układy – zastrzega Jessalyn. Bawi się ołówkiem, który zazwyczaj trzyma za uchem. – Pamiętacie pokaz wiosenny? W sumie to miał być układ w stylu Maddie Ziegler, ale w ogóle im nie wyszło. A już na pewno nie przy tylu osobach.

– Kim jest Maddie Ziegler? – pyta Doug.

– To ta tancerka z teledysków Sii – odpowiada Jessalyn.

– Jessie ma rację – przyznaje Lin po namyśle. – Naprawdę się bałam podczas tamtego występu. Musimy im jasno powiedzieć, o co nam chodzi.

– Ja się tym zajmę – proponuje Jessalyn. Wszyscy ochoczo kiwają głowami.  
– Super, dzięki. Kieran, co z muzyką? Z nagłośnieniem?  
– Wszystko ustalone z panem Jonesem.  
– Odwaliliście kawał roboty – stwierdzam z uśmiechem. Patrzę na listę rzeczy do zrobienia leżącą przed Lin. – Biorę na siebie odbiór drewna w piątek. Dopilnuję też, żeby wszystko trafiło w odpowiednie miejsce, a nie, jak w zeszłym roku, wylądowało przed szkołą na stercie. Pamiętacie?  
– O Boże, tak – wzdycha Camille. – Później sami musieliśmy taszczyć to drewno. Od razu wbiłam sobie drzazgę.  
– Ja też, tak z dziesięć – dołącza się Lin.  
– Kto idzie do straży pożarnej? – pyta Jessalyn i nagle się prostuje.  
– Oczywiście my z Ruby – odpowiada Lin i znacząco porusza brwiami.  
– Nie fair! – prycha Jessalyn, ale ma taką minę, jakby lada chwila miała parsknąć śmiechem.  
– To jedna z zalet funkcji kierowniczych – zauważa Kieran. – Można sobie wybierać najfajniejsze zadania. Przy czym nie bardzo rozumiem, dlaczego wszystkie tak bardzo chcecie rozmawiać o zagrożeniu pożarowym.  
– Czyś ty nigdy nie oglądał *Chicago Fire*? Kieran, słowo „ogień” nabiera nowego znaczenia – tłumaczy Jessalyn.  
Wszyscy śmieją się głośno.  
W tej chwili tak bardzo się cieszę, że znowu tu jestem, że wydaje mi się, że śnię.

Kiedy wracamy z Jamesem do domu, w szafie w przedpokoju nie ma jeszcze ani jednej kurtki.

– Ember? – wołam na cały głos.

Cisza.

– Chyba jesteśmy sami – mówię do Jamesa. Zdejmujemy buty i idziemy do kuchni.

– Powiedziałaś to takim tonem, jakbyś uważała, że to straszne, że jesteś ze mną sama. Nie wiem, czy powinienem się tym martwić.

Posyłam mu nikły uśmieszek i myję ręce w zlewie.

– Nie o to chodzi. Martwię się o Ember. Ostatnio ciągle wychodzi i robi z tego wielką tajemnicę. A przecież właściwie zawsze wszystko sobie mówimy.

James podchodzi do mnie i też podsuwa dłonie pod gorący strumień. Na jego czole pojawia się zmarszczka namysłu.

– Moim zdaniem jest bardzo szczęśliwa.

Zastygam w bezruchu i szukam odpowiednich słów, by wyrazić, co czuję.

– Nie potrafię tego opisać, ale coś mi mówi, że to nie taka prosta sprawa. A zazwyczaj polegam na swojej intuicji.

– Rozmawiałaś z Ember?

Bezradnie wzruszam ramionami.

– Ostatnio ciągle się kłóciłyśmy o Maxton Hall i dotarło do mnie wtedy, że Ember ma wrażenie, że ją lekceważę. A wcale tak nie jest. Chciałabym, żebyśmy były przyjaciółkami, które mówią sobie o wszystkim. Zwłaszcza że wkrótce się wyprowadzę.

– Chociaż spróbuj. Może Ember czeka, aż ją o to zagadniesz.

– Może. – Podchodzę do lodówki, zaglądam bez przekonania. – Pewnie masz rację.

James dotyka mojego barku.

– Zostało nam jeszcze trochę risotta. Wystarczy ci? – pytam. Podchodzi coraz bliżej, czuję, jak twierdząco kiwa głową. Jego włosy łaskoczą mnie w policzek. Jest tak blisko, że czuję na plecach jego klatkę piersiową.

– Nawet ja potrafię to odgrzać – mówi i wyjmuję mi miskę z dłoni. Jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, podchodzi do kredensu i wyjmuję patelnię, a potem otwiera szufladę i po chwili namysłu wybiera drewnianą łyżkę. Przekłada risotto na patelnię i stawia na palniku.

Przez dłuższą chwilę obserwuję, jak miesza grzejące się danie, i nie mogę przy tym powstrzymać lekkiego uśmiechu; podoba mi się, że tak swobodnie czuje się w naszej kuchni.

Podchodzę do wiszącej szafki, chcę wyjąć talerze, ale James błyskawicznie wyrasta przede mną. Celuje we mnie drewnianą łyżką jak pistoletem.

– Ja to zrobię.

Pojednawczo rozkładam dłonie i odsuwam się, żeby wyjął nakrycia. A potem opieram się o kontuar i obserwuję, jak stawia je przy kuchence i po chwili nakłada risotto.

Z talerzami i sztućcami idziemy na górę, do mojego pokoju. Stawiam komputer na stoliku i odwracam monitor, żebyśmy oboje widzieli ekran. W drodze do domu zdecydowaliśmy, że będziemy oglądać *The Alienist*, więc włączam odcinek, na którym wczoraj skończyliśmy. A potem siadam na podłodze i, podobnie jak James, opieram się o łóżko.

Podaje mi risotto. Zabieram się do jedzenia.

– Pierwszy dzień w szkole to pełny sukces, prawda? – pyta, gdy rozlega się przejmująca muzyka tytułowa.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę – odpowiadam z pełnymi ustami.  
– Widać po tobie, jak bardzo jesteś szczęśliwa. Od samego rana. Rozjaśniałaś całą szkołę.

Uśmiecham się lekko.

– Rozjaśniałam całą szkołę? Czarus.

James uśmiecha się tylko znad szklanki ze wzrokiem wbitym w ekran. Jemy i oglądamy, jak Daniel Brühl, Dakota Fanning i Luke Evans ścigają krwiożerczego potwora w wiktoriańskim Nowym Jorku. Cały czas nie mogę się nadziwić, jak normalnie się czuję, mając Jamesa u boku.

Po jedzeniu kładę mu głowę na ramieniu, wtulam się w niego. Jego dłoń ląduje na moim udzie. Gładzi je machinalnie. Dobrze jest mieć go przy sobie. Po raz pierwszy od dawna jestem naprawdę spokojna, on chyba także. Kiedy odcinek dobiega końca, najchętniej zamknęłabym oczy i zasnęła przy nim.

Mam jednak jeszcze sporo do zrobienia, o czym przypominają poszczególne punkty w moim terminarzu, i choć przychodzi mi to z trudem, wstaję, żeby zająć się pracą domową. James przeciąga się z głośnym westchnieniem, a gdy wyjmuję notatki z plecaka i rozkładam je na biurku, słyszę, jak śmieje się pod nosem. Zerkam na niego. Uśmiecha się.

– Twój system kolorystyczny pokonał mnie i Lin – przyznaje, wskazując głową stos kartek, które jeszcze w szkole poobklejałam karteczkami i poznażyłam flamastrami.

– Spisaliście się fantastycznie. – Wyjmuję z plecaka piórniki i terminarz i zastanawiam się, od czego zacząć.

– Chcesz mieć spokój? – pyta James po chwili. – Mogę iść do salonu.

– Nie, zostań. Lubię mieć cię przy sobie.

– Mogę skorzystać z komputera?

– Proszę bardzo.

– Dzięki. – James stawia go sobie na kolanach. Siedzi po turecku przy moim łóżku, podczas gdy ja zajmuję się lekcjami.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale kiedy odhaczam ostatnią rzecz w terminarzu, na dworze jest już ciemno, a ja mam wrażenie, że nie przyswoję dzisiaj ani jednej informacji więcej, bo mi głowa pęknie. Uwielbiam to uczucie. Zdążyłam nawet zapomnieć, że James jest w moim pokoju, ale wtedy przypomina mi o tym cichy stukot klawiszy za plecami. Uśmiecham się pod nosem.

Odwracam się do niego i obserwuję, jak w skupieniu wpatruje się w ekran.

– Skończyłam – oznajmiam.

Wzdryga się, jakbym wyrwała go z rozmyślań.

– Co, już?

Zerkam na budzik na nocnym stoliku.

– Zajęło mi to ponad półtorej godziny.

James z niedowierzaniem patrzy na zegarek.

– Totalnie straciłem poczucie czasu.

Podchodzę i znowu siadam koło niego. Zerkam na laptop, zanim jednak zobaczę stronę, którą czytał, ściąga ją do paska.

Trącam go nogą.

– Chciałam tylko zobaczyć, co pochłonęło cię do tego stopnia, że zapomniałeś o bożym świecie.

– Takie tam.

– Chyba ciekawe takie tam – zauważam.

James przygląda mi się bacznie. Po chwili wahania otwiera zamkniętą kartę. Pochylam się, żeby lepiej widzieć.

Blogi. Blogi podróżnicze.

– Wow – mruczę i przeglądam po kolei: Bali – lista marzeń, wskazówki dla podróżnych, najpiękniejsze plaże Lombok, siedem polecanych miejscówek Airbnb, podróż z bagażem podręcznym, najlepsze przekąski na drogę i wskazówki, jak założyć bloga na WordPress. – Sporo tego.

– Sporo czytam.

Patrzę na niego. Wygląda, jakbym go na czymś przyłapała.

– Dlaczego masz taką minę, jakbym odkryła coś nieprzyzwoitego?

Bezradnie wzrusza ramionami.

– Sam nie wiem. To nigdy nie było coś, czym mogłem się naprawdę zająć. Włączałem to, żeby się odprężyć.

– Jak ja swoje filmiki ASMR.

– No właśnie. – Uśmiecha się lekko. – Chciałem przynajmniej w ten sposób uciec do innego świata, skoro w rzeczywistości nie mogłem podróżować. – Waha się. – Ale teraz...

Czekam, lecz milczy.

– Ale teraz? – powtarzam ostrożnie.

Chwilę trwa, zanim pozbiera myśli. Odchrząkuje.

– Teraz sobie myślę... że może z tego mogłoby być coś więcej. – Krzywi się.  
– Wiem, to głupie. Kto zrezygnowałby ze studiów w Oksfordzie, żeby podróżować i pisać o tym blog?

W tej chwili wszystko rozumiem. James chce nie tylko podróżować, lecz także o tym pisać. Robi mi się ciepło na sercu.



Przypomina mi się lista, którą razem zrobiliśmy w Oksfordzie. Wtedy wątpił, że jego pragnienie podróżowania to coś, co można nazwać marzeniem. Ale też wtedy jeszcze ciągle był pod wpływem ojca. Teraz mógłby zrobić ten krok. Teraz nikt nie stoi mu na przeszkodzie.

– Oczywiście, że możesz to zrobić, James – mówię cicho i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Ten plan był od zawsze, rozumiesz? Że pojedę do Oksfordu. Bez względu na Beauforta i rodziców.

Kiwam głową.

– A teraz nie daje mi spokoju świadomość, że nic mnie tam nie ciągnie. To znaczy naukowo. Bo oczywiście chciałbym być jak najbliżej ciebie i swoich przyjaciół. Ale znowu myślę sobie, jak bardzo ty tego chciałaś i jak ciężko na to harowałaś. To nie w porządku, jeżeli zajmę miejsce komuś, kto pragnie go tak mocno jak ty.

– Słuchaj, jeżeli Oksford nie jest tym, co chcesz robić w życiu... – zaczynam powoli – to nie jedź. Każdy człowiek zasługuje na świat pełny możliwości, rozumiesz? Jeżeli pragniesz podróżować, zrób to.

Podnosi na mnie wzrok. Mars na jego czele odrobinę złagodniał.

– Naprawdę tak uważasz?

Energicznie kiwam głową.

– Zapytaj Ember, jak zaczynała ze swoim blogiem. Zna się na tym i na pewno udzieli ci dobrych rad. – Ponownie zerkam na zegarek i ściągam brwi. – Właściwie powinna już być w domu.

– Jeśli o mnie chodzi, może jeszcze trochę poczekać – mówi James z lekkim uśmiechem.

– Dlaczego?

– Bo chciałbym pokazać swojej dziewczynie, jak bardzo jestem jej wdzięczny za to, że wierzy we mnie i moje marzenia.

Nie odrywając ode mnie wzroku, sięga po komputer i zamyka go. A potem pochyla się i przywiera ustami do mojego czoła. Wędruje nimi niżej, po moich skroniach, policzku, obsypuje pocałunkami moją twarz. Zamykam oczy, odrzucam głowę do tyłu, a James dalej demonstruje mi swoją wdzięczność.

## Ember

Czekam, aż Wren pierwszy zacznie jeść lody.

Unosi łyżeczkę do ust i na jego twarzy pojawia się wyraz błogości, ale nawet to mnie jeszcze nie przekonuje.

Jedzenie w obecności innych, zwłaszcza w miejscach publicznych, przychodzi mi z trudem. Szczególnie jeśli chodzi o niezdrowe rzeczy, takie jak lody – ciągle mam wrażenie, że ludzie ukradkiem mi się przyglądają. Natychmiast wyrabiają sobie o mnie zdanie, choć nie mają pojęcia, jak zazwyczaj się odżywiam.

Powoli wkładam łyżeczkę w czekoladowe lody i przyglądam się jej podejrzliwie. A potem głęboko nabieram tchu: jestem tu z Wrenem, przy nim czuję się dobrze. Jesteśmy przyjaciółmi. A poza tym zamówiłam zdecydowanie mniejszą porcję niż on, więc raczej nie powinnam sprawiać złego wrażenia.

Robię, co mogę, by wyrzucić z głowy wszelkie myśli, i wsuwam łyżeczkę do ust.

– Nie przesadzałem, prawda? – pyta Wren i przygląda mi się wyczekująco.

– Miałeś rację, są boskie. – Na chwilę odkładam łyżeczkę. – W ogóle nie miałam pojęcia, że tu jest nowa lodziarnia.

Rozglądam się po malutkiej kawiarence. Wszystkie stoliki są zajęte, przy kontuarze zebrał się niemały tłum chętnych na lody na wynos. Wren mówił, że uczniowie mają zniżkę, więc nie dziwi mnie takie zainteresowanie. Poza tym pogoda jest dzisiaj wyjątkowo piękna.

Abstrahując od moich lęków, bardzo mnie ucieszyło zaproszenie Wrena. Do tej pory mieliśmy zawsze konkretne powody, żeby się spotykać: wypełnianie wniosków o stypendia, jego przeprowadzka. Ale tym razem zapytał po prostu, czy chciałabym się z nim zobaczyć. A fakt, że postawił mi lody, żeby się odwdzińczyć za pomoc przy malowaniu, to dodatkowa korzyść.

– Chyba tu zamieszkał – oznajmia, ciągle z łyżeczką w ustach.

– Kolejna przeprowadzka? Po tak krótkim czasie? – drażnię się z nim. Rozluźniam się powoli. Im dłużej rozmawiamy, tym lepiej się czuję, tym

bardziej ignoruję wszystkich dookoła.

I znowu ten szelmowski uśmieszek.

– Mógłbym jeść lody na śniadanie, obiad i kolację. Poza tym spójrz, mają tu bardzo ładny kontuar. Wystarczy ustawić krzesła z jednej strony i można sobie urządzić przytulną kryjówkę.

– Dawniej z siostrą wiecznie budowałyśmy kryjówki. To była nasza ukochana rozrywka. – Zjadam kolejną łyżeczkę lodów. Staram się jak najbardziej rozkoszować tą chwilą.

Wren miesza łyżeczką w swoim pucharku, łącząc dwa smaki, tak że wkrótce zajada beżową breję.

– My z chłopakami też.

– Właściwie jestem trochę zazdrosna o waszą przyjaźń – przyznaję.

Wren posyła mi pytające spojrzenie.

– Jesteście kumplami od wielu lat – tłumaczę. – Ja oczywiście też mam przyjaciółki, no i jestem bardzo zżyta z Ruby, ale nie ma w moim życiu osoby, która uczestniczyłaby we wszystkim. Każda przyjaźń prędzej czy później się kończyła, ludzie się wyprowadzali, nasze drogi rozchodziły do tego stopnia, że nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. W waszym wypadku tak nie jest. Ilekroć opowiadasz o chłopakach, mam wrażenie, że zbliżacie się coraz bardziej, zamiast się od siebie oddalać.

Wren zastyga w bezruchu. Jego łyżeczka zostaje w pucharku.

– Właściwie zawsze tak było.

Coś w jego głosie sprawia, że bardziej nadstawiam uszu.

– Właściwie?

Wzrusza ramionami i w końcu podnosi łyżeczkę do ust. Było na niej naprawdę dużo lodów i Wren natychmiast wykrzywia się boleśnie. Ze wszystkich sił staram się powstrzymać uśmiech.

– Zmroziło ci umysł? – pytam.

W odpowiedzi wzdycha głośno i odkłada łyżeczkę na talerzyk.

– To kara za to, że chciałem uniknąć odpowiedzi na twoje pytanie.

– Jeżeli nie chcesz, nie musisz – zapewniam ze wzruszeniem ramion.

– Nie o to chodzi. Sam widzę, że w naszej paczce sporo się zmienia, i to mnie wykańcza. Mam już po uszy zmian.

– W jakim sensie coś się zmienia w waszej paczce?

Wren bawi się serwetką na stoliku.

– Dawniej często spotykaliśmy się u mnie, ale do tej pory jeszcze nie zdobyłem się na odwagę, by zaprosić chłopaków do nowego domu. Nie chcę,

żeby postrzegali mnie inaczej, więc w pewnym sensie sam się od nich odsunąłem. Mniej im opowiadam i... To wszystko jest do dupy.

Myślę intensywnie. Wren przechyla lekko głowę. Przygląda mi się z leciutkim uśmiechem.

– Supergirl, widzę przecież, że masz już wyrobione zdanie. Wal śmiało. – Gestem zachęca, bym podzieliła się swoją opinią.

– Szczerze? Moim zdaniem to bzdura. Przyjaźnicie się od lat. Co za różnica, gdzie mieszkaasz?

Wren zaciska usta w wąską kreskę i wbija wzrok w lody, które teraz bardziej przypominają shake.

Przez chwilę myśli intensywnie.

– Masz rację.

– Wiem.

Wren parska śmiechem. A potem nagle pochyla się nad stolikiem i bierze mnie za rękę. Zaciska moją dłoń i zagląda mi głęboko w oczy. Czuję, jak tętno mi przyspiesza. Odruchowo odwzajemniam jego uścisk. Nie wiem, co ze mną wyprawia. W jednej chwili jest poważny i zamknięty w sobie, w następnej takim małym gestem totalnie wyprowadza mnie z równowagi.

Ta chwila ciągnie się w nieskończoność i zarazem mija błyskawicznie. Kiedy Wren puszcza moją dłoń i ponownie sięga po łyżeczkę, nie jestem w stanie powstrzymać rozczarowania.

Wren chrząka i mówi dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Wkrótce chciałbym ich wszystkich zaprosić. Może wtedy jakoś się ułoży.

W myślach cały czas czuję jego dotyk. Cały czas pamiętam ciepło jego dłoni. I mówię coś, czego sama nie pojmuję.

– Może kiedyś zrobimy coś wszyscy razem.

Wren mruga zaskoczony, czemu wcale się nie dziwię. Do tej pory konsekwentnie trzymaliśmy naszą znajomość w tajemnicy. Chyba obojgu nam było łatwiej, nie martwiąc się, co sobie pomyślą James albo Ruby, zwłaszcza że nie mamy pojęcia, co właściwie z tego wyniknie. Teraz jednak wiem już, że nie chcę stracić go jako przyjaciela. Przy nim czuję się pewnie i nie chcę dłużej ukrywać tej znajomości.

On chyba jest tego samego zdania.

– Pewnie – odpowiada z uśmiechem po dłuższej chwili.

Ze wszystkich sił ignoruję motyle w brzuchu.

# Ruby

Odkąd wróciłam do szkoły, czas pędzi jak szalony. Jeździmy z Jamesem na zmianę autobusem i jego samochodem. Wren do nas dołączył; albo wsiada dwa przystanki po nas, albo czeka przy głównej ulicy i zgarniamy go z chodnika.

Każdą wolną chwilę poświęcam na naukę do egzaminów końcowych, ale coraz trudniej skoncentrować mi się na powtarzaniu, gdy James jest tak blisko. Coraz częściej łapię się na tym, że gapię się nie na notatki, ale na niego. Czasami dygoczę przy tym tak bardzo, że jestem święcie przekonana, że czuje to, siedząc koło mnie.

Kiedy w końcu przychodzi dzień ogniska, mam wrażenie, że nigdy nie doszło do mojego zawieszenia. Owszem, nieliczni uczniowie ciągle o tym gadają albo odrobinę za długo przyglądają mi się w stołówce, ale koncentruję się na pozytywach: wróciłam do Maxton Hall i ukończę tę szkołę.

– Słuchaj, czy na pewno tak to ma wyglądać? – szepcze mi Lin do ucha. Stoimy przy wielkiej stercie drewna i obserwujemy strażaków, którzy układają stos na ognisko.

– W zeszłym roku chyba było właśnie tak – odpowiadam równie cicho.

Minęła dziewiętnasta, powoli przychodzą pierwsi uczestnicy. Błąkają się po dziedzińcu, na którym już czeka ogromne stoisko z napojami i mniejsze budki z jedzeniem, skąd kuszą frytki, hot dogi i pianki na patykach.

– Naprawdę? – Lin ciągle jest niespokojna. – Wygląda tak jakoś... niekształtnie.

Przechyliłam głowę i krytycznie patrzę na konstrukcję, która za niecałą godzinę stanie w ogniu.

– Sama nie wiem. Teraz, kiedy to powiedziałaś, też się niepokoję.

– Przestańcie. Nieważne, jak to wygląda. Wkrótce wszyscy będą i tak zbyt pijani, żeby się nad tym zastanawiać – uspokaja James.

Obie z Lin łypimy na niego groźnie.

– Nie będzie żadnego alkoholu – zaznaczam. – I nikt nie będzie pijany.

James tylko wzrusza ramionami.

– Obie wiecie, że tak jest co roku.

Wymierzam mu kuksańca w ramię.

– Przedsięwzięliśmy środki ostrożności i w tym roku jesteśmy lepiej przygotowane niż w ubiegłym. Nie strasz nas.

Uśmiecha się pod nosem.

– Po prostu nie chcę, żebyście były zawiedzione, gdyby wszystko nie poszło dokładnie tak, jak sobie zaplanowałyście.

– Jakie to szlachetne z twojej strony – odpowiadam sucho.

– Ta, szalenie szlachetne. Mówisz tak pewnie dlatego, że w zeszłym roku to ty sprawiłeś, że wszyscy byli pijani. Nie myśl sobie, że nie słyszałam o twoim legendarnym bagażniku. – Lin znacząco unosi brew.

– O legendarnym bagażniku? – Patrząc to na jedno, to na drugie. – O co tu chodzi?

– Nic takiego – zapewnia James szybko.

– On i jego kumple rozprawiali alkohol z bagażnika jego samochodu – wyjaśnia Lin.

Krzywię się z obrzydzeniem.

– Już wiem, dlaczego dawniej tak bardzo tobą gardziłam.

James z uśmiechem kładzie mi dłoń na karku. Przesuwa kciukiem po wrażliwej skórze u nasady włosów, a potem pochyla mi się do ucha.

– Ale teraz już mną nie gardzisz, prawda? – pyta gardłowo.

Niski głos i czuły dotyk przyprawiają mnie o gęsią skórę. Sporo mnie kosztuje, by nie okazać, że w tym momencie uginają się pode mną kolana.

– Panno Bell? – Głos za naszymi plecami sprawia, że cała sztywnieję. Palce Jamesa zaciskają się na moim karku, jakby sam nie wiedział, cofnąć rękę czy ją zostawić.

Razem odwracamy się do dyrektora Lexingtona. Na widok jego poważnego spojrzenia serce odruchowo bije mi szybciej. Dłoń Jamesa zsuwa się z mojego karku na barki. Przyciąga mnie do siebie.

Z trudem przełykam ślinę.

– Tak?

Lexington chrząka.

– Miałyby pani chwilę?

– Teraz? – Niespokojnie odwracam się w kierunku ogniska. – Lada moment się zacznie.

– Nie zajmę pani dużo czasu.

Waham się jeszcze, choć jednocześnie wiem, że nie mam wyboru. Nie mogę się sprzeciwić, gdy dyrektor szkoły chce ze mną rozmawiać. Przez minione dwa tygodnie udawało mi się go skutecznie unikać. Nasz kontakt ograniczał się do informacji przekazywanych przez jego sekretarkę i jednego krótkiego mejla. Wiem, że to dziecinne, ale cały czas pamiętam tamtą scenę w jego gabinecie. Nie mogę zapomnieć, jak mnie potraktował.

James nie puszcza mojego barku. Uśmiecham się lekko i sięgam po jego dłoń. A potem robię krok w przód.

Lexington rusza w prawo. Kiwam głową. Razem oddalamy się od pozostałych.

Nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że James nie spuszcza mnie z oczu.

Dyrektor Maxton Hall poprawia poły szarej marynarki i świdruje mnie wzrokiem zza okularów.

– Podczas przygotowań do tego wydarzenia spisałyście się na medal z panną Wang, panno Bell – mówi w końcu.

– Bardzo dziękuję – odpowiadam sztywno.

Chrząka.

– Chciałem skorzystać z okazji i jeszcze raz powiedzieć pani osobiście, jak bardzo mi przykro z powodu tego niefortunnego zajścia.

Staram się nie okazać po sobie, do jakiego stopnia zaskakują mnie jego przeprosiny. Tego się nie spodziewałam i w pierwszej chwili nie wiem, jak zareagować.

Kolejne kasznięcie. Przypomina miniaturową eksplozję w jego gardle. Jeszcze trochę i pomyślę, że się denerwuje.

– Mam nadzieję, że pani rozumie, że na pierwszy rzut oka dowody przeciwko pani były miażdżące. Musiałem podjąć taką decyzję. Nie mogłem nie reagować.

– Rozumiem – odpowiadam. – Tylko że... – Waham się. Zerkam na niego niespokojnie.

Zachęca mnie ruchem głowy.

– Proszę mówić szczerze, panno Bell.

Głęboko nabieram tchu.

– Wydaje mi się, że innych uczniów potraktowałby pan inaczej niż mnie.

Lexington marszczy czoło.

– Chyba nie do końca rozumiem.

– Postąpiłby pan tak samo, gdyby moi rodzice regularnie zasilali konto szkoły sowitymi sumami?

Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę to powiedziałam. Czuję, jak serce bije mi coraz szybciej. Lexington nadyma się oburzony.

– Panno Bell! Wypraszam sobie...

Nie daję mu dokończyć.

– Bardzo mi przykro, panie dyrektorze, ale właśnie tak to odebrałam. Nie dał mi pan nawet szansy, żeby się wytłumaczyć. Po wszystkim, co w ciągu ostatnich lat zrobiłam na rzecz szkoły, uważam, że na to nie zasłużyłam.

Lexington przegląda mi się, otwiera usta... I znowu je zamyka.

Zastanawiam się, czy popełniłam gigantyczny błąd, ale z drugiej strony jest mi to obojętne. Zawalczyłam o siebie i wyraziłam zdanie na temat niesprawiedliwości, która od lat jest bolączką Maxton Hall. Nie wiem, czy tym sposobem coś zmienię, ale też nie o to mi chodzi.

– Dziękuję za szczerość – mówi w końcu dyrektor Lexington. – Bardzo mi przykro, że to wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej. I mam nadzieję, że uwierzy pani, kiedy powiem, że w przyszłości dopilnuję, by nie doszło ponownie do takich sytuacji. – Ciągłe mówi przyjaźnie, ale teraz jakoś bardziej oficjalnie. Jakby starannie dobierał każde słowo. – Gdyby miała pani jakiegokolwiek problemy, proszę pamiętać, że moje drzwi zawsze stoją otworem.

Kiwam głową, choć wiem, że jest inaczej. Odprowadzam go wzrokiem, gdy wraca do ogniska, i przyłapuję się na tym, że już nie jestem na niego zła. Nie, teraz jestem wdzięczna, bo udzielił mi bardzo ważnej lekcji. Gdybym w przyszłości zajmowała kierownicze stanowisko i miała decydować o czymś losie, nigdy nie postąpię tak jak on.

Bo teraz już wiem, że każda historia ma co najmniej dwie strony i trzeba poznać każdą z nich.

## James

Tego wieczoru moim zadaniem jest sprzedawanie kanapek i dyskretne obserwowanie tłumu, a także Ruby. Co jakiś czas widzę jej brązową czuprynę w blasku ogniska, dostrzegam, jak z notesem pod pachą przecina dziedziniec w takim tempie, że ledwie ją zauważam, po czym znowu znika mi w tłumie. Koncentruję się więc na innych uczniach, którzy co chwila podchodzą do mojego stoiska i kupują przekąski.

Coś, co dawniej wzbudziłoby mój śmiech, teraz sprawia mi przyjemność.

Właściwie od początku tego roku, a konkretnie od śmierci mamy, dziękuję losowi za każdą okazję, by nie myśleć o tym wszystkim, co w moim życiu układa się nie tak.

Podczas zebrań komitetu organizacyjnego nie muszę się zastanawiać nad tym, że jestem właściwie bezdomny i siedzę na garnuszku rodziców swojej dziewczyny.

Na treningach lacrosse nie gryzie mnie to, że wypiąłem się na dziedzictwo swojej mamy.



A kiedy jak szalony zakuwam do egzaminów, nie rozmyślam, po mi właściwie dyplom ukończenia szkoły, skoro do tej pory nie mam pojęcia, co chcę robić w życiu.

Staram się niczego nie okazywać przed Ruby, ale z każdym dniem przychodzi mi to trudniej, bo im dłużej się zastanawiam, tym jaśniej dostrzegam, że na moje pytania nie ma prostych odpowiedzi. I tym bardziej się tym martwię.

– Stary, masz mąkę na spodniach.

Wzdrygam się odruchowo. Podnoszę głowę. Uśmiechnięty od ucha do ucha Wren wskazuje moje nogi.

– Już dziewiąta? – pytam zdumiony. Zerkam na zegarek. Umówiliśmy się, że Wren przyjdzie po mnie po mojej zmianie i zgodnie z naszą tradycją na ognisku będziemy bawić się razem.

Potwierdza ruchem głowy. Od niechcienia otrzepuję dzinsy. Wycieram ręce w ręcznik, przekazuję kasę Kieranowi i wychodzę z za lady.

W ciągu ostatnich tygodni widuję Wrena często, w drodze do szkoły, na lekcjach i na treningach, ale i tak wydaje mi się, że od naszej ostatniej poważnej rozmowy minęły wieki.

– Co u ciebie? – pytam w końcu. Po pierwsze dlatego, że nic innego nie przychodzi mi do głowy, a po drugie dlatego, że naprawdę mnie to interesuje.

– Miałem cię zapytać o to samo.

– Dobrze, że byłem pierwszy.

Wren uśmiecha się pod nosem. Oddalamy się od ogniska, podchodzimy do ogrodzenia. Tam chowają się palacze, co poniektórzy piją też piwo.

– U mnie wszystko w porządku – mówi w końcu.

Im bardziej oddalamy się od ogniska, tym cichsza staje się muzyka.

– A... konkretnie? – pytam ostrożnie. Wren właściwie nie dopuszcza nas do swojego nowego życia. Nie opowiada o nowym domu, nie mówi, jak sobie radzą rodzice w nowej sytuacji. Od Alistaira wiem, że podobnie jak ja rzadko bywa na treningach, ale ilekroć go o to pytam, zbywa mnie i zmienia temat.

Wren się wstydzi, to widać od razu. Boli mnie to, że jego zdaniem nie może ze mną o tym porozmawiać. Do jasnej cholery, w końcu siedzimy w tym samym bagnie.

Także i tym razem spodziewam się, że uchyli się od odpowiedzi, ale zaskakuje mnie.

– Jest inaczej – przyznaje. – Ale w porządku. W końcu podłączyli nam internet.

Wyjmuje piersiówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i upija spory łyk,

a potem podaje mi srebrną flaszkę. Po chwili wahania biorę ją i także piję. Ta chwila przypomina dawne czasy.

– Powoli przyzwyczajam się do Gormsey – mówi dalej. – Chociaż ciągle przeraża mnie to, że sąsiedzi mówią mi „dzień dobry”.

– Na ulicy Ruby jest tak samo. – Oddaję mu piersiówkę. – Już nawet wiedzą, jak się nazywam.

Wren uśmiecha się krzywo.

– W pewnym sensie jest to nawet miłe.

W milczeniu idziemy dalej.

– Chyba mam chętną na swoje udziały w Beauforcie – mówię w końcu, gdy zatrzymujemy się spory kawał od ogniska. – Mój doradca finansowy wszystko sprawdza, ale sprawa wygląda naprawdę dobrze.

– To byłby wielki krok – zauważa Wren. – Cieszę się, stary.

– To jeszcze nic pewnego. Chcę się z nią spotkać, zanim dojdzie do transakcji. Tak, ale jeżeli wszystko pójdzie dobrze, przed końcem roku szkolnego to będzie załatwione.

– Wow. Trzymam kciuki.

– Dzięki. – Uśmiecham się. – Przynajmniej wtedy wreszcie zwolnię kanapę państwa Bell. W ogóle nie chcą słyszeć, żebym wyniósł się do hotelu.

Kąciki ust Wrena wędrują w górę.

– Wyobrażam sobie.

Zdumiony, unoszę brew, ale mówi dalej, zanim zdążę wypytać, co miał na myśli.

– Postanowiłem niedługo urządzić parapetówę. – Obraca piersiówkę w dłoniach, przesuwając palcem po wygrawerowanym napisie. – Chciałbym wam pokazać swój nowy dom.

– Super – reaguję natychmiast. – Kiedy?

– Może w następny weekend? Ja... – Wren urywa, odchrząkuje i dopiero po chwili pyta: – Pojedziesz ze mną na zakupy? Po alkohol i tak dalej?

– Jasne.

Kiwa głową i ponownie unosi piersiówkę do ust. Widzę ulgę w jego oczach, choć nie bardzo wiem, o co chodzi.

– Nie byłem pewien, czy będziecie mieli ochotę – wyznaje po chwili.

– Ależ oczywiście – zapewniam zdumiony.

Wzrusza tylko ramionami.

– Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie byłem dobrym przyjacielem. Ale oczywiście chcę wiedzieć, gdzie teraz mieszkasz i co

się zmieniło. Myślałem po prostu, że nie chcesz o tym rozmawiać, i dlatego nie naciskałem. Przepraszam, jeżeli odniosłeś wrażenie, że to mnie nie obchodzi.

Wren kręci przecząco głową.

– Nie o to chodzi.

– A o co? – pytam ostrożnie.

– W innych okolicznościach... Sam nie wiem. Właściwie przechodzimy przez to samo, a jednak cholernie trudno mi z tobą o tym gadać.

– I stąd piersiówka? – domyślam się i usiłuję się uśmiechnąć. Wren odpowiada nieśmiałym grymasem i wznosi toast bez słów. Potem mówi dalej.

– Tyle się dzieje jednocześnie. Składałem podania o stypendia, odnawiałem pokój, a teraz szukam pracy. Niestety nikt nie chce zatrudnić kolesia, który za kilka miesięcy wyjeżdża na studia.

– Fatalnie. Jeżeli chcesz, będę miał oczy i uszy otwarte.

Wren tylko wzrusza ramionami, ja jednak od razu postanawiam, że będę przeglądał ogłoszenia każdego ranka, gdy tylko pan Bell skończy czytać gazetę.

– Dzięki.

– Stało się coś? – Nie daję za wygraną. – Wydajesz się... inny.

Wren prychnie pogardliwie.

– Cóż, można tak powiedzieć, że tak.

Zatrzymuje się gwałtownie. Odchyła głowę do tyłu i wbija wzrok w niebo, które zdążyło już całkiem pociemnieć. Jesteśmy już tak daleko od ogniska, że ledwie słychać muzykę. Tylko dlatego udaje mi się usłyszeć jego kolejne słowa:

– Chyba wkrótce się zakocham.

Zaskoczony przyglądam mu się z ukosa, ale ma tak ponurą minę, że nie śmiem pytać o szczegóły.

– Wyglądasz, jakby z tego powodu świat miał się zawalić.

Głośno nabiera tchu i krzyżuje ręce za głową.

– Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Dlaczego akurat teraz? W ogóle mi to nie pasuje.

Tym razem nie mogę powstrzymać śmiechu. Wren łypie na mnie groźnie.

– Przepraszam. Po prostu uważam, że miłość nie czeka cierpliwie na odpowiedni moment. Atakuje cię nagle, znienacka, wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Kolejne prychnięcie.

– W takim razie miłość to podstępna suka.

Uśmiecham się szeroko. Wren jeszcze przez mniej więcej dwie sekundy zachowuje marsową minę, ale potem i on się rozpogadza.

– Cały czas myślę o naszym planie na ten rok. A potem rozglądam się wokół i chce mi się śmiać z naszej głupoty i naiwności – mówi.

– Słuchaj, to ciągle może być najlepszy rok naszego życia.

Opuszcza ręce.

– Jezu, błagam, nie. Najlepszy rok mojego życia nie może być tak cholernie beznadziejny. Nie zgadzam się.

– Masz rację. Po prostu chciałem powiedzieć coś optymistycznego.

– Spędzasz za dużo czasu z Ember – komentuje. Widząc moje zaskoczone spojrzenie, dodaje szybko: – I z Ruby.

Kopie kamień leżący na drodze. Obserwujemy, jak toczy się kilka metrów.

– Jak to było z tobą? No wiesz, z Ruby.

Zastanawiam się przez chwilę.

– To się po prostu stało. Początkowo się broniłem, ale szybko się zorientowałem, że to nie ma sensu. Kocham ją. I to się jeszcze długo nie zmieni.

Wren szeroko otwiera oczy.

– Naprawdę?

Wzruszam ramionami.

– Tak.

– Brzmi megapoważnie. Jakbyś już teraz był pewien, że chcesz z nią spędzić życie.

– I może tak właśnie jest. – Słowa przychodzą same. O ile jeszcze pół roku temu walczyłem ze sobą, teraz już wcale się nie boję. Wręcz przeciwnie.

– Jezu, stary. – Wren kręci głową.

– Opowiesz mi o niej? – proszę.

Drapie się w głowę.

– Lepiej nie.

– W porządku. Ale chcę, żebyś wiedział, że zawsze możesz ze mną pogadać. Może częściej powinniśmy to robić.

– Dzięki. Może i tak.

Obserwuję młodszych uczniów, którzy biegają dookoła ogniska i pojedynkują się patykami. Lin natychmiast ich karci, choć wcześniej sama dźgnęła mnie kijkiem w plecy.

– Cyril odzywał się do ciebie? – pyta nagle Wren.

Wpatruję się w iskry, które wzbijają się w niebo i gasną.

– Nie.

– Zaczynam się o niego martwić. Od dwóch tygodni nie było go w szkole. Nikt nie wie, co się z nim dzieje.

Choć powinno być mi to obojętne, jego słowa budzą we mnie lęk.

– Może jego też powinienem zaprosić – ciągnie Wren. – Na razie ignoruje wszystkie wiadomości ode mnie. Pewnie ma wyrzuty sumienia przez tę sprawę z Ruby i Lydią.

– I bardzo dobrze – rzucam ostrzej, niż zamierzałem. Wzdycham głośno. – Nie wiem, czy zdołam mu kiedykolwiek wybaczyć. Mógł tym sposobem przekreślić całą przyszłość Ruby.

– Ale zrozumiał swój błąd i starał się wszystko naprawić, prawda?

Nie odpowiadam.

– Zaproszenie nie zaszkodzi. Uwierz mi, zdaję sobie sprawę, że przegiął. Ale każdy z nas kiedyś to zrobił. Jeżeli teraz nie może na nas liczyć, okazemy się hipokrytami, nie uważasz?

Z całej siły zaciskam zęby, a potem wyciągam rękę po piersiówkę. Upijam kilka łyków, rozkoszuję się paleniem w gardle.

– Wkurza mnie, kiedy masz rację – mówię w końcu.

Wren z uśmiechem klepie mnie po plecach.

Pożegnałem się z nim i idę szukać Ruby. W samochodzie mam koc i małe głośniki. Miałem nadzieję, że po skończonej imprezie zostaniemy jeszcze trochę na polanie i będziemy obserwować gwiazdy.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni mieliśmy mało okazji, by być sami. Co prawda rodzice Ruby nie są szczególnie surowi, ale w każdej chwili mogą wejść do pokoju, więc staram się zawsze zachowywać przyzwoitą odległość. No, może nie zawsze. Naprawdę nie chcę okazać państwu Bell braku szacunku. Przecież to dzięki nim mam dach nad głową.

Ruby jest przy ognisku. Stoi obok dyrektora Lexingtona, który w tej chwili kończy imprezę i dziękuje wszystkim uczestnikom. Spowita blaskiem ognia wygląda jak anioł zemsty.

Nie odrywając od niej wzroku, wyjmuję komórkę z kieszeni, włączam aparat i robię zdjęcia. Przeszywa mnie dreszcz, gdy patrzę na efekt.

Już mam ponownie schować telefon, gdy przychodzi nowa wiadomość. Włosy na karku stają mi dęba, gdy widzę, że przysłał ją ojciec. Po tym, jak zlekceważyłem pierwszy mejl, tydzień temu napisał ponownie i poinformował mnie, że sprawiłem mu zawód, ale daje mi jeszcze jedną szansę wykazania się zdrowym rozsądkiem. Znowu nie odpowiedziałem i miałem nadzieję, że w końcu da mi spokój.

Kiedy jednak czytam nową wiadomość, dociera do mnie, że byłem w błędzie.

W oczach mojego ojca ta sprawa bynajmniej nie jest zakończona. Dla niego wszystko się dopiero zaczyna.

*Sam tego chciałeś.*

## James

Nie powiedziałem Ruby o wiadomościach od ojca.

Zdaję sobie sprawę, że to błąd. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy mieć przed sobą tajemnic i zaczniemy rozmawiać otwarcie o wszystkim, co nas dotyczy. A jednak nie chcę po raz kolejny obarczać jej swoimi problemami. W tej chwili ma wystarczająco dużo rzeczy na głowie: egzaminy końcowe są coraz bliżej, walka o stypendia na Oksfordzie staje się coraz bardziej zacięta. Nie chcę, żeby teraz zwracała sobie mną głowę, zwłaszcza że sam do końca nie wiem, co oznacza tajemnicza wiadomość od ojca.

Prawdopodobnie chciał mnie zastraszyć, ale osiągnął coś wręcz przeciwnego. Jeszcze nigdy nie byłem równie pewien, że podjąłem słuszną decyzję. I jeszcze nigdy nie byłem równie zmotywowany, by wreszcie zrobić to, o czym myślę od wielu tygodni.

W sobotę czekam, aż Ruby pójdzie do łazienki, by szykować się na imprezę u Wrena, a potem idę do pokoju Ember. Głęboko nabieram tchu i pukam w leciutko uchylone drzwi.

– Tak? – dobiega ze środka. Ember siedzi przy biurku, wpatrzona w ekran laptopa, z filiżanką herbaty w dłoni. Na mój widok pytająco unosi brwi.

– Masz chwilę? – zaczynam.

Potwierdza ruchem głowy.

– Oczywiście, wchodź. Gdzie Ruby?

– Szykuje się na imprezę i gada z Lydią przez FaceTime.

– Aha.

Podchodzę do jej biurka. Ember lekko przechyła głowę.

– O co chodzi?

Zerkam na jej komputer.

– Mam parę pytań dotyczących twojego bloga. A właściwie blogowania jako takiego.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, a potem kiwa głową. Nie daje po sobie

poznać, jeżeli ją zaskoczyłem. Wyciąga spod biurka niski stołeczek.

– Jasna sprawa. Siadaj.

Zajmuję miejsce, przeczesuję włosy palcami i głośno nabieram tchu.

– Od kilku dni siedzę na WordPress, ale nic z tego nie rozumiem. Pomyślałem sobie, że może wytłumaczysz mi to nieco jaśniej niż ci wszyscy mądrale w sieci.

– Wiadomo. Sama żałuję, że kiedy zaczynałam, nikt mi niczego nie wytłumaczył – odpowiada. Odwraca komputer tak, że oboje widzimy ekran. Otwiera przeglądarkę, wpisuje adres i w kolejnym oknie otwiera się jej blog, BellBird. – Po kolei: wszystko, co widzisz na stronie tytułowej, możesz zmienić tutaj... – Otwiera kolejne okno. – Radzę nauczyć się najpierw tego, bo to tak naprawdę jest punkt dowodzenia całym blogiem. – Wciska guzik i z boku pojawia się szaroczarny prostokąt.

– No dobra. Sama to zrobiłaś? Czy miałaś informatyka?

– Po pierwsze, musisz mieć host, na którego serwerze umieścisz stronę. Na WordPress można kupić wiele gotowych schematów. Pokażę ci, gdzie znalazłam swój.

Otwiera kolejną stronę ze wzorami witryn.

– Trzeba się poważnie zastanowić, co właściwie chcesz osiągnąć. Tutaj, jak widzisz, mamy fantastyczny projekt, ale w ogóle nie pasuje do moich treści.

Kiwam głową.

– Na co zwracać szczególną uwagę?

– Zależało mi, żeby strona była intuicyjna i działała równie dobrze na urządzeniach mobilnych, jak i na komputerach. Zależało mi też na stronie startowej i pasku. Teraz jest tyle możliwości, tylu fajnych projektantów stron. Wybrałam najlepsze i oglądałam je tygodniami, zanim dokonałam wyboru.

– Nie pojmuję, skąd to wszystko wiesz.

– Człowiek uczy się z czasem.

– Od początku podchodziłaś do blogowania tak profesjonalnie?

– Nie, ale tego żałuję. – Przewija kolejne propozycje witryn, nieruchomieje na chwilę, a potem zerka na mnie z ukosa. – Właściwie dlaczego cię to interesuje?

Wzruszam ramionami.

– Lubię blogi. Pomagają mi się odprężyć. Uczę się nowych rzeczy, oglądam miejsca, do których nigdy nie pojadę.

– U mnie zaczęło się podobnie. – Ember uśmiecha się znacząco. – Aż w pewnym momencie stworzyłam własną stronę.

Kusi mnie, żeby powiedzieć, co w tej chwili chodzi mi po głowie: nie mam pojęcia, co zrobić ze swoim życiem, a to jedyna rzecz, która pasjonuje mnie od



lat.

Może kiedyś zdołam wypowiedzieć to na głos. Ale jeszcze nie dziś.

Odwzajemniam spojrzenie Ember.

– Skąd wiedziałaś, że masz coś do powiedzenia? – pytam w końcu.

Na jej ustach wykwita blade uśmiech.

– James, każdy ma coś do powiedzenia.

## Ruby

Nawet na wyświetlaczu telefonu Jamesa widzę rumieńce na twarzy Lydii. Ma rozpuszczone, falujące włosy, jej oczy autentycznie lśnią, gdy opowiada o wydarzeniach minionego tygodnia.

– Uznałyśmy, że bez sensu ciągle siedzieć w środku przy takiej pięknej pogodzie, więc Ophelia przeniosła gabinet na taras. – Uśmiecha się pod nosem.

– Choć moim zdaniem tak naprawdę po prostu chciała obserwować ogrodników, którzy szykują ogród na lato.

Parskam śmiechem i mało brakuje, a oparzyłabym się w czoło prostownicą, którą doprowadzam grzywkę do porządku.

– Musimy wkrótce znowu was odwiedzić. Chciałabym też poznać twoją nauczycielkę. Naprawdę jest taka surowa?

Lydia przewraca oczami.

– W porównaniu z nią Lexington to istny baranek.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę. Jest cholernie wymagająca i zwraca uwagę na szczegóły, takie jak kaligrafia. Jeżeli coś nie jest zrobione idealnie, trzeba to powtórzyć. Z jednej strony strasznie mnie to męczy, a z drugiej cieszę się, że traktuje mnie normalnie.

– Lydia, bo ty jesteś normalna.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Biorę lakier z półki, zamykam oczy i spryskuję całą głowę.

– Nawet kilkaset kilometrów od ciebie chce mi się kasłać – rzuca Lydia, a mnie znowu zbiera się na śmiech. – Ale wyglądasz super.

– Kochana jesteś, dzięki. – Przyglądam się sobie na wyświetlaczu telefonu. Tak, wszystko na miejscu. Oby tak zostało przez cały wieczór. – Jakie plany na weekend?

– Nic szczególnego. Graham przyjedzie i zostanie do poniedziałku.

Podejrzewam, że Ophelia chce skorzystać z okazji i namówić go na baby shower.

– Och! Super.

– Tak uważasz? – Lydia marszczy brwi. – Sama nie wiem. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Niby dlaczego?

– Bo ja wiem? Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie jestem pewna, czy baby shower to naprawdę dobry pomysł.

Energicznie potrząsam głową i pochylam się nad ekranem, żeby spojrzeć na nią groźnie.

– Słuchaj, do tej pory nie miałaś okazji, by cieszyć się ciążą. A przecież to powinien być piękny czas. Jeżeli jesteś gotowa na to, by pozwolić innym cieszyć się za ciebie i twoje dzieci, powinnaś zgodzić się na imprezę.

Lydia oddycha z wyraźną ulgą.

– Bo cieszysz się, prawda?

– Tak, teraz już tak – odpowiada natychmiast.

– Więc nie wiem, co miałoby ją powstrzymać przed urządzeniem takiej imprezy dla ciebie i maluchów.

Na jej twarzy pojawia się leciutki uśmiech.

– A przyjechałabyś?

– Z największą przyjemnością. Inni na pewno także.

– Ophelia w każdym razie pali się do tego pomysłu. Nie wiem, gdzie znajduje na to czas, ale w ciągu ostatnich kilku dni zdążyła wydziergać kilka czapeczek i kocyk dla maluchów.

– To słodkie.

– Owszem, ale między nami, to nie jest jej najmocniejsza strona. Kocyk przypomina raczej ścierkę, taki jest szorstki. – Uśmiecha się. – Ale to bez znaczenia, i tak się cieszę.

– Super widzieć cię w tak dobrej formie. Mam wrażenie, że pobyt u Ophelii bardzo dobrze ci robi.

– Fakt. Właściwie to miała być kara. Ojciec zapewne nie spodziewał się, że natychmiast się dogadamy.

– Czyżbyś rozważała zostanie u niej na dłużej?

Lydia kiwa głową.

– Myślałam o tym. Dobrze mieszkać z kimś, kto mnie rozumie. Z drugiej strony nie w porządku jest stawiać jej życie na głowie. I bez tego ma pełne ręce roboty.

Podchodzę do szafy, otwieram ją jedną ręką.

– A jak sytuacja z panem Suttonem?

Lydia parska śmiechem.

– Naprawdę musisz przestać tak go nazywać.

Wyjmuję buty i wracam do biurka. Ostrożnie opieram komórkę o pustą szklankę.

– Dla ciebie to zawsze był Graham, ale nie dla mnie. Dziwnie się czuję, nagle mówiąc do niego po imieniu.

– Jeszcze się nauczysz – mówi z przekonaniem. Zagryza dolną wargę, zanim decyduje się mówić dalej. – Graham... zapytał, czy zamieszkamy razem.

Zastygam z butem w dłoni i wpatruję się wyświetlacz telefonu.

– No i?

Lydia kiwa głową. Na jej twarzy pojawia się uśmiech.

– Chyba mogę sobie to wyobrazić – przyznaje szeptem.

W tej chwili tak bardzo różni się od tamtej Lydii, którą znalazłam w toalecie w oksfordzkim pubie, zalaną łzami, że robi mi się ciepło na sercu.

– Cieszę się – mówię szczerze.

– Ale na razie nie mów o tym mojemu bratu – dorzuca pośpiesznie. – Bo zaraz zasypie mnie pytaniami, na które w tej chwili jeszcze nie znam odpowiedzi.

– Będę milczeć jak grób.

– Co u niego? – pyta.

Zakładam buty i zaczynam je sznurować. Jednocześnie zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Chyba dobrze. Ale sama wiesz, że najpierw tłumi wszystko w sobie, a dopiero później pozwala na wybuch wulkanu.

Lydia wzdycha cicho.

– Skądś to znam. Jak sobie radzi z tą sprawą z ojcem?

– Ilekroć o to pytam, mam wrażenie, że to dla niego niewygodny temat. Na razie staram się to uszanować. Liczę, że kiedy będzie chciał pogadać, zwróci się do mnie.

Widzę, jak kiwa głową. Nagle poważnieje.

– Jeżeli chcesz, mogę nim potrząsnąć, gdy nie chce rozmawiać.

Mocuję się ze sznurówkami i analizuję jej słowa.

– Podczas ogniska długo gadał z Wrenem. Najważniejsze, że z kimś w ogóle rozmawia. To niekoniecznie muszę być ja.

– Pewnie po prostu nie chce cię jeszcze bardziej obciążać, po wszystkim, co

się wydarzyło.

– Nie mam pojęcia. – Wstaję, cofam się o krok i obracam wokół własnej osi. – I jak?

– Super! Ember uszyła tę spódnicę? – Lydia lekko mruży oczy.

– Skąd wiedziałaś? – pytam i opuszczam wzrok. Skraj granatowej spódnicy obszyto drobnymi kwiatkami, które widać tylko z bliska.

– Nie wiem, miałam takie przeczucie.

Nie do końca jej wierzę.

– Ściemniasz! Na pewno wysłała ci zdjęcie.

Lydia się uśmiecha.

– Regularnie przesyła mi fotografie nowych projektów. Czasami nawet pozwala mi pokazać je Ophelii i zapytać o zdanie.

– Chcesz się z nią przywitać? – pytam i sięgam po torebkę.

– Bardzo chętnie.

Z telefonem Jamesa w dłoni idę do pokoju Ember i pukam do drzwi. Słyszę ciche głosy, a potem moja siostra woła:

– Proszę!

Otwieram drzwi i na progu staję jak wryta.

Obok Ember, tuż przy biurku, siedzi James, wpatrzony w jej komputer, na którego monitorze widzę logo BellBird. Na mój widok podnosi głowę.

– Ember? Ktoś chce się z tobą przywitać. – Podchodzę do niej i podaję jej komórkę. Bierze ją i szeroko uśmiecha się do Lydii.

– Uszyłaś Ruby fantastyczną spódnicę – zaczyna moja przyjaciółka.

– Rozpoznałaś ją?

Słyszę, jak Lydia potwierdza. Ja tymczasem odwracam się do Jamesa i kładę mu dłoń na biodrze.

– Co robiliście?

– Ember pokazywała mi swój blog – odpowiada, ale zanim zdążę dopytać o coś więcej, zerka na zegarek. – Idziemy?

– Dokąd się właściwie wybieracie? – pyta Lydia.

– Do Wrena – odpowiada James. – Urządza parapetówę.

Kątem oka widzę, jak po jego słowach Ember nagle blednie. Rozchyła usta i mówi:

– Och. Super.

Oddaję Jamesowi telefon.

– Dzięki – mruczy i mówi do Lydii: – Jutro się odezwę, dobra?

– Jasne. Po pierwszej, wcześniej mam lekcje.

– Przecież jutro jest sobota – zauważa spod ściągniętych brwi.  
– Moja nauczycielka uważa, że powinnam przerobić jak najwięcej materiału na wypadek, gdyby bliźniaki urodziły się wcześniej. To się podobno często zdarza.

Gwiżdżę pod nosem.

– Teraz rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że jest surowa.  
– No cóż, takie życie. Bawcie się dobrze. I pozdrówcie ode mnie chłopaków!  
– Tak jest. – James uśmiecha się krzywo i kończy połączenie. Przenosi wzrok na Ember. – Dzięki, że mi to wszystko wyjaśniłaś. Bardzo mi pomogłaś.  
– Nie ma sprawy – zapewnia moja siostra. – Bawcie się dobrze.

Wbijają wzrok w ekran, ale wydaje mi się, że tak naprawdę wpatruje się w przestrzeń.

## Ember

Kingfitz: chciałbym się znowu z tobą zobaczyć supergirl

Kingfitz: może kawa

Kingfitz: dzięki że mi dzisiaj pomogłaś. Nie wiem czy bez ciebie dałbym sobie radę

Kingfitz: jesteś najlepsza x

Kingfitz: szkoda że nie zostaliśmy w jaskini w lodziarni

Kingfitz: proponuję żebyśmy sprawdzili wszystkie lodziarnie w okolicy i zrobili ranking

Abstrahując od tego, że brak interpunkcji w jego wiadomościach doprowadza mnie do szału, cała trzęsę się ze złości, gdy przeglądam nasz czat. Nagle słowa, które tyle dla mnie znaczyły, wydają się puste i błahe.

Nie mieści mi się w głowie, że dałam zrobić z siebie taką idiotkę.

Godzinami szukałam mu stypendiów. Pomagałam urządzić pokój, żeby dobrze się poczuł w nowym domu. Wysłuchiwałam jego zmartwień i opowiadałam godzinami, jak to wyglądało u nas, po wypadku taty. Wspominałam, że również byłam załamana, choć wtedy byłam małą dziewczynką i nie miałam pojęcia, jak bardzo zmieni się nasze życie. Zwierzałam mu się ze swoich obaw, bo wydawało mi się, że znalazłam kogoś, z kim mogę pogadać o wszystkim, o czym nie mogę porozmawiać z siostrą.

A teraz?

A teraz on bawi się na parapetówie, na którą mnie nie zaprosił, o której w ogóle mi nie powiedział.

Wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi. Wydawało mi się, że on także jest gotów, by posunąć się dalej. Ale najwyraźniej bardzo się myliłam.

*Zobaczymy się jutro*

To ostatnia wiadomość. Napisał dzisiaj po południu, a ja byłam tak głupia, że odpowiedziałam entuzjastycznym: *oczywiście*. Nie wiem, jak się teraz

zachować. Tylko jedno wiem na pewno: nie będę się tym gryźć.

Niezdecydowana wpatruję się w wyświetlacz swojego telefonu i szukam odpowiednich słów.

*Baw się dobrze na parapetowie, zdrajco.*

Za dziecinne. Natychmiast kasuję to zdanie.

Wbijam wzrok w telewizor. Gordon Ramsay akurat ochrzania innego kucharza. Natychmiast przypomina mi się wieczór, gdy razem z tatą oglądaliśmy wycinki z jego programów i zwijaliśmy się ze śmiechu, gdy przez bite piętnaście minut Gordon sypał stekiem przekleństw.

Może teraz powinnam to obejrzeć.

– Skąd taka ponura mina, skarbie? – zagaja mnie mama.

Wzdycham głośno. Przed nią naprawdę nic się nie ukryje. Wren mówi na mnie supergirl, ale moim zdaniem prawdziwą superbohaterką jest mama, która zawsze dostrzega coś, co innym umyka.

– Miałaś kiedyś przyjaciół, którzy z dnia na dzień zniknęli z twojego życia? – pytam.

Mama odkłada czytnik, który przed chwilą miała przed nosem. Przygląda mi się w zadumie i zakłada kosmyk za ucho.

– Tak, w szkole miałam taką przyjaciółkę.

– Jak sobie z tym radziłaś?

– Zazwyczaj po prostu to ignorowałam. Ale kiedyś odważyłam się to skomentować. To było, kiedy urządziła imprezę w moje urodziny i do mnie nikt nie przyszedł.

– O Boże, mamó. Straszne.

– Chodzi ci o Samanthę Baker? – wtrąca się tata. – Co za mała.

– Angus! – rzuca mama.

– Przecież to prawda. Bardzo mi się podobało, że jej powiedziałaś, co o tym myślisz.

Mama rumieni się po uszy.

– Dziękuję, skarbie.

– A co konkretnie jej powiedziałaś? – pytam.

– Że sprawiła mi przykrość. Że ignorowała mnie przy innych uczniach, ale ilekroć zostaliśmy same, byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Moim zdaniem to nie było w porządku. Dałam jej szansę, by się zmieniła, ale nie chciała tego.

– I co wtedy?

– Powiedziałam, że koniec z naszą przyjaźnią, i postanowiłam, że nigdy więcej nie dam się tak potraktować. Nauczyłam się, że zawsze muszę mieć na

uwadze własne uczucia i emocje. I to samo radzę teraz tobie, Ember.

Długo myślę o jej słowach. *Powiedziałam jej, że sprawiła mi przykrość.*

Jeszcze nikt nigdy nie zranił mnie tak, jak Wren dzisiaj. I może właśnie to powinnam mu powiedzieć.

*Uważam, że to okropne, że urządzasz parapetówkę i mnie nie zaprosiłeś. Wydawało mi się, że jesteśmy przyjaciółmi.*

Kiedy to piszę, czuję się dziwnie obnażona. Tak samo, gdy piszę szczególnie osobisty wpis na blogu o sprawach, które są dla mnie ważne.

Waham się tylko przez chwilę, biorę przykład z mamy i wysyłam wiadomość. A potem kładę telefon na kanapie wyświetlaczem do dołu.

– Dzięki, mamó – mówię cicho.

– Chcesz o tym pogadać, skarbie?

Zaprzeczam ruchem głowy, a potem opieram się o bark taty i wyrzucam myśli o Wrenie Fitzgeraldzie ze swojej głowy.

## James

– Nie wiem, jak wam, ale mnie się tu podoba. – Alistair wznosi toast piwem.

Wren unosi brwi i rozgląda się po swoim pokoju, jakby widział go po raz pierwszy.

– Mnie też – wtóruję Alistairowi. Mówię poważnie. Co prawda jest mniejszy niż dawny pokój Wrena, na ścianach nie ma nieprzyzwoicie drogiej tapety, ale jest przytulny, a Wren zdołał nadać mu osobisty rys. Na ścianach powiesił oprawione zdjęcia, na półce ustawił puchary, które zdobyliśmy w minionych latach na turniejach lacrosse. Alistair, Kesh i ja kupiliśmy mu w prezencie zestaw szklanek do whisky, który teraz stoi na biurku. Część mebli jest z Ikei, część z jego dawnego pokoju. Pośrodku leży orientalny dywan.

– Dom jest uroczy – zauważa Ruby. Siedzi wtulona we mnie. Odruchowo głaszczę ją po plecach, cały czas obserwując Wrena.

Tego wieczoru coś jest z nim nie tak. Ani na chwilę nie odłożył komórki, zdarza się, że bez końca gapi się na wyświetlacz.

Jest przygnębiony i nie sądzę, że to z powodu tego, że w jego nowym pokoju nie ma miejsca na krzesła i wszyscy siedzimy na podłodze. Chyba coś innego chodzi mu po głowie i zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z tajemniczą dziewczyną, której istnienie zdradził mi zaledwie tydzień temu na ognisku.

– Za to macie spory ogród – dorzuca Alistair. – Jakbyś zatęsknił za basenem,



w lecie kupimy ci nadmuchiwany.

Idzie przez pokój, przechodzi nad nogami Kesh, nawet na niego nie patrząc. Siada po turecku między mną i Wrenem. Kesh marszczy czoło i nerwowo bawi się frędzlami dywanu. Ciekawe, czy znowu się pokłócili.

– W dzieciństwie taki miałyśmy – rzuca Ruby z uśmiechem.

– To prawda – wtóruję jej. – Dowody fotograficzne wiszą u was w holu.

Ruby szturcha mnie w bok. Boli, ale i tak się uśmiecham.

– Błagam, nie mów, że masz zdjęcia z nadmuchiwanymi rękawkami – prycha Alistair.

– Mniej więcej – mamrocze Ruby. Choć lekko się zarumieniła, ona także się uśmiecha i upija łyk coli. Nie spodziewałem się, że zobaczę ją tak rozluźnioną w towarzystwie moich przyjaciół. Naprawdę się cieszę, że mogę spędzić ten wieczór tutaj, z nią.

– Wiesz, Wren, myślę, że twoje sąsiadki będą zachwycone, jeśli w lecie codziennie urządzisz im striptiz – rzuca Alistair żartobliwie. – Może nawet porobią ci zdjęcia i powieszą sobie w korytarzu. – Komicznie porusza brwiami.

– Po drodze minąłem trzy kobiety, które życzyły mi dobrej zabawy na parapetowie – dodaje Kesh. – Najwyraźniej wywarłeś już niezatarte wrażenie na okolicznych mieszkańcach.

Wren wzdycha głośno.

– Mama za dużo gada.

– I tak trzeba, jeżeli chce się dobrze żyć z sąsiadami – zauważa Ruby.

– Wszystkie wyglądały bardzo sympatycznie – zapewnia Alistair, ale jego uśmiešek jest co najmniej dwuznaczny.

– To może ty zrobisz ten numer z basenem i uwiedziesz wszystkich sąsiadów? – rzuca Wren. – Mnie się to raczej nie uda.

– Nic dziwnego, jeżeli ciągle chodzisz z taką miną. – Kesh odsuwa od siebie miskę chipsów, która początkowo krążyła, ale w którymś momencie zatrzymała się przy nim.

Oburzony Wren głośno nabiera tchu.

– Słucham? Co niby jest nie tak z moją miną?

– Jest mniej więcej równie kusząca, jak sala tortur. – Kesh marszczy czoło i toczy wokół ponurym wzrokiem. Kiedy dochodzi do Alistaira, mina mu rzednie, szybko ucieka wzrokiem. Zapada nieprzyjemna cisza, podczas której Alistair przygląda mu się uważnie. Nabiera powietrza w płuca. Rozpogadza się odrobinę.

– Kąciki ust muszą być jeszcze niżej – mówi po chwili i on także rozgląda się

ponuro. – Mniej więcej tak.

Przez chwilę Kesh wydaje się zbity z tropu, ale kiedy na jego ustach pojawia się uśmiech, wydaje się płynąć z głębi serca.

Naśladuje minę Alistaira.

– Cześć, jestem Wren Fitzgerald i nie mam ochoty na towarzystwo. Drodzy sąsiedzi, dajcie mi spokój, żebym dalej mógł pograżać się w rozpaczliwej egzystencji nieszczęśliwego nastolatka. Bardzo dziękuję za uwagę.

Alistair, Ruby i ja parskamy uśmiechem, po chwili wahania Wren także nam wtóruje. Kesh opiera się na łokciach i uśmiecha pod nosem.

– Wszyscy jesteście walnięci. Ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego właściwie was zaprosiłem? – pyta Wren, kiedy wszyscy się trochę uspokoili.

– Bo chcesz mieć przyjaciół i nie chcesz siedzieć tu sam, bez nich?

– Bo potrzebujesz kogoś, kto ochrzci twoją kanapę? – dodaje Alistair.

– Chcesz mieć okruchy na dywanie? – Kesh zbiera resztki chipsów z dywanu.

– To nowy dywan, człowieku.

W odpowiedzi Kesh podnosi miskę chipsów i podaje mu z uśmiechem.

– Słuchajcie – zaczyna Alistair i nie dopuszcza do głosu Wrena, który akurat chciał coś powiedzieć.

Wszyscy wbijamy w niego wzrok. Unosi telefon, na którym widać fotografię tłumu. Zdjęcie jest prześwietlone, nie od razu widać, kto się na nim znajduje.

– James McCormack urządza dzisiaj imprezę.

– No i? – mruczy Wren obojętnie.

Nie znosimy McCormacka. Nie dlatego, że jest kapitanem drużyny lacrosse z East View, tylko dlatego, że to arogancki, bezczelny koleś, który ciągle prowokuje nas podczas meczów.

Pochyliłam się, mrużę oczy. I nagle wiem, o co chodzi Alistairowi. Na skraju fotografii widać kogoś podtrzymywanego przez dwie inne osoby. Wygląda, jakby miał zaraz zwymiotować. I ten ktoś podejrzenie przypomina...

– Czy to Cyril? – pyta nagle Kesh.

– Na sto procent – odpowiada Alistair i patrzy znacząco na Wrena.

– Wygląda fatalnie – mówi nasz gospodarz.

Mruczę twierdząco. Cyril jest blady jak ściana, tłuste włosy opadają mu na czoło. Ktoś podsuwa mu aparat pod nos, żeby zrobić zdjęcie, on odpycha go ręką, ale chyba nie ma już siły.

– Nie zaprosiłeś go?

Wren kiwa głową.

– Owszem, ale znowu nie odpowiedział.

Atmosfera nagle gęstnieje.

– Co wy na to? – rzuca nagle Alistair. – Złożymy McCormackowi krótką wizytę?

Podłoga wibruje mi pod stopami. Muzyka jest tak głośna, że ściany drżą. Przeciskam się przez tłum. Niektórzy tańczą, inni usiłują rozmawiać w tym hałasie. Ktoś energicznie podnosi butelkę z piwem i krople alkoholu zalewają mi twarz. Zdenerwowany, ocieram ją wierzchem dłoni. Jeden z chłopaków, którego znam z lacrosse, przechodząc, wbija mi łokieć pod żebro. Kiedy patrzę na niego spod ściągniętych brwi, wrzuca mi wyzwanie wzrokiem. W tej chwili nie mam na to siły.

Pochyliam się do Ruby, która idzie u mojego boku i od dłuższego czasu się nie odzywa.

– Wszystko w porządku? – pytam głośno.

Kiwa głową i posyła mi wymuszony uśmiech. Nie dziwię się jej. Zamiast siedzieć w przytulnym pokoiku Wrena, pojechaliśmy limuzyną Alistaira do East View, gdzie najwyraźniej odbywa się impreza stulecia.

Pieprzony James McCormack.

– Jeżeli wolisz wrócić do domu... – powtarzam kolejny raz, na co Ruby tylko przewraca oczami.

– Zostanę z wami. – Ściska moją dłoń i ciągnie w kierunku schodów na piętro.

Nie zwracam uwagi na spojrzenia gości. Nie cieszymy się tu najlepszą opinią. Nie tylko raz za razem pozbawialiśmy ich szans na mistrzostwo w lacrosse, lecz także Alistair dwukrotnie zaatakował McCormacka, co miało poważne konsekwencje. Kiedy wchodzimy na schody, słyszę, jak ktoś go głupio zaczepia, odwracam się i widzę, jak Kesh barkiem odpycha kolesia, który był podejrzenie blisko Alistaira.

– Nie dajcie się sprowokować – mówi Wren. Idzie przed nami i szuka wzrokiem Cyrila.

Muzyka niesie się echem po całym domu, rytmiczny house'owy beat, od którego drżą kandelabry i pulsuje mi czaszka. Też chciałbym się napić, ale to nie wchodzi w grę. Muszę zachować jasny umysł.

– Masz pojęcie, gdzie może być?! – wrzeszczy Wren.

Zaprzeczam ruchem głowy. To dom rodziców McCormacka. Jak przez mgłę przypominam sobie, że już kiedyś tu byłem. Kręcone schody i paskudne martwe natury z koszami owoców i wazonami wydają się znajome. Ale wtedy byłem tak pijany, że nie mam pojęcia, co gdzie jest.

Pokonujemy ostatnie schody na piętro i długim korytarzem dochodzimy do dwuskrzydłowych drzwi. Wren nagle sztywnieje. Spoglądam ponad jego ramieniem i już wiem, dlaczego tak zareagował.

Na stole, na którym poniewierają się resztki partyjki pokera, stoi Cyril. Na całe gardło śpiewa piosenkę płynącą z głośników, w jednej dłoni trzyma do połowy pełną szklankę whisky, z której przy każdym ruchu rozlewa się odrobina alkoholu. Przy nim na stole tańczy dziewczyna i zachęca do picia. Cyril odchyła głowę i opróżnia szklankę jednym haustem, a potem ciska ją przez całe pomieszczenie. Szklanka rozbija się o ścianę, ale to chyba nikomu nie przeszkadza. Przeciwnie, wokół rozlegają się okrzyki podziwu. Cyril kłania się ze śmiechem, traci równowagę, kurczowo chwyta dziewczynę.

– I pomyśleć, że my się o niego martwiliśmy. – Wren kręci głową.

– Jak widać, mieliśmy ku temu powody – zauważa Alistair. – Przypomina mi Jamesa z grudnia.

Te słowa są jak cios w żołądek.

– Musimy go stąd zabrać. – Staram się przekrzyczeć muzykę. Wymieniam spojrzenia z chłopakami, a potem patrzę na Ruby. – Poczekasz chwilę? Zabierzemy go i spadamy.

Ruby niespokojnie wodzi wzrokiem między mną a Cyrilem, który chwieje się na stole i głośno domaga nowego drinka. W końcu kiwa głową. Całuję ją w czoło, odwracam się, przechodzę przez pokój i wskakuję na stół.

Na mój widok Cyril marszczy brwi. Ma przekrwione oczy, nie wiem, czy dlatego, że coś wziął, czy dlatego, że płakał. Jego wzrok poważnieje, gdy widzi pozostałych. Z trudem przełyka ślinę.

Dziewczyna, która z nim tańczyła, nieruchomieje. Chyba wyczuła, że atmosfera nagle stała się poważna, i z westchnieniem pozwala, by ktoś pomógł jej zejść ze stołu. Tymczasem ja i Cyril mierzymy się wzrokiem. Wściekłość, którą w ciągu minionych dwóch tygodni czułem, nagle zniknęła. Nie czuję jej teraz, gdy widzę, w jak fatalnym stanie jest Cyril.

– Co wy tu robicie? – pyta po chwili.

Głośno przełykam ślinę.

– Przyszliśmy po ciebie.

Cyril chwieje się na wszystkie strony. Nie odrywa ode mnie wzroku. Jego oczy lśnią szkliście.

– Chodź – mówię i wskazuję głową drzwi. A potem biorę go pod rękę i razem z Wrenem ściągamy ze stołu. Wokół nas rozlegają się okrzyki zawodu, kątem oka widzę, że ktoś zajmuje miejsce Cyrila na stole i natychmiast domaga się

alkoholu.

Staramy się podtrzymywać Cyrila, Wren po lewej, ja po prawej stronie, ale co chwila bezwładnie osuwa się na ziemię.

– Jezu, Cyril, nie możesz nam trochę pomóc? – sapie Wren.

Cyril mruży coś w odpowiedzi, ja jednak słyszę go jednym uchem, bo w tym momencie dochodzimy do drzwi... A Ruby tam nie ma.

Przeklinam pod nosem i rozglądam się w poszukiwaniu Alistaira i Kesha, którzy wpatrują się w to samo miejsce.

– Gdzie ona jest? – pyta Alistair.

Kesh, najwyższy z nas, rozgląda się na wszystkie strony. Widząc jego poważną minę, domyślam się, że ją znalazł.

– Przy schodach. Z McCormackiem – dodaje, a ja zrywam się biegiem w tamtą stronę. Przerzucam ramię Cyrila na barki Kesha i przeciskam się do niej.

– Beaufort! – krzyczy McCormack na mój widok. Położył dłoń na poręczy koło Ruby. W drugiej trzyma kubek. Wznosi toast. – Jak miło, że wpadliście. Co prawda nie przypominam sobie, żebym was zaprosił. – Mówi uprzejmie, jakby witał się ze starym przyjacielem, choć wszyscy wiemy, że jest dokładnie odwrotnie. – Jak widzę, zajęliście się tym dupkiem – ciągnie. Z obrzydzeniem mierzy Cyrila wzrokiem od stóp do głów. – Kretyn zarzygał mi cały kibel.

Nie dam się sprowokować. Naprawdę nie. Ale wtedy przesuwam dłoń z poręczy na biodro Ruby.

– A ciebie co tu sprowadza?

Ruby odsuwa się od niego w tym samym momencie, gdy ja robię krok do przodu.

Już otwieram usta, ale Ruby jest szybsza.

– Nie dotykaj mnie, proszę – mówi grzecznie. Biorę ją za rękę, gdy staje koło mnie.

McCormack patrzy to na mnie, to na nią. Jego szyderczy uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– No proszę, jak miło. Teraz, kiedy wszystko już jasne, możecie sobie iść. Nie potrzebuję tutaj takich śmieci.

Czuję, że moja pięść odruchowo się zaciska.

– Uważaj, co mówisz – syczę.

– Zostaw, James – upomina mnie cicho Wren.

– Posłuchaj pieska, Beaufort.

Robię krok w jego stronę, ale nagle u mojego boku staje Alistair i chwyta

mnie za rękę. Patrzę na niego gniewnie.

– Kiedy ostatnio się na niego rzuciłem, zmieszały mnie z błotem, więc lepiej mnie posłuchaj – mówi tylko. – Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Wiem, że ma rację. Mimo to gotuję się ze złości. Kiedy McCormack prowokuje mnie, to jedno. Ale kiedy obraża moich przyjaciół i Ruby, wszystko we mnie domaga się, bym mu za to odpłacił.

Teraz jednak patrzę na Ruby i wyobrażam sobie, co powiedzą jej rodzice, gdy wrócę do domu z podbitym okiem albo złamaną ręką.

Nie będą zachwyceni, to pewne.

Z trudem przełykam ślinę i odwracam się. Kesh i Wren prowadzą Cyrila. Ja trzymam Ruby za rękę.

Razem wychodzimy z imprezy.

## Alistair

Musimy stanowić ciekawy widok, gdy z Cyrilem wędrujemy pustymi ulicami East View. Początkowo nie jest w stanie iść, posuwamy się do przodu tylko dlatego, że Kesh i Wren ciągną go między sobą, ale im dłużej idziemy, tym lepiej sobie radzi. Kiedy po kilku kilometrach w końcu dochodzimy do knajpy otwartej o tej porze, znowu kontaktuje dzięki długiemu spacerowi na świeżemu powietrzu.

Ciężko opada na ławę. Wren i Kesh siadają obok niego, Ruby i ja naprzeciwko. Nie patrzy na nas.

Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej się martwię. James myśli chyba podobnie, bo na jego twarzy maluje się mieszanina współczucia, troski i wściekłości. Po tym, co Cyril zrobił jemu, Lydii i Ruby, doskonale to rozumiem.

– Może nam opowiesz, jakim cudem, do cholery, trafiłeś na imprezę u McCormacka? – pyta Wren z wymuszonym luzem. Podano nam napoje. Woda dla Cyrila, cola dla pozostałych, choć widziałem, jak Kesh i Wren tęsknym wzrokiem zerkali na kartę alkoholi.

– Żeby zapomnieć – odpowiada Cyril krótko. Stara się mówić wyraźnie. Wygląda okropnie: jego twarz jest czerwona, włosy ma w strąkach, a na białej koszuli widnieją plamy, których pochodzenia wolę się nie domyślać.

– Zaprosiłem cię na parapetówkę. Tam też mógłbyś zapomnieć.

– Jasne, to było szczere zaproszenie. – Cyril prychnął pogardliwie.

– A niby jakie? – dziwi się Wren.

Cyril zaciska usta w wąską kreskę i odwraca wzrok.

Wren odchrząkuje.

– Stary, wiem, jak się czujesz. Ja...

– Gównu wiesz – syczy Cyril. – Nie masz pojęcia, jakie to uczucie utracić wszystko, co kochasz. Jak to jest zagryzać się wyrzutami sumienia, bo wszyscy przyjaciele cię znienawidzili.

Cisza. Chyba wszyscy wstrzymujemy powietrze.

– Nikt cię nie nienawidzi, Cyril – mówię w końcu cicho.

Cyril tylko zaciska zęby. Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie, ale czerwone plamy na jego policzkach i szyi zdradzają, jak bardzo trudna jest dla niego ta rozmowa.

– Alistair ma rację – odzywa się James. – Martwiliśmy się o ciebie.

Cyril świdruje go lodowato niebieskimi oczami.

– Sam powiedziałaś, że nasza przyjaźń jest nie do uratowania.

James odwzajemnia jego spojrzenie i wzrusza ramionami.

– Zrobiłeś coś strasznego. Tak, byłem na ciebie wściekły, ale to nie oznacza, że cię nienawidzę.

Cyril śmieje się gorzko i potrząsa głową. Zerka w kierunku wyjścia, jakby rozważał, czy nie przeskoczyć Wrena i Keshy i nie uciec z knajpy. W tej chwili Wren pochyla się do przodu i kładzie ręce na masywnym drewnianym stole. Cyril jeszcze mocniej zaciska zęby i opada do tyłu. Ukrywa twarz w dłoniach i wzdycha cicho.

– Nie rozumiem cię, Cyril – zaczynam i patrzę na niego gniewnie, gdy w końcu znowu opuszcza dłonie. – To ty nawarzyłeś tego piwa. To przez ciebie Lydia musiała wyjechać, a Ruby wyrzucono ze szkoły. To ty ani razu nie próbowałeś z nami pogadać, od razu wyszedłeś z założenia, że cię nienawidzimy. Jak sobie to wyobrażasz? Że to już koniec? – Potrząsam głową z niedowierzaniem. – Dlaczego taki jesteś?

– Bo wiem, że wszystko spieprzyłem, okej? – krzyczy Cyril i tak mocno uderza pięścią w stół, że jego szklanka chwieje się niebezpiecznie. – Aż za dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Mam świadomość, że nigdy mi nie wybaczycie, więc po co w ogóle się wysilać?

Przyglądam mu się uważnie. Jego ramiona unoszą się i opadają bardzo szybko. Wygląda jak na imprezie, gdy James ściągnął go ze stołu: jakby lada chwila miał się rozplakać, ale za wszelką cenę stara się powstrzymać łzy.

– Nie wiem, czego ode mnie chcecie – mówi dalej, już spokojnie. – Co was w ogóle obchodzi, co robię w wolnym czasie?

– Obchodzi nas, bo nadal jesteś naszym przyjacielem – mówi Wren stanowczo. – Mimo wszystko.

Pomrukuje twierdząco. Cyril znowu zaciska usta.

– Porozmawiaj z nami – prosi Kesh spokojnie. – Przecież nawet nie do końca wiemy, co się stało.

– A czy to coś zmieni? – zauważa Cyril zrezygnowany.



Kesh patrzy na niego ciemnymi oczami. Po dłuższej chwili wzrusza ramionami.

– Na pewno nie zaszkodzi.

Cyril wbija wzrok w stół. Oddycha głęboko i nie odzywa się ani słowem.

– Chciałem iść do Lexingtona i powiedzieć mu całą prawdę – zaczyna w końcu ochryple. Potrząsa głową, wbija wzrok w stół. – Ale wtedy twój ojciec przyszedł do mnie do domu, James. Groził mi, na wypadek gdybym w jakikolwiek sposób chciał pomóc Ruby. Ja... Przestraszyłem się i dałem się zaszantażować, bo wiem, do czego jest zdolny.

Nagle przy stole panuje taka cisza, że niemal słyszemy, jak ulatują bąbelki gazu w szklankach coli.

– Zabrakło mi odwagi, by iść do dyrektora, ale wiedziałem, że muszę coś zrobić. Więc wysłałem ci te zdjęcia. – Cyril z trudem przełyka ślinę. – Wtedy w klubie mówiłem szczerze. Naprawdę cholernie mi przykro.

Podchodzi do nas kelner i pyta, czy jeszcze coś podać. Tylko Ruby reaguje i grzecznie odmawia. Przez kolejne kilka minut siedzimy w milczeniu. W końcu nie mogę tego dłużej wytrzymać.

– Musimy być lepsi niż nasi rodzice – mówię. Mój głos przerywa nieprzyjemną ciszę. – Zawsze to sobie powtarzaliśmy, prawda? Że nie będziemy tacy jak oni. Może z wyjątkiem rodziców Keshy, bo to święci.

– Nie wiem, jak wy, ale ja mam już tego dość – dodaje James. Odwracamy się do niego. – Mam dość patrzenia, jak to wszystko się rozpada. I choć w najbliższym czasie wiele się zmieni, jednego jestem pewien: jesteście dla mnie ważni. Chcę mieć was w swoim życiu. Każdego z was – dodaje i patrzy na Cyrila.

– Tyle już razem przeszliśmy. – Wren szturcha go w ramię.

– Nie możesz tak po prostu ignorować problemu, Cyril – zauważa Kesh. – Nie możesz nagle przestać chodzić do szkoły, znikać nie wiadomo gdzie i spędzać weekendów z Jamesem McCormackiem, zalewając się w trupa, jasne?

Znowu cisza. A potem Cyril podnosi wzrok znad stołu i patrzy na Ruby.

– Przepraszam – mówi ochryple. – Oddałbym wszystko, żeby cofnąć czas i żeby do tej sprawy ze zdjęciami nigdy nie doszło.

Teraz Ruby zaciska usta w wąską kreskę i kiwa głową. Nagle poblądła.

– W...w porządku, Cyril.

– Nie, i oboje o tym wiemy – odpowiada. – Ale i tak chciałbym, żebyś wiedziała, że bardzo tego żałuję.

On i Ruby patrzą sobie w oczy, mam wrażenie, że odbywa się między nimi

rozmowa bez słów, jakby Ruby chciała się przekonać, czy mówi poważnie.

– Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby tyle razy przeproszał – zauważa nagle Wren.

– Ja chyba w ogóle nigdy nie słyszałem, żeby przeproszał – dorzuca Kesh.

Cyril odrywa wzrok od Ruby i przeczesuje włosy palcami. A potem, jakby po namyśle, szturcha najpierw Wrena, a potem Kesha w bark. Ten chciał się odsunąć i przy tym mało brakowało, a spadłby z ławki, co wyglądało tak komicznie, że obaj z Jamesem parskamy śmiechem.

– Najwyższy czas, żebyś wrócił do szkoły – rzuca James do Cyrila.

Mija całą wieczność, zanim ten w końcu kiwa głową.

– Masz rację.

Jest po trzeciej w nocy, kiedy dzwonię po szofera, żeby odebrał nas z knajpy w East View. Najpierw odwozimy Wrena, Jamesa i Ruby do Gormsey, potem podrzucamy do domu Cyrila. Wysiada, zanim jednak zatrzaskuje drzwi, zagląda jeszcze raz do środka. Wodzi wzrokiem między mną a Keshem.

– Ja... – zaczyna i chrząka. – Dzięki za dzisiaj, panowie.

– Zawsze możesz na nas liczyć – odpowiada Kesh.

– A następnym razem upij się z nami, a nie z Jamesem McCormackiem – dodaję, za co Kesh kopie mnie w piszczel.

– Jasne – mruczy Cyril i odwraca się na pięcie. Zamykam za nim drzwi i daję Rupertowi znak, że jedziemy dalej.

– Dokąd, proszę pana? – pyta.

– Do Keshava – odpowiadam. Chwilę później samochód rusza. Znużony opieram głowę o zagłówek.

– Zabolało – mówię i rozcieram dłonią piszczel.

– Tym komentarzem zniszczyłeś bardzo piękną chwilę. – Kesh przesuwając wzrok na moją nogę. – Ale aż tak mocno nie chciałem się kopnąć, przeproszam.

– Chciałem tylko trochę rozluźnić atmosferę – odpowiadam. – Jak na mój gust, to był bardzo ponury wieczór.

Kesh mruczy coś pod nosem. Siedzi naprzeciwko. W przeciwieństwie do mnie, kiedy jedzie tyłem, nie dopada go choroba lokomocyjna. Może nawet czytać w samochodzie, co dla mnie jest nie do pomyślenia. Ledwie wezmę książkę w dłonie, mogę otworzyć okno i zacząć rzygać.

Dawniej zawsze z tego żartował i zaczął przeprowadzać w samochodzie różne eksperymenty, żeby się przekonać, od czego robi mi się niedobrze. Od tego czasu wiem, że pieszczoty uchodzą mi na sucho, ale gra na komórce już nie.

Na szczęście moje ciało ma odpowiednie priorytety.

– Nie patrz tak na mnie – mówi nagle Kesh, głosem niższym niż zazwyczaj. Wędruje wzrokiem między moimi oczami i ustami, zaraz jednak patrzy w inną stronę, jakby sam się na tym przyłapał. Odwraca głowę do okna.

– A niby jak na ciebie patrzyłem? – pytam.

Atmosfera zmienia się tak nagle, że kręci mi się w głowie.

– Jakbyś wspominał przeszłość – odpowiada po dłuższej chwili.

Z trudem przełykam ślinę.

– A nie mogę?

Odgłos, który wydaje Kesh, to przedziwna mieszanina śmiechu i rozpacz.

– Nie.

– Nie? Dlaczego?

Znowu na mnie patrzy.

– Bo nie powinieneś kurczowo chwytać się wspomnień, skoro zamiast nich możesz przeżywać ze mną nowe chwile.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Zbieram się w sobie.

– Kesh...

– Powiedziałem mamie – przerywa mi.

Widzę już tylko jego, wszystko inne schodzi na dalszy plan.

– Słucham?

– Powiedziałem jej, że jestem biseksualny i podobają mi się i kobiety, i mężczyźni.

Mam w głowie gonitwę myśli. Nie wiem, co najpierw powiedzieć. Odchrząkam i zadaję pytanie, które w tej chwili wydaje mi się najważniejsze.

– Jak zareagowała?

Kesh wzdycha głośno.

– Inaczej, niż się spodziewałem. Przyszło mi to z wielkim trudem, a przecież mamy nie bałem się nawet w połowie tak bardzo, jak ojca. Gdy powiedziałem, że muszę z nią porozmawiać, w pierwszej chwili przestraszyła się, że jestem chory czy coś takiego, tak bardzo się zdenerwowałem i zacząłem płakać, zanim w ogóle zdołałem wykrztusić choć jedno słowo. A kiedy w końcu zdobyłem się na wyznanie, stwierdziła, że kamień spadł jej z serca, że to nic straszego. Przeprosiła mnie od razu i zapytała, czy uważam, że to wielki nietakt, że powiedziała o chorobie.

Słucham jego opowieści ze wstrzymanym oddechem.

– W sumie to było... Sam nie wiem. Lepiej niż się spodziewałem? – Ostatnie zdanie brzmi jak pytanie.

– Super – mówię ochryple.

Kesh kiwa głową i wbija wzrok w swoje dłonie.

– Ja... Nie zmusiłem cię do tego, prawda? – pytam w końcu.

Potrząsa głową, nie podnosząc wzroku.

– Nie. Nie zrobiłem tego dla ciebie, lecz dla siebie. Chciałem powiedzieć mamie, bo uznałem, że to ważne.

Mam wrażenie, że ucisk w mojej klatce piersiowej jakby zelżał.

– Powiedziała, że mnie kocha. I chyba zamówiła broszurki informacyjne albo czytała na ten temat w necie albo coś takiego, bo teraz ciągle zadaje mi pytania, które brzmią jak z podręcznika do wychowania do życia w rodzinie. A poza tym po raz drugi wygłosiła mi kazanie o bezpiecznym seksie. – Kesh się krzywi. – Chyba było jeszcze gorzej niż za pierwszym razem.

Śmieję się pod nosem.

– Kocham twoją mamę.

Kesh uśmiecha się do swoich dłoni.

– A ja ciebie.

Samochód zatrzymuje się. Moje serce chyba także.

Patrzę na Keshę, który podnosi głowę i patrzy mi prosto w oczy. Jego spojrzenie jest otwarte, tak bezbronne, jak jeszcze nigdy wcześniej. I znowu atmosfera w samochodzie się zmienia. Mam wrażenie, że Kesh jest bardzo blisko i zarazem bardzo daleko. Chcę wyciągnąć rękę, ale nie jestem w stanie się poruszyć.

– Co ty powiedziałeś? – pytam szeptem.

Kesh przełyka ślinę.

– Że cię kocham, Alistair. I to od dawna. I przykro mi, jeżeli dawałem ci odczuć, że jest inaczej.

Każde jego słowo trafia w czułą strunę w moim sercu. Tak długo na nie czekałem, chociaż na zawołaną aluzję. Kiedy teraz je słyszę, nie mieści mi się to w głowie. Łzy palą mnie pod powiekami. Nie panuję nad nimi. Nie kontroluję ich, gdy wypływają z kącików moich oczu i znaczą policzki mokrymi śladami.

A potem wszystko dzieje się jakby samo. Jakby moje ciało działało automatycznie. Rzucam się do przodu i zarzucam Keshowi ramiona na szyję. Głośno wypuszcza powietrze z płuc, ale w tej chwili nie zwracam na to uwagi. Chcę tylko być jak najbliżej niego.

– Ja też cię kocham – szepczę z ustami w jego włosach.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

– Super.

Śmieję się ochryple i jednocześnie płaczę coraz bardziej. Odsuwam się od niego, żeby spojrzeć mu w twarz.

– To jest twoja reakcja? „Super”?

Podnosi rękę, ściera łzy z moich policzków. W kącikach jego ust pojawia się uśmiech.

– Tak – mówi tylko. I ta odpowiedź jest tak bardzo jego, że znowu go obejmuję. Głaszczę mnie po plecach i tym sposobem wcale nie pomaga mojemu sercu się uspokoić. – Wejdiesz? – pyta w końcu. Uśmiecha się niepewnie. – Nie chcę się jeszcze z tobą rozstawać.

Znowu odsuwam się odrobinę, by na niego spojrzeć.

– Bardzo chętnie.

Pochyla się do przodu i dotyka wargami moich ust. To tylko cień dotyku, a jednak wystarczy, bym pokrył się gęsią skórką.

– Super – powtarza.

A potem mnie całuje.

## Ember

Następny tydzień to dla mnie piekło na ziemi. Po pierwsze, dwukrotnie dostaję złe oceny i rodzice są wyraźnie rozczarowani. Po drugie, ta cała sprawa z Wrenem nie daje mi spokoju i bez przerwy o nim myślę.

W ciągu minionych dwóch dni właściwie w ogóle nie widziałam Ruby ani Jamesa. Jeżeli akurat nie siedzą przy biurku albo kuchennym stole i nie zakuwają do egzaminów, jadą w odwiedziny do Lydii albo szykują coś w związku z pracami komitetu organizacyjnego. Tylko raz podsłuchałam w saloniku, jak rozmawiali o imprezie u Wrena. James powiedział wtedy, że w sumie wieczór skończył się dobrze dla wszystkich i że od tej pory będzie częściej odwiedzał przyjaciela. Sporo mnie kosztowało, by powstrzymać pogardliwe prychnięcie.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie moja przyjaciółka Maisie, gdy po ostatniej lekcji wychodzimy ze szkoły. Zazwyczaj wcale się nie śpieszymy i jeszcze długo zostajemy na schodach, żeby pogadać. Dzisiaj jednak chcę iść od razu do domu i zatracić się w internecie tak mocno, żeby chociaż na trochę całkiem zapomnieć o Wrenie Fitzgeraldzie.

– To nie był najlepszy tydzień – odpowiadam ze wzrokiem wbitym w moje lśniące buty. Wściekle różowe, ozdobione wielkimi kłamrami, w ogóle nie pasują do szkolnego mundurka, ale mam to w nosie. Kupiłam je za grosze na pchlim targu i codziennie cieszę się jak dziecko, kiedy je zakładam. Przede wszystkim dlatego, że taki wściekły kolor zawsze wprawia mnie w dobry humor.

Niestety, dzisiaj nie.

– Ja też oblałam chemię. Nie przejmuj się, Ember. – Maisie z otuchą klepie mnie po plecach.

– Od kiedy z ciebie taka poetka? – pytam z krzywym uśmiechem.

– Od teraz, ale to kolejny dowód na to, że jestem mistrzynią języka – odpowiada z uśmiechem.

– Cóż, pani Wright jest chyba innego zdania. – Udaje mi się uniknąć jej ciosu, ale przy tym potykam się o stopień.

– Hej! Musisz być dla mnie miła. Jakkolwiek by było, ja nie mam sekretnego superchłopa, który przychodzi po mnie do szkoły.

– Ja też nie mam... – zaczynam, ale urywam w połowie zdania, bo widzę, kto stoi na dole schodów, nonszalancko oparty o poręcz, z dłońmi w kieszeniach, i patrzy na mnie.

Wren.

Jest tutaj. W mojej szkole.

Przygryzam policzek od wewnątrz. Jestem z jednej strony wściekła, z drugiej – niepewna siebie. Nie odpowiedział na moją wiadomość. Właściwie od zeszłego weekendu w ogóle się do mnie nie odezwał.

Nie mam pojęcia, co tu robi.

– Zobaczymy się jutro, tak? Och, i poproś mamę, żeby znowu dała ci dla mnie bułeczkę. Dzięki, jesteś cudowna! – woła Maisie przez ramię i zanim zdolałam ją powstrzymać, zbiega ze schodów tak szybko, że warkocze podskakują jej na ramionach.

Zdana tylko na siebie, głęboko nabieram powietrza w płuca i powoli schodzę do Wrena. Kiedy w minionych tygodniach spotykałam się z nim, za każdym razem lustrowałam go od stóp do głów i starałam się zapamiętać każdy najmniejszy szczegół, na przykład bliznę na lewym uchu, dziurkę wypaloną papierosem w skórzanej kurtce czy małe zmarszczki wokół ust, gdy się uśmiecha w charakterystyczny sposób.

Ale teraz, schodząc ze schodów, nie patrzę na niego, nawet gdy otwiera usta, kiedy go mijam. Przechodzę obok bez słowa.

– Poczekaj! – krzyczy za mną. Słyszę, że rusza moim śladem.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Ember, oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi – mówi.

Zatrzymuję się gwałtownie i zaciskam usta w wąską kreskę.

Wren staje przede mną. Jego widok sprawia mi ból, więc wbijam wzrok w poślizgnięte czubki jego trampek.

Niewiele lepiej.

Jakim cudem w tak krótkim czasie tak bardzo zaangażowałam się w tę przyjaźń?

– Posłuchaj, zdaję sobie sprawę, że ta odpowiedź przychodzi zdecydowanie za późno, ale... Tak, jesteśmy przyjaciółmi – powtarza z przejęciem.

A jednak nie wytrzymuję, patrzę mu prosto w oczy.

– W tym tygodniu jakoś nie miałam takiego wrażenia – odpowiadam. – Wydawało mi się, że mamy powiedzieć Ruby i pozostałym o naszej przyjaźni. A potem dowiaduję się od siostry, że urządzasz imprezę, na której najwyraźniej nie jestem mile widziana.

– Przykro mi – szepcze. Przeczesuje włosy palcami. Dopiero teraz uderza mnie, jak bardzo jest tu nie na miejscu w swoim mundurku z Maxton Hall. Kilku uczniów obserwuje nas z ciekawością, ale w tej chwili nie będę sobie zawracała tym głowy.

– Przez cały tydzień nie odpowiedziałeś na moją wiadomość. W ogóle nie dałeś znaku życia. Przyjaciele tak nie postępują.

– Wiem i bardzo mi przykro. – Przez dłuższą chwilę szuka odpowiednich słów. – Ale ta parapetowa... Tam byli wszyscy moi przyjaciele. Nie mogłem cię zaprosić, Ember.

Te słowa są jak cios w samo serce. Odruchowo robię krok w tył.

Razem z nim odnawiałam jego pokój, po nocach ślęczałam w poszukiwaniu stypendiów. To ja pomagałam mu uporać się z nową sytuacją, to do mnie się zwracał, gdy w środku nocy chciał pogadać. Pisaliśmy do siebie godzinami i godzinami rozmawialiśmy. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Najwyraźniej się myliłam.

Przez cały tydzień cierpiałam, gdy się do mnie nie odzywał, ale to nic w porównaniu z tym, co czuję teraz, gdy padły te słowa. Jednocześnie coś sobie uświadomiłam.

– Wiesz co? Nie po to latami pracowałam nad tym, żeby pokochać samą siebie, żeby teraz pozwolić, żeby ktoś tak bardzo mnie ranił – mówię.

Wren kręci głową, a potem robi kolejny krok w moim kierunku.

– Sam nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Czy w ogóle jeszcze chcesz utrzymywać ze mną kontakt? Nie pomyślałem, jak to wygląda z twojej perspektywy.

– No więc wygląda to tak, że chcesz się spotykać ze mną tylko potajemnie – odpowiadam cicho.

Spodziewam się, że zaprzeczy i będzie mnie zapewniał, ile dla niego znaczę. Czekam na jego odpowiedź. Dziesięć sekund. Dwadzieścia. Ponad pół minuty, a potem tracę poczucie czasu i sytuacja robi się naprawdę nieprzyjemna. Dociera do mnie, że nie doczekam się odpowiedzi. Z trudem przełykam ślinę i patrzę mu w twarz. Wpatruję się w ciemnobrązowe oczy, czarne, zakręcone rzęsy, malutki pieprzyk na prawym policzku.

A potem odrywam od niego wzrok. Odchrząkuję.



– Trzymaj się, Wren. – Z tymi słowami odwracam się na pięcie i zostawiam go na chodniku. Dopiero w tej chwili czuję, jak mokre są moje dłonie. Jak głośno krew dudni mi w uszach.

I jak bardzo boli mnie serce.

## Lydia

– Co powiesz na to? – pyta Ophelia.

Z trudem panuję nad wyrazem twarzy, by nie skrzywić się z obrzydzeniem, gdy patrzę na miniaturowe sweterki, które ciotka pokazuje mi na tablecie. Świńskoróżowe, obsypane brokatem, absolutnie nie to, w co chcę ubierać swoje dzieci.

– Może troszeczkę mniej różowe? – odpowiadam dyplomatycznie i wtedy to Ophelia się krzywi.

– Jesteś zupełnie jak twoja mama. Przy waszych ciuchach też protestowała, gdy proponowałam więcej kolorów.

W ciągu minionych tygodni przejrzałam albumy Ophelii i stwierdziłam, że mama miała fantastyczny gust, jeżeli chodzi o ubranka moje i Jamesa. Zazwyczaj były utrzymane w neutralnych kolorach i idealnie do siebie pasowały, choć nie były identyczne. Chciałabym, żeby moje maluchy były równie eleganckimi bobasami.

– Mama była w tym naprawdę dobra – mówię.

Ophelia z westchnieniem bierze ode mnie tablet i dalej buszuje w internetowym sklepie, wrzucając do koszyka chyba wszystko w najmniejszym rozmiarze.

– Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz – mówi w końcu, patrząc na mnie znad okularów przeciwsłonecznych. – Ja na twoim miejscu pękłabym z ciekawości.

– Ja też jestem bardzo ciekawa. Ale to raczej takie... radosne oczekiwanie.

– Kiedy właściwie zdecydowałaś, że to będzie niespodzianka? – pyta.

W zadumie głaszczę się po brzuchu.

– Cała ciąża jest jedną wielką niespodzianką. Kiedy lekarka zapytała, czy chcę poznać płeć dzieci, pomyślałam, że fajnie będzie poczekać. Niespodzianka to właściwie motyw przewodni tego wszystkiego.

Odkąd mieszkam u Ophelii, nie mam poczucia, że muszę szeptać, ilekroć mówię o swoich dzieciach. Pomogła mi się wyluzować i zaakceptować fakt, że nie mam innego wyjścia – muszę się pogodzić z tym, co jest, i szukać samych

pozytywów. Ciotka zapewne tego nie wie, ale chyba dzięki niej teraz, sześć tygodni przed planowanym rozwiązaniem, nie tracę głowy.

I dlatego, że jej gust w kwestii dziecięcych ubranek pozostawia wiele do życzenia i do dzisiaj robi mi się słabo na wspomnienie wściekle zielonych lateksowych spodni, które pokazała mi z błyskiem w oku, a które ja jednak włożyłabym najwyżej po to, żeby odstraszyć owady.

– Skarbie, komórka ci dzwoni – zauważa Ophelia i wskazuje malutki stoliczek między naszymi leżakami.

Przesuwam okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy, żeby spojrzeć na wyświetlacz. Kiedy widzę, kto dzwoni, serce podchodzi mi do gardła.

Cyril.

Biorę telefon do ręki i niezdecydowanie wpatruję się w małe zdjęcie nad jego imieniem. Zrobiliśmy je podczas moich ostatnich urodzin. Cyril objął mnie i przyciągnął do siebie. Uśmiecham się do obiektywu, jakby to były najpiękniejsze chwile mojego życia.

Przypomina mi się, ile kiedyś dla mnie znaczył, i zarazem uderza świadomość tego, do czego jest zdolny i co zrobił. W pierwszej chwili nie wiem, czy odebrać, czy odrzucić połączenie.

Jeszcze kilka sekund i podejmuję decyzję.

– Halo? – mówię cicho.

– Lydia. – Wydaje się zaskoczony, jakby już nie liczył, że odbiorę.

Czekam.

– Co... Co słyhać? – pyta.

W pierwszej chwili jestem tak zaskoczona, że w ogóle nie wiem, co powiedzieć.

– Ty chyba żartujesz – rzucam w końcu.

Milczy. Słyszę, jak głośno nabiera powietrza w płuca, i wzdycha.

– Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Więc po co dzwonisz? – syczę. Nagle nie panuję nad wściekłością, która wzbierała we mnie od kilku tygodni. Nie wytrzymam dłużej na wygodnym leżaku. Podrywam się na równe nogi. Czuję na sobie wzrok Ophelii, ale nie patrzę na nią. Idę do ogrodu i staram się wziąć w garść.

Spryskiwacz jest włączony, odsuwam się, żeby mnie nie zmoczył.

– Chciałem przeprosić – zaczyna Cyril.

– Trochę późno – zauważam gorzko.

– Masz prawo być na mnie wściekła – zapewnia szybko. – Zrozumiem, jeśli nigdy więcej nie będziesz chciała ze mną rozmawiać. Zadzwoiłem, żeby cię

przeprzeć. Jest mi... cholernie przykro, że to wszystko się wydarzyło.

Z trudem przelękam ślinę i staram się zapanować nad pieczeniem pod powiekami. Przyjaźń z Cyrilem zawsze była dla mnie ważna. Fakt, że wylądowaliśmy w łóżku, to skutek nadmiaru alkoholu i złamanego serca, o którym za wszelką cenę chciałam zapomnieć. Było cudownie, ale zarazem lekkomyślnie i głupio. I gdybym wiedziała, że Cyril liczył na coś więcej, nigdy nie dopuściłabym do tej sytuacji.

– Cyril, zdaję sobie sprawę, że cię zraniłam – mówię drżącym głosem. – Ale żeby zrobić coś takiego...

– Wiem.

– Nie obchodziło cię, że rozwalasz komuś życie. Mało brakowało, a Ruby straciłaby miejsce w Oksfordzie. Że już nie wspomnę o tym, jak bardzo James zamartwiał się tą sprawą.

– Nie przemyślałem tego – mówi.

– Bzdura! – wrywa mi się. Najchętniej podeptałabym rabatki ciągnące się wzdłuż ścieżki, tak bardzo jestem zła. – Cyril, znamy się od osiemnastu lat. Niczego nie robisz bez chłodnego wyrachowania, pod tym względem jesteś taki sam jak James. Wiedziałaś doskonale, co się wydarzy. Wiedziałaś, jakie będą konsekwencje.

Milczy. Oddycha szybko.

– Chciałem, żeby wszystko było jak dawniej. Chciałem, żebyście z Jamesem wrócili do mojego życia, i było mi obojętne, kto za to zapłaci, pod warunkiem że znowu będziemy razem. Ale teraz wiem, że popełniłem błąd. Bardzo żałuję tego, co zrobiłem.

Nigdy nie słyszałam takich słów z jego ust. Zazwyczaj sprawia wrażenie, że panuje nad wszystkim: nad sobą, nad przyjaciółmi, nad całym światem. Teraz jednak wydaje się, że utracił kontrolę.

– Nie wiem, czy zdołasz mi wybaczyć. Nie wiem, czy sam zdołam sobie wybaczyć – zaznacza. – Ale gdybyś chciała dać mi jeszcze jedną szansę, możesz na mnie liczyć. Tylko... Tylko to chciałem ci powiedzieć.

Słyszę w jego głosie rozpacz i żal, ale przede wszystkim szczerość. Mówi poważnie. Nie wiem jednak, czy dotarło do niego, że nie jestem tą samą osobą, co jeszcze pół roku temu. Moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni, podczas gdy on kurczowo trzymał się przeszłości.

Nie wiem, jak mu uświadomić, ile dla mnie znaczy Graham i nasz związek. Nie wiem nawet, czy Cyril ma prawo do takich wyjaśnień po tym, jak tak bardzo nadużył mojego zaufania. Ale o jednej rzeczy muszę mu powiedzieć, bo inaczej

nie widzę szans, byśmy wszyscy mogli patrzeć w przyszłość.

– Muszę ci coś powiedzieć, Cyril – zaczynam cicho.

– Tak?

Głęboko nabieram tchu.

– Ojciec wyrzucił mnie nie tylko dlatego, że jestem z Grahamem. Wyrzucił mnie, bo jestem w ciąży.

Słyszę, jak głośno oddycha. Mijają kolejne sekundy milczenia. Wspinam się na palce i rozkoszuję dotykiem ciepłej trawy pod stopami.

– Teraz nie wiem, co powiedzieć – przyznaje w końcu ochryple.

Ja też nie wiem. Nie chcę go dalej ranić, ale uważam, że najwyższy czas, żeby raz na zawsze wyjaśnić tę sprawę między nami.

– Przykro mi, jeżeli to cię boli – mówię bezradnie. – Ale chcę być z tobą szczerą.

– Co ja takiego zrobiłem? – pyta.

– Prędzej czy później prawda i tak wyszłaby na jaw – zauważam. – Nie żeby to tłumaczyło twoje zachowanie, ale ojciec i tak wyrzuciłby mnie z domu.

Znowu zapada cisza. Mam wrażenie, że podczas tej rozmowy więcej milczymy, niż rozmawiamy. I może to wcale nie jest takie złe. Wspólne milczenie także wiele mówi.

Na przykład teraz niemal fizycznie czuję, że Cyril przetrawia to, co ode mnie usłyszał. Jednocześnie wspominam wszystko, co przeżyliśmy razem przez lata: wspólne wagarzy z Maxton Hall, gdy uciekaliśmy do Londynu na zakupy; przegadane noce; moment, gdy sądziłam, że nigdy nie znajdę drugiego takiego przyjaciela jak on.

Jedno jest dla mnie w tej chwili jasne: nie wyobrażam sobie przyszłości bez Cyrila. I choć bardzo mnie zranił, nie chcę go stracić.

– Uporasz się z tym, Cyril? – pytam cicho.

Odchrząkuje. Mam wrażenie, że chce odpowiedzieć, ale w słuchawce panuje cisza. Wpatruję się w różowe kwiatki w ogrodzie Ophelii, których nie było, gdy tu przyjechałam, a teraz kwitną.

– Myślisz, że będę fajnym wujkiem? – rozlega się w końcu w słuchawce.

Na mojej twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech. Czuję, jak kamień spada mi z serca.

– Na tysiąc procent.

## Ruby

– Mam coś dla ciebie – oznajmia James.

Odrywam wzrok od książki, którą czytam, siedząc w ogrodzie, i patrzę na niego. Stoi przy krześle, na którym zainstalowałam się godzinę temu, i patrzy na mnie z uśmiechem. Trzyma plik kartek.

– Brzmisz bardzo tajemniczo. Co takiego? – Zamykam książkę, oczywiście najpierw zaznaczając stronę zakładką.

James podchodzi do stołu i siada koło mnie. Usiłuję rzucić okiem na papiery, ale natychmiast zabiera je z zasięgu mojego wzroku i przyciska do brzucha.

– Co sądzisz o niespodziankach? – pyta.

Natychmiast przypomina mi się nasza randka w ogrodzie zimowym. Wówczas także mnie zaskoczył, a ten wieczór to jedno z moich najpiękniejszych wspólnych wspomnień.

– Uwielbiam twoje niespodzianki. Chyba – dodaję, co wywołuje uśmiech na jego twarzy.

– Chciałbym porwać cię na weekend.

Podrywam się tak energicznie, że książka niemal zsuwa mi się z kolan. Przytrzymuję ją odruchowo.

– Kiedy?

– Teraz. Jeżeli masz ochotę.

Nic nie poradzę na to, że się uśmiecham.

– Dokąd?

– To niespodzianka – odpowiada.

– James!

Parska śmiechem.

– Zabierz rzeczy na jeden nocleg.

– I zaraz ruszamy?

– Kiedy tylko będziesz gotowa.

Wstaję. Gdy przechodzę przez ogród, czuję na sobie jego wzrok. Zanim wejść do domu, odwracam się do niego. Wyraz jego twarzy przyprawia mnie o szybsze bicie serca.

James jest szczęśliwy.

Przechodzę obok kuchni i zaglądam do środka. Mama sieka cebulę, tata rozgrzewa oliwę na patelni.

– James zabiera mnie na krótki wypad – oznajmiam. Nie bardzo udaje mi się zapanować nad ekscytacją w głosie.

Mama odwraca się do mnie.

– Tak, wiemy. Pytał nas, czy może to zorganizować.

– Wiecie, dokąd jedziemy?

Uśmiecha się tajemniczo.

– Być może.

Już otwieram usta, zanim jednak zdążę o cokolwiek zapytać, grozi mi nożem.

– Nie ma mowy. Nie pisnę ani słowa. Nic a nic.

– To nie fair. Tacie zdradzasz wszystkie niespodzianki.

– Bo moje argumenty są nie do zbiccia, a poza tym umiem wciskać odpowiednie guziczki – zauważa tata i wrzuca garść posiekanej papryki na rozgrzaną oliwę.

– Zdajesz sobie sprawę, jak strasznie to brzmi, prawda? – pytam skrzywiona.

Zamyśla się na chwilę.

– Masz rację – zauważa. – Coś takiego. – A potem, jak gdyby nigdy nic, miesza paprykę na patelni.

Czuję, jak James staje za mną i delikatnie gładzi po plecach, tylko raz. Tak jest zawsze w obecności rodziców: dyskretne, potajemne gesty i dotyk. Nic więcej.

– Może chociaż jakaś mała wskazówka? – pytam z uśmiechem.

James pochyla się do mnie tak, że jego usta znajdują się tuż przy moim uchu.

– Chcę spełnić jedno z twoich marzeń, Ruby Bell.

Przeszywa mnie dreszcz.

– W takim razie biegnę się pakować – mówię szybko.

## Ruby

Przez pierwsze pół godziny nie mam pojęcia, dokąd jedziemy, ale potem mijamy tablicę z wypisanymi najbliższymi miastami, i wtedy zaskakuję.

- Nie! – krzyczę głośno.
- Co „nie”? – pyta James.
- Czy my... Jedziemy do Oksfordu?

Właściwie nie musiałam pytać. Jego uśmiech mówi sam za siebie.

Ponieważ nie wiem, co zrobić, a zaraz pęknię z emocji, z całej siły walę go w bark.

– Ale super! Dokąd dokładnie jedziemy? Na uniwersytet? Do świętej Hildy? W ten weekend nic się tam nie dzieje, zapisałam się do ich newslettera i sprawdzam Facebooka. O Boże, a może coś przeoczyłam? Wiesz coś?

James uśmiecha się pod nosem.

– Musisz chwilę poczekać, zanim poznasz plan. – Rozciera bark. – Zabolało, tak swoją drogą.

– Nic na to nie poradzę. To z emocji.

Z uśmiechem kręci głową.

Godzinę później zauważam, że nie jesteśmy już na drodze do Oksfordu, jednak kiedy o to pytam, James tylko wzrusza ramionami. Jedziemy i jedziemy, aż w pewnym momencie skręcamy w zjazd, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Gdy znajdujemy się na bocznej drodze, poddaję się i nie staram się już odgadnąć, dokąd mnie wiezie.

Nie na uniwersytet, to pewne.

Pół godziny później skręca w jeszcze węższą drogę, potem powtarza manewr. Teraz dwa samochody chyba nie mogłyby się swobodnie wyminąć. Zerkam na wyłączoną nawigację i zastanawiam się, czy James się przypadkiem nie zgubił, ale nie chce się do tego przyznać. Ale kiedy zerkam na niego z ukosa, wydaje się odprężony.

Mojej uwadze nie uchodzi też jego zadowolony z siebie uśmieszek.

– Bawi cię, że tak cierpię – mruczę.

– Tylko troszeczkę – przyznaje, ciągle uśmiechnięty. – Ale pocieszę cię: za mniej więcej dziesięć minut będziemy na miejscu.

Droga prowadzi do Brightwell-cum-Sotwell, uroczej wioski w hrabstwie Oksford. Mijamy domki pokryte strzechą, śliczne jak z pocztówki, gospodarstwa wiejskie z owcami i osłami na pastwiskach. A potem James skręca w szutrówkę. Kilka minut później w oddali dostrzegam małą chatkę. Widzę dobudowany ogród zimowy, krzewy na podjeździe, teraz obsypane kwiatami, przez co to wszystko wygląda równie bajecznie, jak pozostała część wioski.

– Zatrzymamy się w takim domku? – pytam, nie odrywając od niego wzroku.

– Nie do końca. – James zatrzymuje samochód po lewej stronie długiego podjazdu. Odpina pas bezpieczeństwa, wysiada. Idę w jego ślady i razem kierujemy się do domku. Jego drzwi właśnie się otwierają i na progu staje blondynka w średnim wieku. Uśmiecha się serdecznie.

– Witajcie. James, prawda? Marta.

– Tak, pisaliśmy do siebie – odpowiada James. – A to moja dziewczyna, Ruby.

– Super, że się udało. – Marta unosi pęk kluczy, ozdobiony własnoręcznie zrobionym breloczkiem wystruganym z drewna. – Wasz domek jest tam dalej, w ogrodzie. Jeżeli chcecie, zaraz go wam pokażę. – Skręca na ścieżkę obok chatki.

James kiwa głową. Idziemy za kobietą przez ogród pełen polnych kwiatów i krzewów, aż dochodzimy do małego domku, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od głównego budynku. Wygląda prawie jak wóz mieszkalny, ale jest z drewna, ma ciemny dach i przesuwne drzwi, w tym momencie stojące otworem. Małe okienko zasłania biała przezroczysta firanka. Do środka prowadzą schodki, wokół domu upojnie pachną kwiaty.

– Jesteśmy – oznajmia Marta. – Na zdjęciach widziałeś, że jest podwójne łóżko i widok na pola od zachodniej strony. W łazience są kosmetyki i wszystko, czego możecie potrzebować.

James kiwa głową, ja jednak nie mogę oderwać wzroku od domku. Ogarnia mnie ekscytacja, od brzucha po koniuszki palców.

– Śniadanie podajemy w ogrodzie zimowym – ciągnie Marta. – Kawa, wybór herbat, świeże mleko od krowy sąsiada, dzemy własnej roboty i jaja od naszych kur. Co rano piekę świeży chleb, jeżeli wstaniecie odpowiednio wcześnie, będzie jeszcze ciepły.

– Brzmi super – mówię.



Podaje Jamesowi klucze.

– Gdybyście mieli jeszcze jakieś pytania, do południa jestem w domu. Później idę do pracy, ale zawsze możecie zadzwonić do mnie na komórkę. Masz mój numer, prawda?

James potwierdza ruchem głowy.

– Tak, dzięki.

– W takim razie do zobaczenia później. – Macha nam na pożegnanie i wraca tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Natychmiast chwytam Jamesa za rękę i pokonuję niskie schodki prowadzące do domu. Są za wąskie, byśmy szli obok siebie, więc ruszam przodem i z sercem w gardle zaglądam do środka.

Pierwsze, co widzę, to małżeńskie łóżko, które w tym wąskim domku zajmuje przestrzeń od ściany do ściany. Naprzeciwko, po drugiej stronie pomieszczenia, dostrzegam czarny kominek i stertę drewna opałowego. Pośrodku, przy ścianie, stoi wąska komódka, a na niej elektryczny czajnik i pudełko najróżniejszych herbat. Na haczykach na ścianie wiszą różne kubki. Drewniane drzwi prowadzą zapewne do łazienki.

James gładzi kciukiem grzbiet mojej dłoni. Odwracam się do niego. Przeszywa mnie wzrokiem. W jego oczach widzę ciepło i uczucie, ale także niepokój i ekscytację. Jakby nie był pewien, jak zareaguję.

– Po tym wszystkim, przez co przeszedłeś w ciągu minionych tygodni, pomyślałam sobie, że chwila odpoczynku dobrze ci zrobi – zaczyna cicho. – Ja...

Nie kończy, bo zarzucam mu ręce na szyję. Zamykam oczy i tulę go do siebie, starając się jednocześnie na zawsze zapamiętać ten moment, żeby wracać do niego we wspomnieniach, ilekroć poczuję się źle.

– Najcudowniejsza niespodzianka wszech czasów – mówię z ustami na jego szyi, a potem odchyłam się do tyłu i patrzę mu w oczy. – Dzięki.

Z uśmiechem odgarnia mi włosy z twarzy. Przesuwam dłoń na jego kark, przyciągam go do siebie i całuję.

Wydaje stłumiony odgłos i obejmuje mnie mocniej, przytula, pogłębia pocałunek. Wzdycham, gdy nasze języki odnajdują się i czuję dłonie Jamesa na plecach. Wplątam mu palce we włosy i już mam wbić zęby w jego dolną wargę, gdy gwałtownie odrywa się ode mnie.

– Nie – mówi zdyszany.

– Nie? – pytam zdziwiona.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Mamy jeszcze coś do załatwienia, Ruby.

Wolałabym tu zostać. Opaść z Jamesem na to łóżko, rozkoszować się tym, że wreszcie jesteście sami, razem z nim zapomnieć o bożym świecie. Ale jednocześnie jestem ciekawa, dlaczego tu przyjechaliśmy i co jeszcze na dzisiaj zaplanował.

– Jeżeli chcesz, możemy to szybko załatwić, a potem tu wrócić i kontynuować – proponuje.

Nie zastanawiam się długo.

– Dobra.

Bo bez względu na to, dokąd jedziemy, już się cieszę.

Oksford i Brightwell-cum-Sotwell dzieli zaledwie kilkanaście kilometrów. Podczas jazdy, nieco dłuższej ze względu na korki, słuchamy głupekowego, ale bardzo zabawnego programu radiowego. Na zewnątrz jest tak ciepło, że otwieram okno i wystawiam rękę na zewnątrz. Chwytam powietrze palcami i napawam się widokiem mijanych domów i pól.

Jedziemy do północnej części Oksfordu, zostawiamy samochód na Leckford Road. James wysiada pierwszy i otwiera mi drzwiczki. Rozglądam się ciekawie. Znajdujemy się w dzielnicy mieszkalnej pełnej szeregowców. Zewsząd otaczają mnie wykusze, spadziste dachy, ściany z polerowanego kamienia i wiekowe fasady, które od dziesiątków lat musiały stawić czoło angielskiej pogodzie.

Podchodzimy do jednego z domów. Na progu czeka już młody mężczyzna. Podaje Jamesowi rękę.

– Dzień dobry, panie Beaufort – zaczyna grzecznie. Potem wita się ze mną. – Shaun Cornell, rozmawialiśmy przez telefon. – Pierwsza informacja jest przeznaczona dla mnie, druga dla Jamesa. – Wchodzimy?

Zdumiona wodzę między nimi wzrokiem i już mam zapytać Jamesa, o co chodzi, ale wtedy zauważam folder pod pachą Cornella. A konkretnie dostrzegam logo, to samo logo agencji nieruchomości, które widniało na szyldzie przed domem.

– James – szepczę, gdy w ślad za agentem wchodzimy do domu. – Co my tu robimy?

Muska kciukiem grzbiet mojej dłoni.

– Oglądamy mieszkanie.

Zatrzymuję się w pół kroku. Widząc moje przerażenie, James energicznie potrząsa głową.

– Dla mnie – dodaje szybko. – Nie mogę bez końca siedzieć wam na głowie, a po ukończeniu szkoły muszę mieć gdzie mieszkać.

– Wydawało mi się, że nie chcesz jechać do Oksfordu – mówię cicho.

– Zepsujesz mój plan, jeżeli już teraz o wszystko wypytasz. Czy możemy najpierw wejść na górę i obejrzeć mieszkanie? Wy tłumaczę ci wszystko, kiedy będziemy mieć chwilę spokoju.

Waham się. Mam w głowie mnóstwo pytań i najchętniej zadałabym je od razu. Ale potem patrzę na agenta, który przed nami pokonuje schody, i upominam się, że powinnam być cierpliwa. James na pewno wszystko obmyślił i nie chcę pokrzyżować mu planów.

– Dobra – mówię w końcu.

James ściska moją dłoń.

Tymczasem pan Cornell otwiera drzwi kluczem z wielkiego pęku i przytrzymuje je tak, żebyśmy mogli wejść do środka.

– W tym przypadku mówimy o mieszkaniu w starym budownictwie. Ma dwie sypialnie. Jest to zabytkowe osiedle, z pięknym wspólnym ogrodem i miejscem parkingowym. Proszę się rozejrzeć. – Zatacza ręką łuk, którym obejmuje całe mieszkanie. – Poczekam na zewnątrz. Gdyby państwo mieli jakieś pytania, jestem do dyspozycji.

James kiwa głową.

– Bardzo dziękujemy.

Agent nieruchomości uśmiecha się grzecznie, a potem wychodzi. Słyszę jego kroki na schodach, a potem zapada cisza.

Rozglądam się powoli. Mieszkanie jest w dobrym stanie, choć drewniana podłoga skrzypi przy każdym kroku.

– Obejrzymy ten pokój? – James wskazuje pierwsze pomieszczenie po prawej stronie.

Idę przodem i wchodzę do małego, prostokątnego salonu utrzymanego w odcieniach terakoty. Wysoki sufit zdobią sztukaterie. Dostrzegam kominek i mały wykusz, przez który do pokoju wpada południowe słońce. Jest też stół, zdradzający ślady użytkowania. Także krzesła nie wydają się szczególnie stabilne, co jednak nie zmienia faktu, że od razu czuję się tu jak u siebie, jakbym była we własnym domu, a nie sterylnym pomieszczeniu, które dopiero trzeba wypełnić życiem.

– Idziemy dalej? – pyta James cicho.

– Tak. – Wychodzę z powrotem na korytarz. Kolejne pomieszczenie to kuchnia, nieco wąska, ale jej wartość podnoszą granitowe blaty, za które mój tata oddałby nerkę. Jest w pełni umeblowana, widzę kuchenkę, lodówkę, piekarnik, chociaż temu przydałoby się porządne czyszczenie.

James nie musi pytać, czy chcę obejrzeć kolejny pokój. Tym razem to ja lekko ciągnę go za rękę.

W przeciwieństwie do salonu, sypialnia jest kwadratowa i utrzymana w odcieniach szarości. Z mebli jest tu tylko drewniana rama łóżka i szafa wnękowa, mniej więcej tej samej wielkości, co w moim pokoju. Z sufitu zwisa spory biały żyrandol.

Łazienkę oglądamy jako ostatnią. Nie jest szczególnie duża, ale fugi są czyste, a na ścianach nigdzie nie widzę grzyba.

Został nam jeszcze jeden pokój, mniej więcej wielkości sypialni. Wcześniej służył chyba jako gabinet. Przy jednej ścianie stoi wielkie stare biurko i czarny fotel, obok wisi biała tablica z notatkami, których nie jestem w stanie odczytać.

Z okna rozciąga się widok na ogród. Patrzą, jak jedna z sąsiadek bawi się z psem, a na sąsiedniej działce mężczyzna rozwiesza pranie. Obserwuję ich przez dłuższą chwilę, a potem odwracam się, opieram o parapet i patrzę na Jamesa, który stoi tuż za mną.

– Mieszkanie jest super, choć kilka rzeczy trzeba poprawić.

Odwzajemnia moje spojrzenie, unosi dłoń i odgarnia mi kosmyk z twarzy, który wysunął się z warkocza. Czule zakłada mi go za ucho.

– Też tak uważam.

Czekam, co jeszcze powie, ale w tej chwili za bardzo fascynuje go płatek mojego ucha, który leciutko obrysowuje opuszką palca. Przeszywa mnie przyjemny dreszcz.

– Wyjaśnisz mi wreszcie, czemu tu jesteśmy? – pytam.

Kiwa głową, ale odzywa się dopiero po dłuższej chwili.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co będzie z nami po ukończeniu szkoły – zaczyna.

Z trudem przełykam ślinę. Do tej pory nie pozwalałam sobie na myśli o takiej rozmowie. Nie po tym wszystkim, co przeszliśmy. Nie chciałam myśleć o kolejnym wyzwaniu w najbliższej przyszłości, skoro dopiero co uporaliśmy się z tyloma przeszkodami.

– Posłuchaj, chciałbym kupić to mieszkanie – mówi otwarcie.

Moje serce przyspiesza, krew dosłownie huczy w uszach.

– Słucham?

W jego wzroku jest pewność, która z jednej strony mnie denerwuje, z drugiej daje poczucie bezpieczeństwa. Sięga do kieszeni spodni i wyjmuje skórzany portfel, z którego wyciąga poskładaną kartkę. Pożółkła na rogach, wygląda, jakby przybrała kolor portfela. James rozkłada arkusik i wtedy dostrzegam, co to

jest.

Jego lista. Ta sama, którą spisaliśmy w Oksfordzie tamtej nocy, gdy wszystko sobie wyjaśniliśmy. Tamtej nocy, gdy byliśmy ze sobą tak blisko, jak nigdy przedtem.

Jest bardzo sfatygowana, jakby składał ją i rozkładał mnóstwo razy.

– Pamiętasz? – pyta.

– Oczywiście – odpowiadam.

– Ty pierwsza sprawiłaś, że uwierzyłem, że są marzenia, o które warto walczyć.

– James... – szepczę.

Czeka, czy powiem coś jeszcze, ja jednak tylko wpatruję się w listę w jego dłoni.

– Chciałbym zrealizować wszystko z tej listy. Naprawdę wszystko – dodaje po chwili. – Chcę wiedzieć, co świat dla mnie przygotował. Wiem, że twoja droga jest jasno wytyczona, a moja nie, ale cały czas zastanawiałem się, w jaki sposób możemy być razem także po szkole. Jak możemy oboje realizować nasze marzenia, nie tracąc siebie. – Widzę, jak z trudem przełyka ślinę.

Serce wali mi jak szalone. Ściskam jego dłoń tak mocno, że zapewne sprawiam mu ból, choć nie daje po sobie niczego poznać.

– Mogę ci coś pokazać? – pyta.

Kiwam głową, jednocześnie sparaliżowana i oszołomiona jego słowami. James podchodzi do biurka, siada, otwiera torbę i wyjmuje swój macbook. Uruchamia go, wpisuje hasło i otwiera przeglądarkę.

Staję za nim, zbyt szybko, żebym zdołała cokolwiek odczytać. Niecałe trzy sekundy później otwiera się nowa strona. Blog, którego tytuł widnieje na górze jasnymi literami:

Beyond Beaufort

Projekt jest prosty, przejrzysty, utrzymany w odcieniach tłumionych szarości i błękitu. W górnej części strony tytułowej uruchamia się pokaz slajdów.

Przewijam w dół i wstrzymuję oddech.

W zakładce „James Beaufort” widnieje jego zdjęcie, którego nie widziałam do tej pory. Ma na nim czarną koszulę. Fotografia jest czarno-biała, ale od razu wiem, że powstała w naszym ogrodzie. Nawet gdyby nie zdradziła tego jabłonka w tle, zorientowałabym się po podpisie fotografki w prawym dolnym rogu: Ember Bell.

Z niedowierzaniem wpatruję się najpierw w monitor, potem w Jamesa. Oddycha głośno.

– Chciałbym spróbować, Ruby. Chciałbym krok po kroku realizować listę, którą razem spisaliśmy. Chcę się dowiedzieć, co jest moją pasją, i chcę mieć na to czas. Chcę podróżować i poznawać świat – mówi szybko. Słowa wręcz wylewają się z niego. Odwraca się na krześle, patrzy mi w oczy. – Ale przede wszystkim chcę ciebie.

Zamurowało mnie. Usiłuję uporządkować gonitwę myśli, ale jego słowa totalnie zbiły mnie z tropu. Kilka razy próbuję odpowiedzieć, ale ciągle przerywam, bo nie wiem, jak ubrać w słowa to, co czuję.

Koniec końców moja jedyna reakcja to zdyszany śmiech.

– Przepraszam bardzo, a kiedy właściwie nauczyłeś się obsługiwać WordPress?

Mruga zaskoczony, a potem uśmiecha się lekko.

– Ember dawała mi korepetycje.

Ciągle w szoku, wpatruję się w stronę tytułową. Pochylam się, znowu przewijam stronę na dół. Jeszcze niewiele tu treści, kilka komentarzy i linki do innych blogów, ale już sobie wyobrażam, jak James wypełnia pustą przestrzeń swoimi doświadczeniami. Na myśl, ile ten rok dla niego znaczy, serce bije mi szybciej.

Nie zastanawiam się dłużej, obchodzę krzesło i siadam mu na kolanach. Zarzucam mu ręce na szyję, zamykam oczy i tulę do siebie.

Przypomina mi się chłopak, którego poznałam we wrześniu. Bardzo zamknięty w sobie, przytłoczony ciężarem rodzinnych zobowiązań; tamten chłopak nie uwierzyłby nigdy, że ma szansę na przyszłość, którą sam sobie zbuduje.

– Fantastyczny pomysł – szepczę z ustami na jego szyi.

James obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

– Cieszę się, że tak uważasz. Naprawdę się bałem. Ja... – Zacina się na moment. – Ruby, to wszystko dzięki tobie. Dałaś mi siłę, by posłuchać siebie i zastanowić się, co tak naprawdę chcę robić po szkole. I za to będę ci zawsze wdzięczny.

Odchylam się odrobinę, żeby spojrzeć mu w oczy. Przesuwam dłonią po jego karku, odnajduję jego szczękę, uśmiecham się, choć jednocześnie mam łzy w oczach.

– No dobrze, ale czy mieszkanie cię nie ograniczy? – pytam bez tchu. – Skoro chcesz podróżować?

Powoli kręci głową. Przesuwa dłonią po moim udzie. Ten dotyk mnie zarazem uspokaja i pobudza.

– Moja mama zawsze powtarzała, że nieruchomości to pewna inwestycja – odpowiada. – Kiedy sprzedam udziały w Beaufortie, i tak muszę zainwestować część pieniędzy, których nie wydam na podróże. Nie będę w drodze przez cały rok, więc w Anglii muszę gdzieś mieszkać. Poza tym, ty trafisz właśnie do Oksfordu, więc nie wyobrażam sobie lepszego miejsca.

– James, nie rób tego dla mnie – szepczę.

– Nie chcę, żebyśmy się rozstali. To jest znak, Ruby. Myślę o nas poważnie i także po ukończeniu szkoły chcę być z tobą.

Mały gabinet nagle wydaje się o wiele większy. Cały świat rozrasta się, gdy James patrzy mi w oczy i mówi te słowa.

– Ja też chcę być z tobą – wyznaję równie cicho.

W następnej chwili pochyla się, a ja wychodzę mu naprzeciw. Przywiera ustami do moich, poruszony tą chwilą co najmniej tak samo, jak ja. Pocałunek jest tak intensywny, że w pewnym momencie nie wiem już, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mogę tylko kurczowo trzymać się Jamesa.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się całowaliśmy.

Przesuwam dłonie po jego szyi, do skraju koszulki, muskam palcami nagą skórę. Parzy mnie, jakby w tej chwili płonął tak samo, jak ja. Czuję jego dłonie na mojej talii. Przesuwa palcami po żebrach, dotyka moich pleców, z całej siły przyciąga do siebie. Wzdycham, gdy pogłębia pocałunek i lekko gryzie moje usta.

– Panie Beaufort? – słyszymy nagle głos agenta.

Podrywam się tak gwałtownie, że krzesło przesuwa się o kilkanaście centymetrów. James przytrzymuje mnie, żebym nie upadła, i jednocześnie wstaje. Drugą ręką zamyka komputer.

– Jesteśmy w gabinecie – odpowiada, uprzednio poprawiając koszulkę.

Po chwili agent ruchomości staje w progu. Wodzi wzrokiem między nami. Mojej uwadze nie uchodzi jego leciutki uśmiech, gdy pyta:

– Czy chcą państwo obejrzeć ogród?

## James

Po powrocie do Brightwell-cum-Sotwell zjadamy z Ruby śniadanie na kolację. Ciekawe, dlaczego do tej pory nigdy tego nie robiłem. Wydaje mi się w tej chwili, że to najlepszy pomysł na świecie.

Postanawiamy skorzystać z pięknej pogody i siadamy w ogrodzie. Marta nam pokazała, z którego zakątka rozciąga się piękny widok na rozległe pola. Ruby idzie przodem, ja zabieram z domku dwa wełniane koce, którymi się otulam. Odpalam playlistę składającą się ze spokojnych piosenek Death Cab for Cutie, Iron and Wine, Keatona Hensona i Vancouver Sleep Clinic. Obserwujemy, jak niebo wypełnia się kolorami.

– Wiesz już, dokąd najpierw chcesz pojechać? – pyta Ruby w pewnym momencie.

– Do Tajlandii – odpowiadam tak szybko, że aż robi mi się głupio. – To też jest na mojej liście. Nieważne, o jakim kraju akurat czytam, zawsze wracam myślami do Tajlandii. Zaplanowałem już trasę, obejmującą wszystkie ciekawe miejsca, o których czytałem.

Na samą myśl, że wsiądę do samolotu i w końcu zobaczę to wszystko, o czym do tej pory tylko czytałem i co oglądałem w internecie, wypełnia mnie zupełnie nowa energia. Jakby budziło się we mnie coś, czego nie da się już cofnąć, i choć na razie to tylko plany, czuję się o wiele lepiej niż dawniej, gdy myślałem o przyszłości.

– Chciałabym ci pomóc – mówi Ruby. – Jestem świetną organizatorką. Możemy razem rezerwować twoje loty i noclegi, zrobię listę rzeczy do załatwienia przed podróżą i powoli będziemy odhaczać kolejne punkty.

Przyglądam się jej badawczo. Z głośników płynie kojący głos Keatona Hensona, a Ruby wpatruje się w zachodzące słońce. Chyba nigdy nie zapomnę tego widoku. Złote światło na jej policzkach, we włosach, lekko rozwianych przez wiatr, rozchylone usta. Jest tak piękna, że zapiera mi dech w piersiach.

– Czy to naprawdę w porządku, Ruby? – pytam cicho.



Podciąga kolana, obejmuje je ramionami, opiera na nich głowę i patrzy na mnie z ukosa. Dostrzegam w jej oczach tęsknotę, ale i radosny błysk.

– Na pewno będzie ciężko – zaczyna powoli. – Ale jednocześnie uważam, że wspaniale, że chcesz to zrobić. Będę cię wspierać, tak samo jak ty mnie.

Kiwam głową i uświadamiam sobie, że odruchowo wstrzymałem oddech. Dopiero teraz wypuszczam powietrze z płuc.

Nie wiem, czy blog zdobędzie popularność, czy nie. Być może za kilka miesięcy wrócę i będę musiał zmierzyć się z faktem, że mój pomysł nie wypalił. Ale jeżeli wszystko się uda... Co wtedy? Czy możemy rozstawać się na dłużej, nie ryzykując, że nasze drogi się rozejdą?

Odpowiedź na to pytanie poznam dopiero za kilka miesięcy. W tej chwili mogę tylko wyciągnąć rękę i dotknąć policzka Ruby. Pochylić się i ją pocałować.

Ten pocałunek jest delikatny. Niepewny, ale zarazem cudowny.

– Nie zrozum mnie źle: na lotnisku będę szlochać jak dziecko – zaznacza Ruby, odrywając się ode mnie na chwilę.

– Jezu, będziemy jedną z tych żenujących parok, które na środku lotniska nie mogą się od siebie oderwać?

Śmieje się cicho, ale smutno. Dotykam czołem jej czoła i zamykam oczy.

– Mogłabyś pojechać ze mną – mówię. – Na kilka pierwszych tygodni wakacji.

Teraz to ona wstrzymuje oddech. Unoszę powieki.

– To ma być twoja przygoda, James – zauważa.

– Nie wyobrażam sobie niczego piękniejszego niż wakacje z tobą – odpowiadam. Właściwie chciałem jeszcze poczekać z tą propozycją. Wycieczka na weekend, mieszkanie, blog... Nie chcę jej przytłoczyć. Ale w tej chwili nie mogę inaczej. Muszę uświadomić jej, ile dla mnie znaczy.

– Oczywiście jeżeli tego chcesz – zaznaczam zaraz. – Jeżeli w tym czasie zaplanowałaś sobie przygotowania do Oksfordu, zrozumiem to.

Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Naprawdę mam jechać z tobą do Tajlandii?

Kiwam głową.

– Urządzimy sobie małą objazdówkę albo zostaniemy w jednym miejscu, jak chcesz.

– Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – szepcze i wtula się we mnie. – Pójdę nawet z tobą na uliczny targ i zjem coś ze straganu.

– Pojedziemy razem do parku narodowego Khao Sok. Zamieszkamy

w bungalowie w Khao Lak.

– Brzmi nieźle.

Ruby odwraca się na bok i całuje mnie w szczękę. Raz za razem. Obsypuje pocałunkami moją twarz, wędruje coraz niżej. Głęboko nabieram tchu, gdy czuję jej język na szyi. Zaraz wraca w górę, zastyga tuż nad moją twarzą. Jej oczy jeszcze nigdy nie wydawały się równie zielone.

– Kocham cię, James – szepcze.

Moje serce robi salto. Pochylam się, muskam ustami jej wargi. Słyszę, jak przestaje oddychać.

– Ja ciebie także, Ruby Bell.

Kiedy znowu ją całuję, wszelkie myśli o przeszłości spowija mgła, coraz gęstsza, im bardziej przyciągam ją do siebie.

Ujmuję jej twarz w dłonie, przyciągam bliżej, coraz bliżej. Kątem oka zauważam, że koc spada z jej ramion. Po chwili wstaje z krzesła i siada mi na kolanach, tak samo jak wtedy, w mieszkaniu.

Tym razem nie chcę ryzykować, że ktoś nam przerwie. Obejmuję ją mocniej i wstaję, nie wypuszczając jej z objęć. Całujemy się dalej, gdy wracamy do domku, dopiero przy schodach odrywam się od niej i patrzę na dół, żeby się nie potknąć. Wewnątrz stawiam ją na podłodze, ale nie wypuszczam z objęć. Zamykam rozsuwane drzwi. Opieram się o nie plecami.

– Zimno ci? – pytam ochryple. – Mogę napalić w kominku.

Ruby przygląda mi się zielonymi oczami i w końcu powoli kręci głową. Robi krok w moją stronę, potem kolejny. Kładzie mi dłonie na brzuchu, przesuwa wyżej, na klatkę piersiową, aż gwałtownie nabieram tchu.

– Brakowało mi tego – szepcze z palcami na mojej piersi. – Twojej bliskości.

– Mnie także – odpowiadam równie cicho.

Choć od naszego ostatniego razu minęło już prawie pół roku, wiele było nocy, a także dni, gdy nie myślałem o niczym innym. Pragnąłem właśnie tego, właśnie z nią. Chciałem odgarnąć jej włosy z twarzy, pieścić jej podbródek, całować ją najgłębiej, jak to możliwe.

Tylko że nigdy nie było na to odpowiedniej chwili. Do teraz.

Teraz nic nas nie powstrzyma; w moich ruchach jest pewność, którą widzę także w niej. Intensywność moich uczuć przerażałaby mnie, gdyby jednocześnie nie było tak cudownie mieć ją przy sobie, w moim życiu, w moich ramionach.

Jej dłonie błądzą po moim ciele, ja tymczasem unoszę skraj jej bluzki. Delikatnie głaszczę ciepłą skórę. Ruby naśladuje moje gesty. Wsuwa dłonie pod moją koszulkę, przesuwa opuszkami palców po moim brzuchu i biodrach, coraz

wyżej. Pokrywam się gęsią skórką, krew buzuje mi w żyłach. Szumi w uszach tak, że ledwo słyszę cichy oddech Ruby, coraz szybszy po każdym moim dotyku.

Drżącymi rękami zdejmuję jej bluzkę. Ona robi to samo z moją, a potem obejmuje mnie i przywiera ustami do klatki piersiowej. Jej koronkowy beżowy stanik drapie mnie leciutko i sprawia, że wybrzuszenie w moich spodniach znacznie się powiększa.

– Pachniesz jak James – szepcze Ruby z ustami na moim obojczyku.

Śmieję się bez tchu.

– To chyba dobrze.

Kiwa głową, a jej włosy łaskoczą mnie w podbródek.

– Nawet bardzo dobrze.

Gładzę jej plecy, wędruję dłońmi po barkach, coraz niżej, wzdłuż kręgosłupa. Kładę jedną rękę w malutkim zagłębieniu krzyża, przyciągam do siebie, na co reaguje głośnym westchnieniem. Znowu na mnie patrzy. Odgarniam jej włosy z twarzy i znowu całuję. Poruszam wargami, wsuwam język w jej usta, rozkoszuję się jej jękiem i daję się ponieść. Moje ciało przejmuje kontrolę. Nie wiadomo kiedy popycham Ruby w kierunku łóżka. Gdy dotyka go kolanami, nieruchomieje.

– W porządku? – pytam ochryple z dłonią na jej policzku.

Potwierdza ruchem głowy. Jej oczy lśnią gorączkowo.

Pochyłam się, przesuвам ustami po jej policzku, do kącika ust, przez brodę, na szyję. Całuję jej grdykę, czuję, jak dotyka moich pleców. Chwyta mnie za barki, trzyma się ich, gdy delikatnie przygryzam zębami jej skórę i zaczynam ssać. Słyszę, jak wstrzymuje oddech i jednocześnie przywiera do mnie mocniej.

– Cudownie – szepcze.

Nie śpieszę się. Zostawiam w końcu jej szyję i zajmuję się barkami i obojczykiem. Badam jej dekolt wargami, dotykam piersi, uciskam je delikatnie, przesuвам dłonie na brzuch, który także obsypuję pocałunkami. Powoli kładę dłoń na jej spodniach i podnoszę wzrok.

– Też w porządku?

Jej oczy zdają się dosłownie lśnić, kiedy potwierdza ruchem głowy.

Nie zatrzymuję się, rozpinam najpierw guzik, potem suwak jej dzinsów, zsuвам je. Ma na sobie czarne majteczki, na których widok serce bije mi szybciej. Prostuję się. Ruby błyskawicznie odnajduje pasek moich spodni. Wspina się na palce i całuje mnie, coraz mocniej, jednocześnie po omacku starając się rozpiąć klamrę. W końcu jej się to udaje i moje spodnie także lądują

na podłodze.

Ruby opada do tyłu, na miękką kołdrę, a ja podążam za nią, nie przerywając pocałunku. Właściwie mam jeszcze tyle do powiedzenia, ale w tej chwili wszelkie słowa tłumi pożądanie, które zagłusza wszystko inne. Ruby oplata mnie nogą w biodrach i przyciąga jeszcze bliżej do siebie.

Nie pamiętam, dlaczego chciałem robić to powoli. Moje dłonie żyją własnym życiem, gdy błędzą po jej ciele. Dotykam jej wszędzie, chcę poznać ją całą, poczuć wszystko. Przywieram do niej, dokładnie między nogami, i niemal tracę panowanie nad sobą, słysząc jej jęk. Dotyka mnie rozpalonymi dłońmi, gryzie w dolną wargę, gdy powtarzam ruch.

Biorę ją pod rękę, podciągam odrobinę w górę, do pozycji półsiedzącej. Całuję ją dalej, a jednocześnie sięgam za jej plecy i szukam zapięcia stanika. Palce drżą mi tak bardzo, że udaje mi się to dopiero za trzecim razem. Ruby uśmiecha się i pozwala, by ramiączka zsunęły jej się z ramion, a potem zdejmuje stanik.

Przez dłuższą chwilę tylko się jej przeglądam. Widok jej nagiej skóry, rozczochranych włosów i błysku w oczach zapiera dech w piersiach.

Poruszamy się jednocześnie; ona ponownie opada na posłanie, ja pochylam się nad nią i całuję z rękami po obu stronach jej głowy. Nasze języki splatają się, a tymczasem jej dłonie odnajdują moje bokserki.

Waha się, szepcze coś w moje usta. Odsuwam się odrobinę i patrzę jej w oczy.

– W porządku? – powtarza moje pytanie z uśmiechem. Kiwam głową bez tchu.

Nieśmiało zsuwa mi bokserki z bioder. Pomagam jej odrobinę, a potem zdejmuję jej majteczki. Odwracam się, sięgam po spodnie, podnoszę je z podłogi i wyjmuję prezerwatywę z portfela. Ruby patrzy, jak kładę ją obok nas na posłaniu i ponownie się pochylam.

Ogień w jej oczach przyprawia mnie o jeszcze szybsze bicie serca. Zarzuca mi rękę na szyję, odnajduje moje usta. Mógłbym tak bez końca: być z nią w łóżku, nagi, całować się, aż przeszłość i przyszłość znikają, istniejemy tylko my. Jeżeli o mnie chodzi, ta chwila może trwać wiecznie.

Ruby głaszcze mnie po plecach, coraz niżej, czuję jej dłonie na pośladkach. Wygina się w łuk i wzdycha cicho, czując moją twardość. Stopniowo tracę nad sobą panowanie. Kolejny pocałunek jest jeszcze bardziej namiętny, niemal rozpaczliwy, i nagle czuję, jak Ruby wbija mi paznokcie w plecy. Teraz to ja nie mogę powstrzymać jęku. Nie oddycham, zsuwam się z niej, żeby włożyć

prezerwatywę.

Kładę się na boku, żeby widzieć jej twarz. Oczy zaszyły jej mgłą pożądania, ale nie mam wątpliwości, czego chce.

A potem nie ma już pytań. Poruszamy się jednocześnie. Przykrywam ją sobą, a ona oplata mnie nogami w biodrach, przyciąga do siebie. Wchodzę w nią jednym ruchem. Uczucie jest tak oszłamiające, że na chwilę zamykam oczy i zastygam w bezruchu.

Przesuwam palcami po jej skroni i dalej, po policzku. Otwiera oczy. Dopiero wtedy zaczynam się powoli poruszać. Wysuwam się z niej i wracam, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jej pięknej twarzy. Porusza się razem ze mną, wplata mi dłoń we włosy i trzyma kurczowo.

Nigdy w życiu nie przeżyłem czegoś takiego. To, co robimy, wiąże się z bezwarunkowym zaufaniem. Daję jej wszystko, a ona oddaje mi siebie całą.

O ile dawniej w seksie zależało mi tylko na tym, żeby skończyć, teraz chodzi o wiele więcej. W przypadku Ruby nie ma celu, do którego dążę. Istniejemy tylko my i emocje, które wypełniają mnie od stóp do głów.

Nie muszę jej mówić, jak bardzo ją kocham. Pokazuję jej to całym ciałem, każdym czułym, głębokim pocałunkiem, każdym pchnięciem bioder, tym, jak ją do siebie tulę, gdy pode mną drży i gdy także ja daję się całkowicie ponieść.

## Ruby

Przez kolejny tydzień nie przestaję myśleć o chwilach spędzonych z Jamesem w Brightwell-cum-Sotwell. I przez kolejny. I jeszcze następny.

Nie zapominam, jakie to uczucie, mieć go przy sobie, czuć jego dłonie na moim ciele, jego oddech w moim uchu. Tamtej nocy byliśmy tylko we dwoje i w najróżniejszych momentach przyłapuję się na jej wspomnianiu. Marzę, żeby cofnąć czas i wrócić do tamtych chwil.

Przy śniadaniu z rodziną przypomina mi się tamten ranek, smakowity świeży chleb i uśmiech Jamesa, gdy podawał mi dżem.

Podczas nauki do końcowych egzaminów przypomina mi się mieszkanie, które mi pokazał, i to, jak leżeliśmy wtuleni w siebie i wyobrażaliśmy sobie, jak je urządzimy, jeżeli naprawdę je kupi.

A wieczorami, kiedy usiłuję zasnąć, słyszę jego głos, gdy szeptał mi do ucha, zdyszany, ochrypły, gdy mówił, jak bardzo mnie kocha i że nigdy w życiu nie był równie szczęśliwy.

– Ziemia do Ruby – mówi Lin.

Wyrwana z zamyślenia odwracam głowę.

– Słucham? Przepraszam, zamyśliłam się.

Lin przygląda mi się z ukosa.

– Zauważyłam. Wszystko w porządku?

Czuję, jak moje policzki oblewają się rumieńcem, i energicznie kiwam głową.

– Tak. Co mówiłaś?

– Że twoja torba wygląda, jakby lada chwila miała pęknąć w szwach. – Lin wskazuje torbę Jamesa na moim ramieniu. Po raz pierwszy ponownie przyszedłam z nią do szkoły i napakowałam w nią tyle, że cały czas obawiam się, że urwie się pasek.

Ostrożnie poprawiam go na ramieniu.

– Wiem, ale James rano powiedział, że wytrzyma, i na to liczę.

– No, skoro James tak powiedział... – Lin otwiera drzwi do biblioteki

i przepuszcza mnie przodem.

– Też masz wrażenie, że ze stresu lada chwila oszalejesz? – pytam, gdy idziemy między regałami w kierunku sali zebrań. Ilekroć pomyślę o końcowych egzaminach, które są tuż-tuż, i o tym, ile pracy czeka nas jeszcze w Komitecie organizacyjnym przed dwiema ostatnimi imprezami tego roku, ogarnia mnie taka panika, że nawet ukochane filmiki ASMR nie pomagają. Im bliżej jest koniec trzeciego trymestru, tym większe ciśnienie.

– Ja już dawno oszalałam – odpowiada Lin. – Poza tym nie mam pojęcia, co przygotować na sobotę.

– Mówiłam ci przecież, że możemy kupić wspólny prezent.

Nie zgadza się.

– Nie, moim zdaniem to bez sensu. Jesteś prawie jej szwagierką, a poza tym nie przyjaźnię się z nią tak bardzo, jak ty. Ale dzięki za propozycję.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc.

– Daj znać, gdybym mogła ci jakoś pomóc.

Lin się uśmiecha.

– Przed chwilą powiedziałaś, że wkrótce oszalejesz, a teraz proponujesz mi pomoc. Typowa Ruby.

– Typowa Ruby? – Unoszę brew.

– No wiesz. Wziąć na siebie za dużo obowiązków, a potem płakać – odpowiada z uśmiechem.

Pokazuję jej język.

– Ale zabawę na baby shower przygotowujemy razem, prawda? – pytam.

– Oczywiście. Co właściwie robimy? Karty czy kubeczki?

– Może jedno i drugie? Będzie bardziej różnorodnie. Mama ma w domu tyle drobiazgów, że nie musimy niczego kupować.

– Czy ciotka Lydii w końcu przysłała ci zdjęcia? I zdradziła, jaki będzie motyw przewodni? Czy w ogóle będzie coś takiego?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Lepiej nie pytaj. Zdaniem Lydii Ophelia zupełnie zwariowała. Kupuje wszystko, co wpadnie jej w ręce, pod warunkiem że jest kolorowe. Lydia twierdzi, że taki właśnie będzie motyw przewodni.

– Kolorowo? – Lin łypie na mnie podejrzliwie. – Przecież to żaden motyw.

– Wiem. – Wzruszam ramionami. – Ale Ophelia jest chyba innego zdania.

– No dobra, w takim razie musimy coś... – Lin urywa w połowie zdania. Zatrzymuje się nagle. Patrzę na nią zdumiona, a potem podążam za jej wzrokiem.

I wstrzymuję oddech.

Przed wejściem do naszej salki stoi Cyril.

Wygląda lepiej niż w ostatnich tygodniach. Nie sprawia wrażenia, jakby przyszedł do szkoły prosto z szalonej imprezy. Wyprasowany mundurek, idealnie zawiązany krawat, starannie ułożone włosy. Ogolił się, a cienie pod oczami nie są już tak przerażająco ciemne. Wygląda prawie tak jak dawniej.

– Lin? – szepczę, ale moja przyjaciółka ciągle jest jak w transie.

Z trudem przełyka ślinę, prostuje się i sekundę później mówi dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Musimy coś wymyślić – kończy poprzednie zdanie. – Nie mam na dzisiaj żadnych planów. Może zrobimy te karty już dziś?

Mrugam szybko, zbita z tropu, ale zaraz jej przytakuję.

– Oczywiście.

– Super. – Trzeba ją dobrze znać, by dostrzec, jak bardzo jest spięta, jak sztuczna jest jej swoboda. – Czyli wszystko ustalone.

Dochodzimy do drzwi. Cyril odrywa się od ściany i prostuje. Lin zatrzymuje się przy nim. Przez chwilę patrzą na siebie bez słowa.

Cichutko wchodzę do sali zebrania.

Nie udaje mi się wypytać Lin, dlaczego Cyril na nią czekał. Tuż po mnie zjawiają się Camille i Doug w towarzystwie Kierana, dwie minuty później wpadają Jessalyn i James. Po zebraniu Lin zabiera nas do domu swoim samochodem i choć umieram z ciekawości, nie chcę jej wypytywać w obecności Jamesa.

Teraz James poszedł na spotkanie z kobietą zainteresowaną kupnem jego udziałów w Beauforcie, a ja, Lin i Ember siedzimy na podłodze mojego pokoju i wycinamy śpioszki z kartonu. Wypiszemy na nich płeć dzieci i ich możliwe wymiary. Czuję, że jeżeli zaraz nie zapytam Lin, pęknę.

– Czego chciał Cyril? – mówię tak energicznie, że Lin wzdryga się odruchowo. Ember podnosi głowę. Przez chwilę wodzi wzrokiem między nami, zaraz jednak zauważa spięte ramiona Lin. Bez słowa sięga po kolejny kawałek tektury i rysuje śpioszki białą kredką.

Lin wpatruje się w wycięty szablon.

– Chciał mnie przeprosić.

Ściągam brwi.

– No i?

Wzrusza ramionami.



– No i to wszystko.

Odkładam flamaster.

– Ale jak było? Był... czuły? – To nie jest słowo, które kojarzy mi się z Cyrilem, ale czuję, że za milczeniem Lin kryje się coś więcej.

– Sama nie wiem. To było... dziwne.

– W jakim sensie? – pytam ostrożnie.

– Powiedział, że i tak spotkamy się w weekend na baby shower, i nie chciał, żeby między nami coś było niejasne. Zapytał nawet, czy wolałabym, żeby tam nie jechał. – Sądząc po głosie Lin, to najdziwniejsza propozycja, jaka kiedykolwiek padła z ust Cyrila.

– Mnie także przeprosił. Chyba przechodzi głęboką transformację – rzucam. – James uważa, że autentycznie żałuje tych wszystkich błędów.

– Moim zdaniem szuka raczej wymówki, żeby nie być na tej imprezie – komentuje Ember, nie podnosząc głowy.

Mrugam zaskoczona.

– Jak to?

Ember obojętnie wzrusza ramionami.

– Lin mówi, że był się dziwny. Na pewno nie chce patrzeć na dziewczynę, którą kocha, w towarzystwie jej ukochanego.

– Tak uważasz? – Nie jestem do końca przekonana.

W ustach Ember brzmi to bardzo depresyjnie. Moja siostra zazwyczaj podchodzi do życia bardziej optymistycznie i doszukuje się dobra w każdym, podczas gdy ja wszystko rozkładam na czynniki pierwsze.

Już od dawna podejrzewam jednak, że coś jest z nią nie tak. Obsesyjnie pracuje nad blogiem, prawie nie wychodzi z pokoju, a kiedy pytam, czy wszystko w porządku, natychmiast zmienia temat. Do niedawna głowiłam się, z kim spędza tyle czasu, teraz zastanawiam się, dlaczego już tego nie robi.

I dlaczego ciągle uważa, że nie może ze mną porozmawiać.

– Moim zdaniem Cyril osiągnął dno, od którego zaczyna się odbijać. Po tym, co mi powiedziałaś, uważam, że to, że cię zapytał, to oznaka szacunku. – Staram się dodać Lin otuchy. – Na pewno nie było mu łatwo. No właśnie: chcesz, żeby go tam nie było?

Lin zdecydowanie zaprzecza.

– Nie, to byłoby dziecinne. Oboje jedziemy do Oksfordu i tam także będziemy się czasem widywać. Przecież nie powiem mu, żeby spadał.

– Właściwie mogłabyś. Czysto teoretycznie.

Kąciki jej ust drgają leciutko. Zakłada włosy za ucho i ponownie sięga po

nożyczki.

– Poza tym już mi przeszło.

Przyglądam się jej uważnie. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy o Cyrilu, widać było, że jest bardzo zaangażowana emocjonalnie. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

– Lydia na pewno zrozumie, jeżeli ty nie przyjedziesz – sugeruję ostrożnie.

– Nie – odpowiada natychmiast. – Nie. Chcę tam być. Zresztą, kto wie, może kogoś tam poznam.

Zaskakują mnie te słowa, ale też cieszą. Wygląda na to, że Lin naprawdę dojrzała do nowego związku. Nie mówię jej, że poza nami gośćmi na imprezie będą znajomi Ophelii. Cieszę się razem z nią i uśmiecham radośnie.

– Ruby, mogę namalować członek na jednych śpioszkach?

Nagła zmiana tematu w pierwszej chwili zbija mnie z tropu, zaraz jednak staram się opanować uśmiech.

– Jeżeli musisz... Proszę bardzo. Nie wiem tylko, co na to Lydia.

– Lydia będzie zachwycona – odpowiada Ember. Bierze jeden z moich najukochańszych brokatowych flamastrów i rysuje męskie genitalia na jednych z tekturowych śpiozków.

– Musi być taki wielki? – rzucam oschle, ale Ember tylko wzrusza ramionami.

– Super. – Lin uśmiecha się od ucha do ucha. – Ja też namaluję coś zabawnego.

Wzdycham głośno. Przeglądam szablony, które ściągnęliśmy z Pinteresta. W każdym śpiożkach trzeba zrobić małą dziurkę, przez którą później przeciągniemy sznurek i zawiesimy. Na każdej parze widnieją ozdobne napisy i słodkie wzorki. Arcydzieło Ember nie ma z tym wiele wspólnego, ale jeżeli dzięki temu się śmieje, nie mam z tym problemu.

– Lydia i Graham na pewno docenią naszą kreatywność – mruczy, ozdabiając penis.

– Na pewno – wtóruje jej Lin i ze skupieniem rysuje coś na innych śpiożkach. Po chwili podnosi je i przygląda się krytycznie, a potem pokazuje nam. Namalowała symbol Supermana.

Ember krzyczy triumfalnie.

– Kurczę, trzeba było wyciąć z peleryną – mruczy do siebie.

– Następnym razem – rzucam bezmyślnie. Ember i Lin patrzą na siebie, a potem na mnie z błyskiem w oku. Po chwili sięgają po nowe arkusze tektury i wprowadzają zmiany w gotowych szablonach.

Nie mam wyjścia, idę w ich ślady i wkrótce zależy nam tylko na tym, żeby

wymyślić jak najbardziej dziwaczny projekt i doprowadzić się do śmiechu.

I tak mamy śpioszki aniołka ze skrzydłami, hokeistę z kijem oraz arcydzieło Lin, czyli bikini w owoce i małego diabełka. Mnie najbardziej bawi niezbyt udany koński łeb, duma Ember. Ilekroć na niego spojrzę, nie mogę się powstrzymać i na nowo parskam śmiechem.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Proszę! – mówię.

James wsadza głowę do pokoju.

– Cześć piękny – rzuca Ember komicznie niskim głosem. Wszystkie trzy śmiejemy się na całe gardło.

James wchodzi do środka i rozgląda się rozbawiony.

– Świetnie się bawicie, jak widzę.

– Zobacz, jakie karty zrobiłyśmy na baby shower! Wybierz najlepszą. – Lin wskazuje tekturowe śpioszki, zajmujące niemal całą podłogę.

– Czy to...? – James nie kończy zdania, przechyla lekko głowę.

– Jednorożec, ma się rozumieć. – Ember komicznie przewraca oczami. – Jakby tak trudno było rozpoznać.

– Wygląda raczej jak prosiak. I to z dużą dozą fantazji.

– Hej! – Oburzona Ember ściąga poduszkę z mojego łóżka i ciska nią w Jamesa. Niestety, pocisk ląduje u jego stóp. James uśmiecha się krzywo.

– Chciałem wam tylko dać znać, że już wróciłem. No i Angus mówi, że kolacja zaraz będzie gotowa, więc możecie już schodzić.

– Jak twoje spotkanie? – pytam.

– Bardzo dobrze – odpowiada. – Ta kobieta wie wszystko o firmie i zrobiła na mnie wrażenie kompetentnej osoby. Chyba nie chodzi tylko o kawałek tortu, naprawdę interesuje ją rozwój Beauforta.

– A co ci mówi instynkt? – pytam ostrożnie.

James od wielu tygodni szuka odpowiedniego kupca na swoje udziały, ale dopiero z Fioną Green spotkał się osobiście. Beaufort to dzieło życia jego matki. Chyba sam przed sobą nie chce przyznać, jak bardzo mu zależy na znalezieniu właściwej osoby.

– Mówi mi, że nie powinienem za długo zwlekać – odpowiada.

– Moja babcia zawsze powtarza, że instynkt to najlepszy doradca, kiedy człowiek ma podjąć ważną decyzję – zauważa Lin. Ember kiwa głową.

– Musisz mieć pewność, inaczej nie będzie dobrze.

– Ja rzadko od razu miewam pewność – odpowiada James. – Potrzebuję czasu, by kogoś właściwie ocenić, by nie kierować się pierwszym wrażeniem.

Ale w przyszły wtorek znowu się z nią spotkam. Może tym razem będzie mi łatwiej podjąć decyzję.

– Bardzo dobrze – kwituje Ember. Podnosi tekturowego jednoroźca. – A gdybyś potrzebował wsparcia, zawsze możesz zwrócić się do Erniego.

James uśmiecha się lekko.

– Zapamiętam to sobie.

– Chyba już skończyliśmy, prawda? – pyta Lin.

– Tak. – Rozglądam się wokoło. Mamy tego aż za dużo.

Unosi rękę nad głowę, przeciąga się, prostuje nogi, dotyka dłoni i stóp. Słyszę, jak strzelają jej kości, i wzdrygam się przerażona.

– Cudownie, że szykujecie to wszystko dla Lydii – mówi James. Kiedy odnajduje mój wzrok, jego uśmiech się zmienia. Staje się bardziej otwarty. Więcej w nim ciepła. Więcej czułości. To uśmiech tylko dla mnie, uśmiech pełen tajemnic, które znamy tylko my. Im dłużej na mnie patrzy, tym bardziej zasycha mi w gardle. I tym bardziej robi mi się gorąco.

Nerwowo zgarniam powycinane kształty w jedno miejsce. Siedzę w swoim pokoju, z moją młodszą siostrzyczką. W tej chwili absolutnie nie mogę myśleć o nagim ciele Jamesa.

– Idziemy na dół? – rzuca Ember. – Tata napisał, że kolacja gotowa. – Podnosi komórkę i pokazuje nam wiadomość. Jednocześnie widzę, że przyszła jeszcze jedna, jednak zanim odczytam imię nadawcy, Ember odwraca komórkę w swoją stronę. Jej twarz pochmurnieje, gdy ją czyta. Wyłącza telefon, opiera się rękami o podłogę i wstaje.

James i Lin są już przy drzwiach, gdy na moment chwytam siostrę za ramię.

– Możesz ze mną porozmawiać, Ember – szepczę. – Zawsze i o wszystkim. Wiesz o tym, prawda?

Patrzy najpierw na moją dłoń, potem na moją twarz. Zdaje się toczyć wewnętrzną walkę, ale koniec końców kręci przecząco głową.

– Nie o tym, siostrzyczko.

Zanim zdążę zareagować, w ślad za Lin i Jamesem zbiega na parter.

## Lydia

– Goście przyszli! – krzyczę na widok Jamesa, Ruby, Ember i Lin, ledwie otwieram drzwi. Chwytam brata za rękę i wciągam do środka. Dziewczyny wchodzą za nim.

– To się nazywa powitanie – mówi James i obejmuje mnie serdecznie. Przyciąga mnie do siebie, a potem jego wzrok przykuwa coś w korytarzu. Unosi brew. – Czy to...?

– Gigantyczne serce z róż? Tak. – Podchodzę do Ember, Lin i Ruby i witam się z każdą z nich.

– Wyglądasz super, Lydia – mówi Ember.

Wyglądam na sobie miękki materiał zielonej portfelowej sukienki, skrojonej tak, że mój brzuch, który moim zdaniem większy już być nie może, jest pięknie podkreślony.

– Też tak uważam – komentuje Graham za moimi plecami.

Odwracam się do niego z uśmiechem. Biorę go za rękę, nasze palce się splatają.

Nie potrafię opisać, jakie to cudowne uczucie móc to robić, bez względu na to, gdzie jesteśmy i kto nas zobaczy. Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o tym, czy nie będzie dziwnie, gdy zobaczą nas moi przyjaciele, częściowo jego uczniowie, ale postanowiliśmy nie zawracać sobie tym głowy. Graham to mój chłopak i ojciec moich dzieci. Chcę go dotykać, ilekroć i gdziekolwiek tego zapragnę.

Teraz odwracam się do pozostałych, patrzę w ich oczy i widzę w nich tylko radość i szczerłość. Nikt nie sprawia wrażenia, jakby speszył go widok nas trzymających się za ręce.

– Wy też wyglądacie super – mówię i podziwiam ich kreacje.

Zazwyczaj uwielbiam ciepło, lato to moja ukochana pora roku, ale z brzuchem i opuchniętymi nogami wolałabym raczej jesień. Albo zimę. A najchętniej zimę na Antarktydzie.

Choć akurat baby shower na Antarktydzie chyba nie byłby najlepszym pomysłem.

– Słyszę, że impreza już się zaczęła – zauważa Ruby z uśmiechem. Ma zapewne na myśli muzykę dobiegającą z ogrodu.

– Ophelia już od rana tańczyła w ogrodzie. Chciała mnie w to wciągnąć, ale po dwóch minutach odpadłam – odpowiadam. – Wolałam dopilnować aranżacji bufetu. Będzie trzypiętrowy tort i mnóstwo muffinek.

– Uwielbiam muffinki – ożywia się Ember. Unosi ogromną paczkę zawiniętą w papier w groszki i posyła mi pytające spojrzenie. – Gdzie zanieść prezent?

– Chodźcie za mną – mówię i chcę poprowadzić ich do ogrodu, ale James chwyta mnie za rękę. Puszczam dłoń Grahama i patrzę na niego wyczekująco.

– Mamy jeszcze jednego, niespodziewanego gościa – mówi mój brat.

Moja pierwsza myśl to: oby nie ojciec.

Zaraz potem przypominam sobie jednak, że James zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny i nie zrobiłby mi czegoś takiego.

Podchodzi do drzwi i wygląda na zewnątrz. Do domu wchodzi ktoś jeszcze. Ktoś, kogo nigdy w życiu nie widziałam w dzinsach i zwykłej koszuli.

– Percy! – krzyczę i rzucam się na szyję dawnemu szoferowi.

– Bardzo się cieszę, widząc panią w dobrej formie, panno Beaufort – odpowiada sztywno. Odwzajemnia mój uścisk. Nagle dociera do mnie, jak znajomy jest jego zapach. Pachnie skórzanymi siedzeniami i wodą po goleniu, którą znam od dzieciństwa. Po chwili odrywamy się od siebie. – Pani brat mnie zaprosił – tłumaczy. – Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

– Przeciwno temu? – krzyczę z niedowierzaniem i wodzę wzrokiem między nim a Jamesem. – To cudowna niespodzianka!

Wpuszczam go do domu.

– Percy, to mój chłopak, Graham. Graham, poznaj Percy’ego – przedstawiam ich. Podają sobie ręce. – Ophelia padnie trupem na twój widok – mówię podekscytowana i odwracam się w kierunku ogrodu. – Wyjdziemy na zewnątrz?

Pozostali kiwają głowami. Ponownie biorę Grahama za rękę. Razem idziemy do oranżerii, której drzwi stoją otworem. Wychodzimy do ogrodu.

– O rany – słyszę za sobą szept Lin.

– Teraz rozumiecie, co miałam na myśli, mówiąc „kolorowo” – rzucam przez ramię. Obserwuję ich reakcję na widok dekoracji.

Centralną część ogrodu zajmuje zielony podest. Nad nim unoszą się niezliczone balony wypełnione helem, obciążone małutkimi lampionami, żeby nie odleciały. Obok domu ustawiono bufet. Wśród małutkich doniczek

z kwiatami i kaktusami na gości czekają już pierwsze napoje i przekąski, na myśl o których już od dawna ślinka napływa mi do ust. W całym ogrodzie uwagę przykuwają lampiony, balony i serpentyny.

Ophelia dostrzega nas z daleka i biegnie w naszym kierunku. Ma na sobie sukienkę w kwiaty, rude włosy upięła w luźny kok.

– Witajcie!

Na widok Percy'ego szeroko otwiera oczy. Przez chwilę się waha, zaraz jednak podchodzi do niego i obejmuje go serdecznie.

– A to niespodzianka!

– Witaj, Ophelio – mówi Percy cicho i dodaje coś szeptem, czego nie słyszę, bo w tej chwili znowu rozlega się dzwonek do drzwi.

– Pójdiesz ze mną? – zwracam się do Grahama, a gdy przytakuje, mówię do pozostałych: – Częstujcie się przekąskami, zaraz wracamy.

Wracamy przez oranżerię do drzwi wejściowych. Zanim je otwieram, Graham chwyta mnie za rękę. Posyłam mu pytające spojrzenie. Pochyliła się i czule mnie całuje. Odruchowo zamykam oczy i wtulam się w niego. Nasze ciała dosłownie zlewają się w jedno. Po chwili odrywa się ode mnie i patrzy mi w oczy z leciutkim uśmiechem na ustach.

– Za co to było? – pytam ochryple.

Potrząsa głową.

– Tak po prostu.

To zwykłe słowa, a jednak moje serce robi salto. Dawniej nie mogliśmy zrobić niczego tak po prostu.

Ale teraz cały świat stoi przed nami otworem.

Ponownie wspinam się na palce, żeby go pocałować. Dzwonek rozlega się znowu. Graham śmieje się cicho, a ja, jak przyłapana na gorącym uczynku, mrużę oczy i w końcu otwieram drzwi.

W pierwszej chwili widzę tylko gigantyczny prezent – różowego misia. Kokarda na jego szyi jest chyba dwukrotnie większa niż moja głowa. Przesuwa się w lewo i wtedy dostrzegam twarz Alistaira. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Przesyłka dla Lydii Beaufort.

Kesh u jego boku śmieje się cicho. Opuszczam wzrok i widzę, że trzymają się za ręce. Zdumiona, przełykam ślinę. Mam chyba wypisane na twarzy pytanie, ale Kesh uśmiecha się tylko i przekracza próg. Obejmuje mnie serdecznie.

– Dzięki za zaproszenie, Lydia – mówi tym swoim mrocznym głosem.

Odrywa się ode mnie i podaje rękę Grahamowi. Alistair tymczasem usiłuje zmieścić się w drzwiach z gigantycznym misiem, a gdy mu się to w końcu udaje,

rzuca go na ziemię i z komiczną przesadą ociera pot z czoła, jakby miał za sobą wyczerpujący trening. Potem obejmuje mnie, jeszcze mocniej niż Kesh.

Wyciąga rękę do Grahama.

– Dzień dobry, panie profesorze.

– Graham, proszę – reaguje natychmiast mój ukochany.

Alistair kiwa głową.

– Jasna sprawa. – Ciekawie rozgląda się po domu Ophelii. – Nie mogłem się doczekać, co tu się będzie dzisiaj działo. Jeszcze nigdy nie byłem na baby shower. Prezenty rozpakowuje się od razu, czy...?

– Chciałoby się! – prychnam.

– Ophelia wszystko zaplanowała co do minuty – wyjaśnia Graham z uśmiechem. – Na prezenty przyjdzie czas po jedzeniu. Choć jeśli o mnie chodzi, możemy zacząć od razu. Bo to wygląda bardzo ciekawie – Wskazuje prezent Alistaira. Chcę przyciągnąć misia do siebie, żeby dokładniej go obejrzeć, ale Alistair błyskawicznie podrywa go z podłogi.

– Nie ma mowy – słyszę jego stłumiony głos zza pluszaka.

– Chyba właśnie dotarli Wren i Cyril – zauważa Kesh. Wygląda na zewnątrz, gdzie przed chwilą zatrzymał się wiekowy samochód.

– Dlaczego nie przyjechaliście wszyscy razem? – pytam zdumiona.

– Wren chciał przetestować swojego grata. A we czterech nie zmieścilibyśmy się w nim za żadne skarby – odpowiada Kesh.

– A już na pewno nie z tym. – Graham wskazuje prezent.

– Czy mi się zdaje, czy czuję ciasto? Jezu, chyba naprawdę czuję ciasto. – Alistair wychyla się zza pluszaka.

Z trudem powstrzymuję śmiech.

– Idźcie już. Znasz drogę, prawda?

Alistair kiwa głową. Razem z Keshem idą korytarzem, a moje serce fika z radości, gdy widzę, jak Kesh kładzie mu dłoń na plecach i głaszczce leciutko. Wiedziałam co prawda, że się przyjaźnią, ale nie spodziewałam się, że pewnego dnia zostaną parą, a na to właśnie wygląda. Przesuwam wzrok na Grahama, który także ich obserwuje, a potem uśmiecha się do mnie.

– Podobno jest tu jakaś impreza? – pyta Wren. Odwracam się i widzę, jak razem z Cyrilem podchodzą do drzwi wejściowych. Podobnie jak Kesh i Alistair mają na sobie koszule. Zastanawiam się, czy się umówili.

Kiedy patrzę na Cyrila, serce podchodzi mi do gardła. To zawsze dziwne uczucie, po kłótni stanąć ze sobą twarzą w twarz. Nie mieliśmy kontaktu od tamtej telefonicznej rozmowy i nie wiem teraz, jak się wobec niego zachować.



– Podobno tak – odpowiadam odrobinę za późno i odwzajemniam uścisk Wrena, gdy przyciąga mnie do siebie.

– O rany – sapie. Przesuwa okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i patrzy na mój brzuch. – Wydawało mi się, że nie widzieliśmy się trochę krócej.

– Dobrze się maskowałam.

– Właśnie widzę – mruczy. Zagląda w głąb domu. – Wszyscy już są?

– Tak, w ogrodzie.

Kiwa głową i sam rusza korytarzem.

A my zostajemy we trójkę. Zapada niezręczna cisza.

– Cześć – mówi w końcu Cyril ochryple. Podobnie jak Wren ma na nosie okulary słoneczne, więc nie widzę jego oczu.

– Cześć – odpowiadam. – Fajnie, że wpadłeś.

Cyril przełyka ślinę i zmusza się do uśmiechu.

– Dzięki za zaproszenie. – W końcu zdejmuje okulary i wsuwa je do kieszeni koszuli.

Cyril i Graham stoją naprzeciwko siebie z zaciśniętymi ustami. Atmosfera jest tak napięta, że odruchowo wstrzymuję powietrze.

W końcu Cyril chrząka.

– Panie profesorze, chciałem...

I znowu milczenie.

Słyszę, jak Graham głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Graham, Cyril – mówię.

Mija jedna sekunda, druga. W końcu Cyril kiwa głową.

– Dobrze – odpowiada. – Graham.

Robię krok do przodu, żeby – tak jak pozostałych – powitać Cyrila uściskiem. Wydaje się zaskoczony, w pierwszej chwili nie reaguje, dopiero po kilku sekundach przyciąga mnie do siebie – powoli, nieśmiało, jakby się bał, że mnie spłoszy, jeżeli obejmie za mocno. Jest tak bardzo znajomy. W tej chwili to chłopak, którego znam całe życie i na którego mogłam liczyć, ilekroć go potrzebowałam.

– Między nami w porządku? – pyta i odsuwa się odrobinę. Przygląda mi się badawczo, widzę w jego oczach ten sam niepokój i rozdarcie, które i ja odczuwam.

– Jeszcze nie – odpowiadam szczerze. W jego oczach pojawia się mroczny błysk. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zapewne, że może sobie iść, jeżeli tego chce, ale nie dopuszczam go do słowa. – Ale kiedyś będzie. Na pewno.

Z tymi słowami zamykam za nim drzwi i razem z Grahamem prowadzę do

ogrodu.

## Ember

Jesteśmy tu zaledwie godzinę, a już mogę z całą pewnością powiedzieć, że uwielbiam Ophelię Beaufort. I to nie tylko dlatego, że dekoracje na baby shower są tak kolorowe, że człowiek po prostu nie może się smucić, lecz przede wszystkim dlatego, że ciotka Lydii jest po prostu super.

Należy do tych gospodyń, które sprawiają, że każdy od razu dobrze się czuje w ich domu, nawet jeżeli nigdy wcześniej tam nie był. Wystarczył kwadrans, by wcisnęła mi w rękę bezalkoholowy drink i rozmawiała ze mną i Ruby o planach na przyszłość. Przyznała, że czyta mój blog i śledzi komentarze pod każdym wpisem. W tej sytuacji nie mogłam jej nie polubić.

Niestety moja euforia nie trwa długo, bo wkrótce do ogrodu wchodzi Wren. Pozostali witają się z nim serdecznie, ja tymczasem odwracam się do Lin i wciągam ją w rozmowę o galerii jej mamy. Nie mogłam na niego patrzeć.

Wiedziałam, że dzisiaj nie będzie łatwo. Boli, że straciłam go jako przyjaciela, i nawet jeżeli obiecałam sobie, że nie dam po sobie niczego poznać, w pierwszej chwili głęboki ucisk w klatce piersiowej jest zbyt dotkliwy, i muszę poprosić Lin, żeby powtórzyła, co powiedziała, bo nic do mnie nie dotarło.

Później staram się ignorować jego obecność i nie kulić w sobie, ilekroć się śmieje. Cieszę się, gdy w pewnym momencie podchodzi do mnie Ophelia, bierze za rękę i prowadzi do wielkiego płótna rozpiętego w dalszej części ogrodu.

– Jakie to słodkie – mówię, widząc, co na nim namalowano: dwa małe żółwiki, ucepięte pęku balonów wzbijających się ku niebu. – To twoje dzieło?

Ophelia kiwa głową. Jest przy tym tak dumna, że chce mi się śmiać.

– Znalazłam wzór na Pinterescie.

Zerkam na paletę na drewnianym stoliku koło płótna.

– Co mam robić?

– To są farby do malowania rękami – tłumaczy. – Wypełniasz kolorami balony i skorupy żółwików, o tak.

Pod jej czujnym okiem zanurzam kciuk najpierw w zielonej, a potem żółtej

farbie i odciskuję na szorstkim płótnie. Ostre światło słoneczne odbija się od jasnego płótna, oślepia mnie, aż oczy zachodzą mi łzami, ale sądząc po entuzjastycznych komentarzach Ophelii, świetnie się spisałam.

– Fantastycznie, Ember. Masz talent! – Uśmiecha się promiennie. Intryguje mnie, jak może to stwierdzić po kilku odciskach kciuka, ale i tak się cieszę.

– Też już malowałaś? – Patrzę na kilka balonów wypełnionych kolorem.

– Tak, mój jest ten – odpowiada.

– Z brokatem! Skąd miałaś brokat? Nigdzie go nie widzę. – Rozglądam się.

– Ho, ho, ty masz naprawdę dobry gust. – Ophelia uśmiecha się od ucha do ucha. – Lydia powiedziała, że mam z nim nie przesadzać, więc zabrałam brokat, ale jeżeli chcesz, zaraz go przyniosę.

Potrząsam głową.

– Nie, nie trzeba. Ale miałaś superpomysł z tym obrazem.

– Od czterech tygodni nie robiłam nic innego poza szukaniem inspiracji na baby shower. I tak musiałam się ograniczyć, bo ogród pękłby w szwach. Zresztą chyba to widzisz... – Zatacza ręką łuk. – Hej, Percy, ty też musisz coś namalować! – woła nagle.

Szofer, który kilkanaście metrów od nas nalewa sobie właśnie grejpfrutową lemoniadę, sztywnieje gwałtownie.

– Ja... No cóż. Naprawdę tak pani uważa?

Ophelia zbywa jego opory machnięciem ręki.

Percy jeszcze raz tęsknie spogląda na bufet, a potem z westchnieniem podchodzi do nas.

Słyszałam, jak mama się nim zachwycała, i muszę przyznać, że wiem już dlaczego. Jest naprawdę bardzo sympatyczny, ma niski głos i ciepły uśmiech. Bardzo mnie bawi, że tak oficjalnie zwraca się do Ophelii, Lydii i Jamesa nawet w morzu kolorowych balonów.

– Weź żółty – mówi Ophelia.

– Dlaczego akurat żółty?

– Bo to słoneczny kolor, a to ma być pogodny obraz.

Ich wzajemny stosunek, luz, z jakim Ophelia podaje mu farby, jego uśmiech, już nie taki formalny, bardziej serdeczny, zdradzają, że znają się od bardzo dawna.

Percy bierze żółtą farbę, macza w niej kciuk i odciskuje na płótnie. Jego ma o wiele większą średnicę niż mój.

– Jakim cudem udało wam się nakłonić Percy'ego do malowania? – nagle słyszę za sobą głos Jamesa.

Odwracam się.

– Dobrze sobie radzi, nie u...?

Słowa stają mi w gardle. Spinam się.

Obok Jamesa stoi Wren i intensywnie się we mnie wpatruje. Wygląda, jakby chciał coś do mnie powiedzieć.

Nie jestem na to gotowa.

Kiedy rozchyła usta, reaguję instynktownie: mamrocę coś pod nosem, odwracam się na pięcie i uciekam w kierunku domu.

Przebiegam przez ogród zimowy i idę wąskim korytarzem do łazienki dla gości. Zamykam za sobą drzwi, oddycham głęboko i rozpaczliwie staram się opanować rozszalałe bicie serca. Podchodzę do umywalki, wsuwam dłonie i nadgarstki pod zimną wodę, przemywam też szyję.

Długo wpatruję się w żółto-brązowe kafelki, gdzieś tam ozdobione wizerunkami psów. Ophelia ma przedziwny, ale zarazem uroczy gust, który coś we mnie porusza. Może to wina pyłków na zewnątrz, może kafelków z psami, a może, choć to bardzo mało prawdopodobne, to wina Wrena, że nagle oczy zachodzą mi łzami.

Ze wszystkich sił staram się opanować i wziąć w garść. To ma być piękny dzień. Nie pozwolę, żeby obecność Wrena mi go zepsuła. Sprawdzam, czy nie rozmazałam sobie makijażu, jeszcze raz myję ręce i otwieram drzwi.

Skrećam w prawo... I niemal na kogoś wpadam.

– Tu jesteś – mówi Wren.

Wpatruję się w niego. Mówi do mnie, jakbym była jego towarzyszką, której szukał i wreszcie znalazł. Jakbyśmy przyjechali razem.

Co za cholerna bzdura.

Cofam się o krok.

– Czego chcesz? – pytam.

– Porozmawiać z tobą, jeżeli masz chwilę – odpowiada.

Nie jestem w stanie uciec przed jego spojrzeniem, a wydawało mi się, że to ja rozdaję karty. Najwyraźniej to także sobie wmówiłam.

– Nie wiem – mówię bezradnie. Rozglądam się, sprawdzam, czy nikt nas nie podsłucha. Nie mam pojęcia, co powiedziałabym Ruby, gdyby przyłapała mnie z Wrenem w ciemnym korytarzu. Jak wytłumaczyłabym jej, że to przez niego ostatnio rzadko bywam w domu i poszłam na węgry. Że chciałam być z nim, bo obudził we mnie coś, czego jeszcze nigdy nie czułam.

Nie sądzę, żeby mnie zrozumiała. Zwłaszcza że ja sama siebie nie rozumiem.

– Naprawdę musimy porozmawiać. Tak dalej być nie może.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiadam cicho.

Wren kuli się niemal niezauważalnie. Na jego twarzy pojawia się nowy, jakby bezbronny wyraz.

– Ember, muszę ci coś powiedzieć – szepcze po chwili.

Wszystkie złe myśli, które gnębiły mnie po tamtym spotkaniu przed moją szkołą, wracają z pełną siłą.

*Nie jesteś wystarczająco dobra. Znowu wylądowałaś w określonej szufladce, jak zawsze, gdy poznajesz nowych ludzi.*

– Jeżeli wcześniej karmiłeś mnie kłamstwami, nie wiem, czy teraz chcę poznać prawdę – mówię gorzko, złośliwie, zupełnie nie jak ja. Zastanawiam się, jak on to robi. Jakim cudem budzi we mnie takie myśli, choć tak bardzo się staram, by w moim życiu były same pozytywy? Nie mogę przegrać tej walki. Po prostu nie mogę.

Wren robi krok w moją stronę. Teraz dzieli nas już tylko pół metra.

– Skłamałem, kiedy powiedziałem, że jesteśmy przyjaciółmi, Ember.

Przeszywa mnie dotkliwy ból.

Wiedziałam.

Wiedziałam już wtedy, gdy zagadnął mnie po raz pierwszy. Jestem na siebie wściekła za idiotyczną ciekawość, która ciągle każe mi lgnąć do nowych ludzi.

Wzbiera we mnie burza, chce mnie porwać, ale opieram się ze wszystkich sił.

– Wiesz co? Nie muszę tego słuchać – cedzę przez zaciśnięte zęby. Chcę go wyminąć. – Przepuść mnie, proszę.

– Ember – mówi z przejęciem.

Uparcie nie patrzę mu w twarz, wbijam wzrok w jego klatkę piersiową.

– Nie zrozumiałaś mnie – ciągnie cicho, ale z tą samą intensywnością. – Ja nie chcę być tylko twoim przyjacielem. Chcę być... kimś więcej.

Myśli w mojej głowie milkną gwałtownie.

Ponoszę na niego oczy, ale nie jestem w stanie wykrztusić choćby słowa.

Wren odchrząkuje i głęboko nabiera powietrza w płuca.

– Podczas naszego pierwszego spotkania chciałem się tylko zabawić. Ale potem poznałem cię lepiej i odkryłem, że jesteś wspaniałą osobą. Zacząłem za tobą tęsknić, choć przecież byliśmy w ciągłym kontakcie. Cieszyłem się na każde spotkanie. Zawsze mogłem na ciebie liczyć, chociaż niewiele dawałem w zamian, i stopniowo coś sobie uświadamiam. – W miarę jak mówi, chrypnie coraz bardziej, musi znowu odchrząknąć, żeby kontynuować. – Lubię cię, Ember. Nawet więcej niż lubię. Chyba tracę dla ciebie głowę.

Mam w uszach jedynie szum i jego słowa. Staram się je zrozumieć, ogarnąć,

co się dzieje, ale to mnie przerasta.

Ciągle tylko patrzę na niego w milczeniu.

– Zdaję sobie sprawę, że pod tym względem nie jesteś mną zainteresowana.

Wiem także...

To wyrywa mnie z odrętwienia.

– Kto tak mówi? – Nie daję mu dokończyć.

Otwiera usta i znowu je zamyka.

– Ale kto co mówi?

– Że pod tym względem nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Kto tak powiedział?

– Ty. Podczas naszego pierwszego spotkania w Maxton Hall. Dałaś mi bardzo jasno do zrozumienia, co o mnie sądzisz. I ja to szanuję.

– Chodzi ci o tamten wieczór, gdy po mniej więcej dwóch sekundach znajomości chciałeś mnie pocałować, chociaż byłeś już lekko wstawiony? – pytam z niedowierzaniem.

Wren z trudem przełyka ślinę.

– Tak.

– W ogóle cię wtedy nie znałam! Posłuchaj, ja potrzebuję czasu, żeby komuś zaufać, a co dopiero żeby się całować.

W pierwszej chwili Wren nie odpowiada, potem tylko wzdycha cicho.

Czuję, jak moje serce szamocze się w klatce piersiowej. Ta chwila jest tak intensywna, że kręci mi się w głowie.

– Dlaczego właściwie nie chciałeś, żebym była na twojej parapetówce? – pytam cicho.

Wren drapie się w kark.

– Bałem się. Bałem się reakcji swoich przyjaciół, kiedy po raz pierwszy znajdą się w naszym nowym domu. Bałem się reakcji Ruby i Jamesa, kiedy się dowiedzą, że się spotykamy. W pewnym sensie bałem się także swoich własnych uczuć. W tym momencie wszystko zważyło mi się na głowę.

– A ja sądziłam, że nie chcesz pokazać się przyjaciołom w moim towarzystwie, i to bardzo zabolowało.

Wren energicznie zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, to nie tak. Absolutnie nie tak, Ember. Chodziło o... Nie byłem gotowy.

– Gdybym o tym wiedziała, nie zareagowałabym tak gwałtownie.

– Powinienem był ci wszystko powiedzieć – wyznaje. – Panicznie się bałem, że zrobię przy tobie coś nie tak i cię spłoszę... Zresztą sam nie wiem. Ale za żadne skarby nie chcę, żeby to był koniec. Jesteś dla mnie zbyt ważna.

– Ty też jesteś dla mnie ważny, Wren. Tylko dlatego tak cierpiałam – szepczę.  
– Tak?

Lekko kiwam głową.

I wtedy stopniowo na jego twarz powraca uśmiech, ten beztroski, krzywy uśmieszek, który zauważyłam już podczas naszego pierwszego spotkania. Z czasem zaczął mi się bardzo podobać.

A teraz, gdy tak długo go nie widziałam, sprawia, że od stóp do głów przeszywa mnie dreszcz.

– I co teraz, supergirl? – pyta cicho.

Stoi rozluźniony, ale w brązowych oczach maluje się niepewność.

– Nie wiem – odpowiadam i naprawdę tak jest. Nie wiem, jak uporać się z tym wszystkim, co od niego usłyszałam. Serce wali mi jak szalone, motyle w brzuchu podrywają się do lotu.

– Powiedz mi, czego chcesz, Ember – prosi. – Czy dalej mamy być tylko przyjaciółmi? Czy możemy być kimś więcej? Czy chcesz, żebym zszedł ci z drogi, żebyś mogła wrócić do pozostałych do ogrodu?

*Czy możemy być kimś więcej?*

Co prawda nie bardzo wiem, co to ma oznaczać, co to znaczy dla mnie, ale chyba właśnie tego chcę.

– Nie musisz schodzić mi z drogi, Wren – mówię stanowczo.

Oddycha z ulgą.

– Nie?

Powoli zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie.

I znowu ten uśmiech. Tym razem odwzajemniam go nieśmiało.

– Mogę cię przytulić, Ember? – pyta cicho.

Nie odpowiadam, robię krok w przód i obejmuję go w pasie. Czuję jego dłonie na plecach – najpierw delikatny, potem mocniejszy dotyk. Zamykam oczy i staram się wyjątkowo nie myśleć, tylko rozkoszować się chwilą.

Jeszcze kilka godzin temu chciałam go na zawsze wykreślić ze swojego życia. Teraz tuli mnie i muszę przyznać, że to jedna z piękniejszych rzeczy, które mnie spotkały w ostatnim czasie.

Nie straciłam go, myślę, gdy muska dłonią moją łopatkę. Czuję przy sobie szybkie bicie jego serca, które stopniowo zwalnia, podobnie jak moje.

Jakbyśmy byli sobie potrzebni, by odzyskać spokój.

– Wren – rozlega się nagle oburzony głos. – Możesz mi łaskawie wyjaśnić, co ty właściwie wyprawiasz z moją siostrą?



## Ruby

Nie wierzę własnym oczom.

Na środku korytarza w domu Ophelii stoją przytuleni do siebie Ember i Wren.

Wydają się sobie bardzo bliscy, od razu widać, że to nie jest pierwsza taka chwila między nimi.

Po moich słowach odskakują od siebie i patrzą na mnie, jakbym przyłapała ich na gorącym uczynku. Mina Ember sprawia, że w mojej głowie rozlega się dzwonek alarmowy. Kawałki układanki bardzo szybko trafiają na miejsce. Przypominają mi się minione tygodnie, gdy Ember zachowywała się dziwnie i robiła wielką tajemnicę z tego, jak i z kim spędza wolny czas.

Przypomina mi się także, że poszła na wagary, okłamywała przyjaciółkę i mnie, ciągle gapiała się w telefon i nie chciała ze mną rozmawiać, choć właściwie zawsze mówimy sobie wszystko.

A to wszystko dlatego.

To wszystko przez Wrena.

– Nie wierzę – wyduszam z siebie oburzona. – To przez niego ostatnio się tak dziwnie zachowujesz?

Ember zadziornie unosi głowę.

– To nie jest twoja sprawa.

Zaciskam zęby tak mocno, że nimi zgrzytam. Ember ma rację, to fakt. Nie musi się przede mną tłumaczyć, ale to jest Wren, do cholery!

– Nie obchodzi mnie, co i z kim robisz, pod warunkiem że robisz to z kimś porządnym!

– Do jasnej cholery, Ruby, przestań w końcu wszystkich osądzać! – odcina się.

– Ember... – zaczyna Wren uspokajająco, ona jednak ucisza go jednym ostrym gestem.

– Mam już po dziurki w nosie twojej nadopiekuńczości. Staje się nie do zniesienia.

Kulę się w sobie, słysząc takie słowa.

– Nie chciałam być nadopiekuńcza. Chcę tylko...

– ...jak najlepiej dla mnie? Siostry moich przyjaciółek zawsze zabierają je na imprezy, ale ty wygłaszasz mi kazania, z kim mogę się spotykać, a z kim nie. Ba, wybierasz, z kim mogę rozmawiać na imprezach w Maxton Hall, i przydzielasz mi opiekunkę. Zamiast rozkoszować się wspólnym czasem, który nam jeszcze pozostał, zanim się wyprowadzisz, traktujesz mnie z góry.

Czuję, jak cała krew odpływa mi z twarzy. Ember jeszcze nigdy tak do mnie nie mówiła. Coś we mnie wzbiera, coś potężnego, nie do powstrzymania.

– Cóż, bardzo mi przykro, że nie uważam kolesia, który na mojej pierwszej szkolnej imprezie potajemnie spoił mnie alkoholem, a potem pijaną wykorzystał, za wystarczająco dobrego dla swojej siostry!

Ember szeroko otwiera oczy. Wodzi wzrokiem między mną a Wrenem. A potem potrząsa głową.

– Nie zrobiłeś tego – mówi do Wrena, zupełnie bezbronna.

Wren jednocześnie zaprzecza i potwierdza ruchem głowy. Rozkłada ręce.

– To było lata temu. Wtedy... Już ją przeprosiłem.

Twarz Ember robi się czerwona.

– Nie wierzę!

– Byłem idiotą, okej? Teraz nie zrobiłbym czegoś takiego.

Ember prychna pogardliwie.

– Jasne. A właściwie dlaczego spiłeś moją siostrę, że tak zapytam? Dla zabawy? Żeby zrobić z nią to samo, czego próbowałeś ze mną?

– Czego z tobą próbowałem? – wtrącam się i robię krok w przód. Jestem gotowa odepchnąć Wrena, a nawet go uderzyć, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Ruby, nie będę cię w kółko przeproszał. Naprawdę mi przykro, że wtedy to zrobiłem, ale wydawało mi się, że już to sobie wyjaśniliśmy. Ember – patrzy przenikliwym wzrokiem na moją siostrę – wszystko, co ci przed chwilą wyznałem, to prawda. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Przygląda mu się bardzo długo, a potem potrząsa głową.

– W tej chwili nic już nie wiem.

Głowię się, co takiego mógł jej powiedzieć, ona tymczasem odwraca się i oddala korytarzem. Wybiega na zewnątrz, nie zaszczycając nas nawet jednym spojrzeniem. Robi mi się niedobrze, zastanawiam się, czy przypadkiem nie popełniłam wielkiego błędu.

– Zraniłaś ją – mówi nagle Wren. Odwracam się gwałtownie i patrzę na niego groźnie.

– Ja do tego nie byłam potrzebna, sam doskonale dałeś sobie radę. Co jej właściwie zrobiłeś?

– Ja? Nic. Wyjaśniliśmy sobie wszystko i jest dokładnie tak, jak powiedziała to naprawdę nie jest twoja sprawa. Przestań starać się kontrolować coś, co ciebie w ogóle nie dotyczy.

– Chcę ją chronić! – odkrzykuję. – Gdybyś miał kogoś, na kim zależałoby ci tak samo, jak mnie na niej, wiedziałbyś, jakie to uczucie.

Wren już otwiera usta, żeby mi odpowiedzieć, ale ktoś inny nie dopuszcza go do głosu.

– Hej! – Odwracam się i dostrzegam Alistaira w progu. Jest blady, loki rozsypują mu się niesfornie. – Jak widzę, jesteście w tej chwili zajęci skakaniem sobie do gardeł. Niestety, mamy poważniejszy problem.

– To znaczy? – Wren uprzedza moje pytanie.

Alistair z trudem przełyka ślinę.

– Jest tu Mortimer Beaufort.

## James

Na widok ojca robi mi się zimno. Odruchowo przesuwam wzrok na Lydię, która razem z Lin zaśmiewa się do rozpuku. Za wszelką cenę chcę oszczędzić jej widoku ojca. Niech ten dzień będzie dla niej pięknym wspomnieniem.

Niestety wszedł prosto do ogrodu, nie zadzwonił do drzwi. Kiedy moja siostra go dostrzega, serce staje mi w gardle. Natychmiast przestaje się śmiać, w ciągu kilku sekund cała krew odpływa jej z twarzy.

Już mam ruszyć w jej stronę, gdy widzę, jak Graham idzie przez trawnik w kierunku ojca. Zatrzymuje się tuż przed nim.

– Nie jest tu pan mile widziany – oznajmia ostro.

Ojciec drwiąco unosi brew.

– A pan nie ma nic do powiedzenia.

– To jest nasze przyjęcie. O ile dobrze pamiętam, nie został pan zaproszony. Nie zepsuje pan Lydii tego dnia. – Sutton obstaje przy swoim. Wygląda, jakby miał ochotę złapać ojca za poły marynarki i własnymi rękami wyrzucić z ogrodu.

Odwracam się do Lydii. Wielkimi oczami wpatruje się w ojca i Grahama, a potem odnajduje moje spojrzenie.

Zrób coś, błaga mnie wzrokiem. Proszę.

Bez namysłu odstawiam talerz, na który nałożyłem sobie jedzenie z bufetu, i podchodzę do ojca.

– Co tu robisz? – pytam.

Ojciec się nie śpieszy, leniwie rozgląda się po ogrodzie, patrzy na balony, papierowe kwiaty, płótno z odciskami palców i wreszcie na bufet. Na jego wargach błąka się drwiący uśmieszek, który sprawia, że krew szybciej krąży mi w żyłach.

– Chcę z tobą porozmawiać – mówi tak cicho, że tylko ja go słyszę. W ogrodzie zapadła cisza jak makiem zasiał. Jakby wszyscy wstrzymali powietrze i czekali, co się wydarzy. – Nie odpisujesz mi na wiadomości.

– Skąd pomysł, że w ogóle chcę z tobą rozmawiać? – pytam chłodno.

W jego oczach rozbłyska coś, co znam aż za dobrze. Niepohamowana złość, która za każdym razem sprawiała, że podnosił na mnie rękę. Co prawda obiecałem sobie, że nigdy więcej nikogo nie uderzę, co nie oznacza jednak, że nie będę się bronił, gdyby tego spróbował.

– Chodźmy. Graham ma rację, nie popsujesz Lydii tego dnia. – Wskazuję dom. Odwracam się i idę przodem, nie patrząc, czy ruszył za mną. Kątem oka widzę, że Ophelia wstaje i podchodzi do nas.

– Mortimer – zaczyna, gdy wchodzimy do ogrodu zimowego. – Musiałeś nas odwiedzić akurat dzisiaj?

Ojciec nie zaszczycą jej nawet spojrzeniem.

– To sprawa między mną a moim synem – mówi, mija ją obojętnie i wchodzi do domu. – Trzymaj się od tego z daleka.

– Zrobiłeś z tego moją sprawę, gdy przysłałeś swoją córkę do mojego domu – zauważa Ophelia lodowatym tonem, którego nigdy u niej nie słyszałem.

Widzę, jak ojciec się spina. Odwraca się do niej powoli.

Właśnie w tej chwili do ogrodu zimowego wkraczają Ruby, Wren i Alistair. Zatrzymują się gwałtownie, z wyrazem troski na twarzach, gdy widzą napiętą sytuację.

– W porządku, Ophelio – mówię.

Muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby ojciec wyniósł się stąd jak najszybciej, żeby nie zbliżał się ani do Lydii, ani do Ruby. Na to nie pozwolę.

– Chodźmy do jadalni – proponuję.

Idzie za mną, gdy wychodzę z ogrodu zimowego. W jadalni zamykam za nami drzwi. Powoli odwracam się do niego. W ciągu ostatnich tygodni tak bardzo koncentrowałem się na swoich uczuciach, że teraz z łatwością może wyczytać je z mojej twarzy.

– Co może być tak ważne, że zjawiasz się akurat w dniu baby shower Lydii? – pytam, siląc się na spokój w głosie.

– Nie przypuszczałem, że w dzisiejszych czasach ciąża licealistki to powód do dumy. Poza tym nikt mnie nie informuje o jej planach.

– Oczywiście, bo zjawiłbyś się, gdyby cię zaprosiła.

W przeciwieństwie do mojej maska na twarzy ojca nawet nie drgnie. Z jego spojrzenia nie da się niczego wyczytać. Wiem, że nie doczekam się odpowiedzi na złośliwość, bo ojciec nigdy nie daje się sprowokować, gdy coś wydaje mu się poniżej jego godności.

– Czego chcesz, tato? – pytam z wymuszonym spokojem.

Wzrusza ramionami. Choć to sobota, a słońce grzeje o wiele bardziej, niż to zwykle bywa w maju, ma na sobie trzyczęściowy czarny garnitur, koszulę i krawat. Jest jak zawsze idealnym biznesmenem.

– Traktowałem twoją rezygnację z miejsca w zarządzie Beauforta jako dziecinny bunt – zaczyna. – Ale od tego czasu minęło już pięć tygodni.

– No i? – rzucam.

Kąciki jego ust unoszą się ledwie zauważalnie.

– Zastanawiam się, kiedy do ciebie dotrze, że nigdy nie uda ci się sprzedać swoich udziałów w firmie.

Włosy na karku stają mi dęba.

– Zgodnie z prawem muszę znaleźć odpowiedniego kupca i przedstawić go zarządowi.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się przekonać zarząd do sprzedaży udziałów Fionie Green?

Moje serce na chwilę przestaje bić. Czuję, jak nagle zasycha mi w gardle, a ojciec cały czas świdruje mnie wzrokiem. W jego oczach pojawia się błysk.

Nieważne skąd, ale wie o moich pertraktacjach z Fioną. Wie o moich planach. Wie, że wizje Fiony zmian w ofercie pokrywają się z wizjami mamy. W tym momencie ogarnia mnie straszliwe przeczucie.

Z trudem przełykam ślinę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chyba wiesz.

Przyglądam mu się z niedowierzaniem. Kiedy padają te słowa, moje nadzieje, że wkrótce całkowicie uwolnię się od Beauforta, i przekonanie, że przekażę dziedzictwo mamy w dobre ręce, całkowicie nikną. Stać mnie tylko na gorzki śmiech.

– Powinienem był się tego spodziewać.

– Powinieneś był wiedzieć, na co się porywasz.

Potrząsam głową i patrzę mu w oczy.

– Jesteś naprawdę niesamowity.

Zaciska zęby.

– Staram się uratować schedę naszej rodziny, podczas gdy ty robisz wszystko, by ją zaprzepaścić.

– To nie jest scheda naszej rodziny, tylko rodziny mamy. I Ophelii – zauważam. – I niczego nie niszczę. Nie chcę mieć z tą firmą nic wspólnego. Nie rozumiesz tego?

– Przecież jeszcze nawet nie spróbowałeś. – Uśmiecha się gorzko. – Przeciwnie, ledwie zrobiło się gorąco, wzięłeś nogi za pas.

– Mało brakowało, a zrujnowałbyś przyszłość mojej dziewczyny. Chciałeś przekupić mężczyznę, którego Lydia kocha, żeby zniknął z jej życia. Jeżeli naprawdę sądzisz, że po tym wszystkim mogę patrzeć ci w oczy bez mdłości, to... – Potrząsam głową. – Sam już nie wiem, co powiedzieć.

Ojciec przygląda mi się w milczeniu, nie okazując emocji.

Mijają kolejne sekundy, aż dłużej nie mogę wytrzymać tej ciszy.

– Po co tu przyjechałeś? – pytam kolejny raz.

– Żeby ci powiedzieć, że oczekuję cię w poniedziałek o piętnastej na posiedzeniu zarządu. – Poprawia mankiety koszuli.

– Czy ty w ogóle słyszałeś, co mówiłem?

– Tak.

– A co, jeżeli nie przyjdę? Zmusisz mnie, żebym tam pracował?

Właściwie to pytanie retoryczne, ale ojcu nawet nie drgnie powieka.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz.

– Synu, chciałbym zakończyć ten rozdźwięk między nami – zaczyna. – Chciałbym, żebyśmy znowu pracowali ramię w ramię, w tej samej drużynie. Tak jak zaplanowaliśmy to z Cordelią.

Kiedy słyszę imię mamy w jego ustach, robi mi się niedobrze.

– Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę sądzisz, że kiedykolwiek się pogodzimy.

– James – zaczyna ojciec, ja jednak tylko kręcę głową.

– Nie, tato. Nie wrócę do Beauforta. Nigdy.

Przez chwilę w pokoju panuje cisza jak makiem zasiał. Patrzymy na siebie; ojciec ponuro, ja zdecydowanie.

A potem sięga do kieszeni marynarki i wyjmuję komórkę.

– Nie dajesz mi wyboru.

Zbiera mi się na mdłości.

– Co masz na myśli?

Nie zwraca na mnie uwagi. Pisz szybko.

– Co ty robisz? – pytam; słyszę lęk w swoim głosie.

Ojciec podnosi na mnie wzrok. Chociaż jesteśmy tego samego wzrostu, mam wrażenie, że patrzy na mnie z góry i lada chwila rozczarowany pokręci głową.

– Próbowałem po dobroci, ale ty z uporem maniaka odrzucasz przyszłość. I dlatego nie mam wyboru, muszę nakierować cię na właściwy tor.

Nie sposób nie usłyszeć groźby w jego słowach. Ja jednak nie dam się zastraszyć. Już nie.

Głęboko nabieram tchu.

– Nie musisz mnie naprowadzać na właściwy tor. Sam go znajdę. A skoro przyjechałeś tylko po to, żeby mi grozić, zamiast pogratulować córce ciąży i cieszyć się razem z jej przyjaciółmi, możesz już wracać i dać nam wszystkim święty spokój – mówię najspokojniej, jak potrafię.

Ojciec uśmiecha się pod nosem.

– Wiedziałeś, że Helen Bell prawie codziennie wynosi pieczywo z małej piekarenki, w której pracuje? Choć to właściwie zabronione?

Krew zastyga mi w żyłach.

– Tu pół ciasta, tam kilka bułeczek...

– Przecież to wszystko w innym wypadku wyląduje na śmietniku – zauważam cicho. – Ale w twoich ustach brzmi, jakby kradła.

Ojciec wzrusza ramionami.

– Ciekawe, czy jej nowy szef też tak to postrzega. Chcesz się przekonać?

Nie śmiem się poruszyć, choćby o milimetr.

– A higiena w restauracji, w której pracuje Angus Bell? Mój Boże, ręce opadają. Zaraz znajdę kilkanaście osób, które od razu potwierdzą, że po wizycie w tej restauracji cierpiały na zatrucie pokarmowe. Kiedy taka wieść się rozejdzie... – Wzrusza ramionami. – Przykra sprawa.

W jadalni nagle jakby zabrakło powietrza. Nie mam czym oddychać.

– Co zrobią państwo Bell, gdy oboje stracą źródło utrzymania?

– Tato...

Cmoka głośno.

– Do tego jeszcze twoja dziewczyna, Ruby. – Kiedy wypowiada jej imię, w jego głosie jest tyle pogardy, że najchętniej skoczyłbym mu do gardła. Jednak coś sprawia, że tkwię w miejscu, jakbym wrósł w podłogę. – Naprawdę sądzisz,

że ma szansę na Oksford? Nie, jeżeli w ostatniej chwili cofną stypendium, prawda?

Świat wokół mnie wiruje.

– Co jej wtedy pomoże? Na pewno nie referencje od nauczyciela, który pół roku później wyleciał ze szkoły, bo sypiał z uczennicą.

– Nie zrobiłbyś tego – szepczę.

– Czy ja kiedykolwiek rzucałem słowa na wiatr? – odpowiada.

Mój ojciec oszalał, przebiega mi przez myśl. Całkiem oszalał.

– Co takiego zrobili ci państwo Bell? – pytam.

Ojciec przechadza się po jadalni z rękami splecionymi na plecach. Przy oknie zatrzymuje się, wpatrzony w ogród.

– Mówiłem, że zrobię wszystko, byle ocalić reputację Beauforta.

– Zniszczyłbyś tę rodzinę?

Jeszcze długo stoi przy oknie, a potem odwraca się do mnie i mierzy wzrokiem.

– Wszystko w twoich rękach, James.

Kręci mi się w głowie. Czuję się jak na tej karuzeli, gdy stoisz, a wszystko zaczyna wirować, wznosząc się coraz wyżej.

Stopniowo wypełnia mnie pustka.

Szcześnie, którego zaznałem podczas minionych tygodni, nadzieja, na którą pozwoliłem sobie po raz pierwszy w życiu – to wszystko znika, aż nie ma już nic.

Poza świadomością, że przegrałem.

Czuję, jak na moją twarz wraca maska, jakby nigdy z niej nie spadła. A potem pytam bez cienia emocji:

– Co mam zrobić?



## Ruby

Po wyjściu Mortimera Beauforta miłą atmosferę szlag trafił.

James wraca do ogrodu, blady jak ściana, a kiedy patrzę mu w oczy, ogarnia mnie panika. Gdy pytamy, co się stało, zbywa nas machnięciem ręki, bierze talerz, który wcześniej napełnił jedzeniem, i podnosi widelec do ust.

Impreza szybko dobiega końca. Tak bardzo martwię się o Jamesa, że nawet nie zauważam, że Ember wsiada do samochodu z Wrenem. Ten przynajmniej ma dość przyzwoitości, by posłać mi niespokojne spojrzenie, ja jednak tylko kręcę głową i jednocześnie wzruszam ramionami.

Przynajmniej dzięki temu będę mogła spokojnie porozmawiać z Jamesem, którego zachowanie martwi mnie z każdą chwilą coraz bardziej.

Jedziemy w kierunku Gormsey już dobre pół godziny, gdy w końcu przysuwam się do niego i biorę go za rękę.

– Porozmawiaj ze mną – szepczę.

James, do tej pory wpatrzony w okno, odwraca głowę w moją stronę, a potem ujmuje moją twarz w dłonie i całuje.

Odrywa się ode mnie, ale cały czas dotyka mojej twarzy. Kiedy otwieram oczy, widzę, że jego ciagle są zamknięte.

– James...

Jego dłonie drżą.

– Tak mi przykro – mówi ochryple. – Tak bardzo mi przykro.

– Ale co? – pytam nerwowo i chwytam go za nadgarstki. W tej chwili chciałabym mieć go jak najbliżej siebie. – James, przerażasz mnie.

Oddycha niespokojnie. Panikuję, widząc, jak wpłynęło na niego jedno spotkanie z ojcem.

– Co się stało? – pytam, delikatnie głaszcząc kciukiem jego nadgarstek.

Przez kilka sekund rozkoszuje się moim dotykiem, a potem opada z powrotem na siedzenie. Ukrywa twarz w dłoniach.

– Ojciec... – Szuka właściwych słów. – Ojciec wygrał.

Za oknami przesuwają się rozmazane światła latarni, a jednak mam wrażenie, że czas stanął w miejscu.

– Słucham?

– W poniedziałek wracam do Beauforta. – Odchrząkuje cicho. – A dziś wieczorem do domu.

– Nie! – wyrywa mi się. – Nie, James. – Chcę wziąć go za rękę, ale on się odsuwa. Moje serce na chwilę przestaje bić. – Nieważne, co powiedział, znajdziemy wyjście z tej sytuacji – mówię z przejęciem.

– Stawka jest zbyt wysoka. Nie będę ryzykował.

Potrząsam głową.

– Ruby...

– Nie! Bez względu na to, czym ci groził, to nie jest warte twojej przyszłości.

Przez dłuższą chwilę przyglądamy się sobie w milczeniu, a potem James wzdycha głośno.

– Owszem, jest.

– Czym ci szantażuje? – pytam cichutko.

James zaprzecza ruchem głowy, ale nie daje się zbyć.

– Obiecaliśmy sobie. Koniec z tajemnicami.

– Ruby...

– Dałeś mi słowo!

– Zagroził, że zniszczy twoją rodzinę – mówi w końcu. – Nie tylko marzenia o Oksfordzie, ale wszystko, co jest dla was ważne.

Nagle nie mogę oddychać.

– Tyle dla mnie zrobiliście – ciągnie James. – Nie mogę na to pozwolić.

– My... – Głos odmawia mi posłuszeństwa, muszę odchrząknąć. – Znajdziemy wyjście. To mu się nie uda.

– Ruby, posłuchaj mnie...

– Ani myślę! Nie pozwolę, żebyś przekreślił twoje plany, James. Nasze plany.

– To nie jest twój wybór – mówi niemal boleśnie miękko. Gładzi kłykciami mój policzek.

Odsuwam się. Marszczę czoło.

– Jak możesz raz za razem pozwalać, żeby ci to robił? – pytam z niedowierzaniem.

James tylko zaciska usta.

– Nie waż się teraz milczeć – mówię. – Jesteśmy drużyną. Nie możesz... Nie możesz teraz po prostu odejść.

Głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Te chwile z tobą i twoją rodziną to najpiękniejszy okres w moim życiu. Tylko dzięki temu trzymałem się na nogach. Musisz mi uwierzyć – zaklina – ale nie mam wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór – przekonuję energicznie. – Nie pozwolę, żebyś dla mnie poświęcił swoją przyszłość.

Jego smutny uśmiech pozbawia mnie tchu. W tej chwili wiem, że nie zdołam go przekonać.

Już podjął decyzję.

Czuję pieczenie pod powiekami, mrugam nerwowo, bo nagle tracę ostrość widzenia.

– Czym ci zagroził? – pytam szeptem.

– Mam nadzieję... – zaczyna James ochryple. – Mam nadzieję, że pogodzisz się z moją decyzją i nie znienawidzisz mnie.

Potrząsam głową. Jego słowa trafiają mnie w samo serce. Chcę krzyczeć, tupać, zrobić coś, żeby pozbyć się poczucia bezradności, które mnie wypełnia. Zamiast tego siedzę nieruchomo i patrzę na niego.

Pojedyncza łza spływa mi po policzku. James ściera ją kciukiem.

– Nie mogłabym cię znienawidzić, James.

Przyciąga mnie do siebie i ukrywa twarz w moich włosach.

Kiedy półtorej godziny później docieramy do Gormsey, jestem fizycznie i psychicznie wyczerpana. Resztę jazdy spędziliśmy w milczeniu, wtuleni w siebie. Staralam się uspokoić, powtarzałam sobie, że go przecież nie stracę, ale trudno mi w to uwierzyć, gdy widzę pustkę w jego oczach. Mortimer Beaufort odebrał mu dzisiaj kawałek duszy i tym bardziej go nienawidzę. Nigdy nikogo nie darzyłam tak wielką niechęcią.

Ze łzami w oczach obserwuję, jak James wychodzi z salonu z torbą podrózną, żegna się z rodzicami, którzy patrzą na nas niespokojnie, przekonani, że się pokłóciliśmy. Dopiero kiedy Ember, która dotarła do domu nieco po nas, szepcze im do ucha, że na imprezie pojawił się ojciec Jamesa, mama bierze go w ramiona.

– Zawsze będziesz tu mile widziany – mówi.

James na chwilę zamyka oczy.

– Dziękuję – szepcze. A potem podaje ojcu rękę i rusza do drzwi.

Wychodzę z nim na zewnątrz, idę przez ogródek, aż do jego samochodu. Percy wrócił do rezydencji rolls-royce'em po tym, jak nas tu przywiózł. Teraz James otwiera bagażnik i wkłada do niego torbę.

A potem odwraca się do mnie.

– No dobra – szepcze.

– No dobra – odpowiadam.

James przygryza dolną wargę. Patrzy na mnie.

– Jutro napiszę.

Boję się, że zacznę płakać, jeżeli coś jeszcze powiem, więc tylko kiwam głową. James pochyla się i całuje mnie delikatnie. Chce się odsunąć, ale wtedy chwytam go za ramiona i przyciągam do siebie. Z jego ust wydobywa się odgłos zdumienia, ale nie przerywa pocałunku. Wplata palce w moje włosy i całuje mnie równie rozpaczliwie, jak ja jego.

Kiedy w końcu odrywamy się od siebie, oboje ciężko dyszymy. James czule odgarnia mi włosy z twarzy.

– Kocham cię – mówi cicho, odwraca się, otwiera drzwi od strony kierowcy i wsiada do samochodu.

Nieruchomo obserwuję, jak odjeżdża, jak znika za zakrętem. Serce mi pęka z żalu nad nim, nad sobą, nad nami.

– Ruby? – słyszę obok siebie cichy głos Ember.

Odwracam się. Stoi niezdecydowana przy furtce.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Już otwieram usta, żeby jej odpowiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żadne słowo, tylko szloch, który zaskakuje mnie tak samo, jak ją. Otwiera szeroko oczy i podbiega, by wziąć mnie w ramiona.

– Och, Ruby – mówi i głaszcze mnie po plecach, gdy daję upust łzom.

## James

Choć nie przekraczam dozwolonej prędkości, mam wrażenie, że domki Gormsey zdecydowanie za szybko przesuwiają się za szybą. Jednocześnie wydaje mi się, że spędziłem w samochodzie już całą wieczność, a przecież zaledwie najwyżej pięć minut temu wyjechałem spod domu państwa Bell.

*Wszystko w twoich rękach, James, słyszę ciągle w głowie słowa ojca. Wszystko w twoich rękach.*

Skoro wszystko w moich rękach, dlaczego czuję się taki bezradny? Dlaczego świat wiruje coraz szybciej, skąd ten nieznośny ucisk w mojej klatce piersiowej?

Oczy zachodzą mi łzami. Ocieram je rękawem koszuli, ale to nie pomaga. Zwalniam, zatrzymuję się na poboczu, gaszę silnik i opieram czoło

o kierownicę.

Głos ojca w mojej głowie przybiera na sile, aż nie mogę tego wytrzymać i mam ochotę zakryć sobie uszy dłońmi. To wszystko budzi we mnie ogromną złość. Nie znoszę tracić panowania nad sobą, jestem wściekły, że ojciec zmusił mnie do tego, abym odszedł od Ruby i jej rodziny.

Na oślep walę w kierownicę. Nie wytrzymam dłużej. Po prostu dłużej nie wytrzymam. Raz za razem uderzam pięścią, aż brakuje mi sił i ciężko opieram głowę o zagłówek. Zamykam oczy, oddycham głęboko, aż świat przestaje tak szaleńczo wirować. Odzyskuję także ostrość widzenia, choć pieczenie pod powiekami nie ustaje.

Wpatruję się w drogę i wyobrażam sobie, co będzie, gdy teraz wrócę do ojca, jak się wtedy poczuję.

Ponownie zapalam silnik. Automatycznie włączam się do ruchu, ale zanim się zorientuję, co robię, skręcam w lewo. Ta trasa nie wiadomo kiedy weszła mi w krew, mógłbym tędy jechać po omacku.

Parkuję tuż za samochodem Wrena i pokonuję krótki odcinek między furtką a domem Fitzgeraldów. Bez namysłu naciskam przycisk dzwonka.

Przez chwilę nic się nie dzieje, potem Wren otwiera drzwi. Na mój widok szeroko otwiera oczy. Marszczy czoło.

– Chcesz mnie opieprzyć za Ember? – pyta.

Słowa stają mi w gardle, gdy dociera do mnie, co powiedział.

– Niby dlaczego miałbym cię opieprzać za Ember?

– Bo to ona jest tą dziewczyną, o której ci opowiadałem. Ja... Myślałem, że Ruby cię nasłała. Widziała nas razem.

Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Mam w głowie setki pytań. Wren i Ember? Ciekawe, jak Ruby na to zareagowała.

Na myśl o Ruby przeszywa mnie dotkliwy ból, przypomina, dlaczego właściwie tu przyjechałem.

– Nie, nie chodzi o Ember.

Wren powoli kiwa głową.

– O twojego ojca?

Powtarzam jego gest.

– Oczekuje mnie w domu, ale jeszcze nie jestem w stanie tam jechać.

– Chcesz pogadać? – pyta cicho.

Zaprzeczam.

– Po prostu na razie nie mogę wrócić do domu.

Jeszcze nie skończyłem mówić, a Wren już odsuwa się od drzwi.

– Wchodź.

Przekraczam próg i razem z nim idę na piętro.

Za każdym razem, gdy tu jestem, czuję się coraz mniej obco. Stary dom Wrena był niejako moim drugim domem i zastanawiam się, czy tutaj też tak będzie.

– Siadaj. – Wren wskazuje swoje łóżko, a sam zajmuje miejsce przy biurku. Zerkam na monitor komputera. Od razu rozpoznaję charakterystyczną stronę tytułową, którą znam aż za dobrze, podobnie jak fotografię w prawym rogu. Wren błyskawicznie zamyka laptop, ale i tak jest za późno – wszędzie rozpoznałbym BellBird.

– Wren? – zaczynam.

Odwraca się do mnie.

– Tak?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Przez ostatnie tygodnie Ember stała mi się bliska jak siostra. Jeżeli ją skrzywdzisz, będziesz miał ze mną do czynienia. Wiesz o tym, prawda?

Kącik jego ust unosi się odrobinę, ale oczy pozostają poważne.

– Wiem. Choć, dla twojej wiadomości, nie mam wobec niej złych zamiarów.

Opuszczam wzrok, wbijam spojrzenie w dłonie.

– Czasami człowiek nie ma wyboru. Czasami inni zmuszają cię, byś kogoś zranił, choć wcale tego nie chcesz.

A potem zapada cisza. Zaciskam pięści i rozluźniam je. Myślę o Ruby i ojcu, wreszcie o mamie. Zastanawiam się, co by zrobiła, gdyby jeszcze żyła. Czy zrozumiałaby, że nie chcę mieć nic wspólnego z firmą? Czy pozwoliłaby, by ojciec groził rodzinie Ruby? Nie sądzę. Ale niestety nie ma jej, by go powstrzymać, a ja czuję się bezradny jak nigdy.

Wren wrywa mnie z zadumy, siada koło mnie. Podsuwa mi szklanekę pełną whisky, jedną z tych, które dostał od nas. Biorę ją z wdzięcznością i wpatruję się w brązowy płyn.

– Bez względu na to, co zaplanował twój ojciec, poradzisz sobie. My sobie poradzimy.

Kurczowo chwytam się tych słów, gdy stukamy się szklaneczkami.

## Ember

Nie wiem, ile mija czasu, zanim w końcu wypuszczam Ruby z objęć i razem

wracamy do domu. Unika odpowiedzi na pytania rodziców, zbywa ich, mówiąc, że jest zmęczona i musi się położyć. Ucieka do swojego pokoju i bez słowa rzuca się na łóżko. Ponieważ nie zamknęła za sobą drzwi, odbieram to jako zaproszenie.

Podchodzę do łóżka. Ruby siada, opiera się o wezglowie i patrzy na mnie. Odwzajemniam jej spojrzenie i czekam, aż pierwsza coś powie. Bardzo mnie zraniła swoim zachowaniem u ciotki Lydii i choć teraz nie chcę jej zostawić samej, nie mogę o tym zapomnieć.

– Przepraszam za tamten wybuch – zaczyna w końcu. Ciągle ma czerwone oczy, mówi ochryple, a przecież już od jakiegoś czasu nie płacze. – Ale ostatnie, czego się spodziewałam, to zobaczyć was razem. Od kiedy nie mówimy sobie takich rzeczy, Ember?

Głęboko nabieram tchu.

– Najpierw sama chciałam zrozumieć, co jest między mną a Wrenem, dopiero później komuś o tym powiedzieć. Poza tym doskonale wiedziałam, jak zareagujesz.

– Naprawdę myślałaś, że nie możesz mi ufać? Chcę dla ciebie jak najlepiej. Tylko tyle.

– Wiem.

– Przykro mi, że traktowałam cię z góry. Ja... – Wzrusza ramionami. – Chcę wiedzieć, co robisz w wolnym czasie. I chciałabym, żebyśmy sobie wszystko mówiły. Jak dawniej.

Nagle w gardle staje mi gula.

– Ja też.

– Nie chcę być starszą siostrą, z którą nie można porozmawiać, tylko trzeba się martwić, co sobie pomyśli. Tylko że... – Urywa na chwilę. – Z Wrenem to historia z przeszłości, która bardzo mnie... Nie wiem, kim jest dzisiaj, ale wtedy uważałam, że zachował się skandalicznie.

– Rozumiem – odpowiadam. – I też uważam, że to było okropne.

– A mimo to wsiadłaś z nim do samochodu.

Szukam odpowiednich słów.

– Nie rozmawialiśmy od dawna i dopiero dzisiaj się pogodziliśmy. Chciałam, żeby sam mi wszystko wytłumaczył. I od razu muszę powiedzieć, że poznałam go od zupełnie innej strony. Przyznaje, że wtedy postąpił niewłaściwie, prawda?

Ruby oddycha głęboko i po chwili kiwa głową.

– Ruby, ja go naprawdę lubię. Czuję, że mnie rozumie. Coś między nami... zaiskrzyło.

– No cóż – mruczy. – Może się zmienić.

– Jestem bardzo ostrożna. Ale to będzie moje doświadczenie. Nie możesz mnie przed tym uchronić.

Ruby milczy, kreśli palcem linie na posłaniu, zagubiona w myślach. W końcu wzdycha i mówi, raczej do siebie niż do mnie:

– Nie mogę, to prawda.

– Powiesz, o co poszło z Jamesem? – pytam nieśmiało.

Ruby z trudem przełyka ślinę. Błądzi wzrokiem po pokoju, wreszcie patrzy na biurko.

– Wraca do ojca. I do Beauforta.

Wstrzymuję oddech.

– Słucham?

Ruby milczy. Mijają minuty, a ona ciągle tylko gapi się w przestrzeń. Wydaje się nieobecna myślami. Pustka w jej oczach przyprawia mnie o gęsią skórkę.

– W samochodzie Wren rzucił, że nie zdziwiłoby go, gdyby ojciec Jamesa posunął się do nieuczciwych kroków, żeby ściągnąć go z powrotem – zaczynam ostrożnie. – Myślisz, że o to chodzi?

Te słowa wyrywają ją z odrętwienia. W jej oczach pojawiają się iskry. Spogląda na mnie.

– Ten drań szantażuje Jamesa.

Zatyka mnie. Czyli jest tak, jak mówił Wren.

– Czym?

Ruby z trudem przełyka ślinę. Otwiera usta, zaraz znowu je zamyka, odchrząkuje i w końcu zaczyna:

– Zagroził... Zagroził, że zniszczy naszą rodzinę.

Otwieram szeroko oczy.

– Słucham?

– James powiedział mi tylko tyle, ale to wystarczy. Oboje wiemy, że Mortimer Beaufort nie rzuca słów na wiatr. – Ociera oczy, które znowu zasły łzami. – Na samą myśl, co mu nagadał, trafia mnie szlag.

Myślę intensywnie o tym, co od niej usłyszałam, i zastanawiam się, czy jakikolwiek powód usprawiedliwia zachowanie ojca Jamesa. Nic nie przychodzi mi do głowy. Nasz ojciec nigdy nie sprawiłby nikomu takiego bólu, bez względu na sytuację.

– Nie pojmuję, jak można zrobić coś takiego własnym dzieciom.

Ruby przytula do siebie poduszkę, trzyma się jej niemal kurczowo.

– Wbił sobie do głowy, że tylko James może dalej pokierować Beaufortem.



Interesuje go wyłącznie majątek i zachowanie pozorów, dlatego chce, żeby James na posiedzeniach zarządu siedział u jego boku. Robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę, że od tej chwili James znowu musi robić wszystko, czego ojciec od niego zażąda. Chciałabym mu pomóc, ale nie mam pojęcia jak. – Głos jej się łamie. Znowu odchrząkuje.

Pochyłam się i chwytam ją za rękę zaciśniętą na poduszce.

– Już mu pomagasz.

– Niby jak? Siedząc tutaj i pozwalając, żeby odszedł?

Delikatnie ściskam jej dłoń.

– Może na ciebie liczyć. W tej chwili tego potrzeba mu najbardziej.

Ruby z trudem przełyka ślinę i pociąga nosem. Zdaję sobie sprawę, że w takim stanie nie mogę zostawić jej samej. Wpadam na pewien pomysł.

– Co powiesz na to, żebym dzisiaj spała z tobą? – pytam cicho.

Zastanawia się przez chwilę. Zaraz jednak przesuwa się mniej więcej pół metra w bok i opada na posłanie. Podaje mi poduszkę. Poprawiam ją, kładę się na wolnej połowie łóżka, odwracam na bok i patrzę na Ruby.

– Dzięki, że jesteś, Ember – szepcze.

Ściskam jej dłoń.

– Zawsze.

## Ruby

W poniedziałek ciągle jestem jak ogłuszona. Przed południem i nie wiem, co się wokół mnie dzieje, bo myślami cały czas jestem przy Jamesie. Dociera do mnie, że jego wyprowadzka zostawiła bolesną wyrwę w mojej rodzinie.

Napisałam do niego w niedzielę, pytałam, jak się czuje i czy chce pogadać. Odpowiedział, że wszystko jest w porządku.

Późnym wieczorem zobaczyłam informację, że na Beyond Beaufort pojawił się pierwszy post.

Przez niemal całą noc w kółko czytałam jego słowa. Pisał o marzeniach. O tym, jak są ważne i że trzeba marzyć, bez względu na okoliczności, bez względu na to, jak beznadziejna wydaje się sytuacja. O tym, że trzeba otaczać się ludźmi, którzy cię w tym wspierają, i że nie ma nic piękniejszego, niż znaleźć kogoś, kto dzieli się z tobą swoimi marzeniami. Pisał także, że na niektóre marzenia trzeba poczekać, ale nie wolno z nich rezygnować, nawet jeśli wiara w ich realizację wymaga gigantycznego wysiłku.

Jego słowa doprowadziły mnie do płaczu. Myślałam o nich bezustannie.

Doprowadza mnie do szału, że nic nie mogę dla niego zrobić. Co prawda Ember twierdzi, że wystarczy, że może na mnie liczyć, ale dla mnie to za mało. Najchętniej od razu pojechałabym do Londynu i porozmawiała sobie z jego ojcem, ale domyślałam się, jak zareagowałby James.

Tak więc w poniedziałkowy rano siedzę na lekcjach i zmuszam się do robienia notatek, ale mimo najlepszych chęci nie mam energii, by wszystko starannie posegregować, że już nie wspomnę o oznaczaniu kolorami. Nawet terminarz nie pomaga; czuję, że tracę kontrolę nad swoim życiem.

Podczas przerwy obiadowej bez apetytu grzebię widelcem w jedzeniu. Co chwila podnoszę głowę i rozglądam się za Jamesem. Do tej pory go nie widziałam. Miałam nadzieję, że rano znowu będzie czekał na przystanku. Musiałam przełknąć gorzką pigułkę rozczarowania.

– Szczęściarzy z nas, Ruby – zauważa cicho Lin.

Posyłam jej pytające spojrzenie znad talerza z warzywami i ryżem

– Nasi rodzice do niczego nas nie zmuszają. Oczywiście, moja mama i babcia zawsze chciały, żebym studiowała, ale nie popychały mnie do niczego, na co sama nie miałam ochoty.

– Na tym właśnie polega problem. Ponieważ wiem, jak to jest, kiedy ma się kochającą, wspierającą rodzinę, ta sytuacja wydaje mi się jeszcze bardziej beznadziejna.

– Cóż, na razie nie możesz tego zmienić – zauważa Lin i upija łyk mrożonej herbaty. Zakłada kosmyk włosów za ucho. – Nie masz wpływu na ojca Jamesa. Rozumiem, że jest ci cholernie trudno, że możesz tylko patrzeć, ale nie możesz niczego zrobić. Ale nie powinnaś pozwolić, by to się odbiło na waszym związku. James i bez tego jest w fatalnej formie.

– Wiem. – Odkładam widelec. Wolę się nie zastanawiać, co zrobiłby Mortimer Beaufort, gdyby James nie wrócił. Co zrobiłby mojej rodzinie.

W tym momencie James wchodzi do stołówki w towarzystwie przyjaciół. Wren i Cyril idą koło niego, Kesh i Alistair tuż za nimi. Rozmawiają, Wren szturcha Jamesa łokciem, uśmiecha się szeroko. Cyril tylko przewraca oczami, ale na jego ustach błąka się uśmiech. A James? James także próbuje się uśmiechnąć, ale nawet z tej odległości widzę, jak bardzo się do tego zmusza. To nie jest ten uśmiech, który pojawia się na jego twarzy, kiedy mój tata rzuca żart. To nie jest ten uśmiech, który pojawia się podczas rozmowy z Lydią. A już na pewno nie jest to ten uśmiech, którym obdarza mnie tuż po pocałunku.

W tej chwili James mnie zauważa, jakby poczuł na sobie mój wzrok. Chłopcy idą w moją stronę, zapewne kierują się do swojego stałego stolika pod oknem. James zatrzymuje się koło nas. Teraz widzę, jak bardzo jest blady i jak ciemne są cienie pod jego turkusowymi oczami.

– Hej. – Unosi dłoń do mojego policzka. Wystarczy, żeby dotknął mojej skóry, a przesywa mnie dreszcz. Uśmiecha się nieśmiało, jakby nie był pewien, jak zareaguję na jego dotyk.

W tym momencie jedno jest dla mnie jasne: James robi wszystko, żeby być silnym. Dla Lydii, dla moich bliskich, dla mnie. Nie pomagam mu swoim zachowaniem. Przeciwnie, stanowią dla niego dodatkowe obciążenie. To naprawdę nie fair. Poświęca się dla mnie i mojej rodziny, a ja, zamiast być dla niego wsparciem, tak jak teraz wsparciem są dla niego przyjaciele, krytykuję jego decyzję i być może jeszcze dokładam mu wyrzutów sumienia. Powinnam być mu podporą, a nie utrudniać życie.

– James?

– Tak?

– Masz jakieś plany po obiedzie?

– Mam pół godziny, zanim Percy po mnie przyjedzie. – Lekko przechyla głowę i mruży oczy. – A co?

Uśmiecham się, pochylam do jego ucha i szepczę, mam nadzieję, że na tyle cicho, że nikt nas nie słyszy. Odsuwam się i widzę błysk w jego oczach. To o wiele lepsze niż ciągły smutek.

Przerwa obiadowa jeszcze nie dobiegła końca, więc w bibliotece panuje przyjemna pustka. Zamiast jak zwykle podejść do drukarki, lady bibliotecznej i wreszcie do salki zebrań, tym razem skręcam w prawo, idę na sam koniec, do kąta, gdzie między dwoma regałami pełnymi ciężkich woluminów stoi mały stoliczek.

Serce wali mi jak szalone, wydaje mi się, że robię coś zakazanego, a przecież tylko czekam na Jamesa.

Napisałam mu wyraźnie, gdzie mnie znajdzie, i zaledwie pięć minut później wynurza się spomiędzy regałów i podchodzi do mnie. Choć serce wali mi jak szalone, nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Jesteś.

Zatrzymuje się tuż przede mną.

– Nie myślisz chyba, że odpuściłbym potajemną randkę z najfajniejszą dziewczyną w Maxton Hall.

Robi mi się gorąco po tych słowach. Wyciągam do niego rękę. Ujmuje ją delikatnie.

– Bardzo mi przykro – zaczynam, patrząc na nasze splecione palce.

– Dlaczego?

– Że tak zareagowałam. – Muskam kciukiem grzbiet jego dłoni. Podnoszę wzrok. – Żeby było jasne: wspieram cię we wszystkim, co robisz. Z tym także się uporamy. Nie możemy pozwolić, żeby twój ojciec znowu nas rozdzielił. Rozumiesz?

Mam wrażenie, że James wstrzymuje oddech. Wpatruje się we mnie. Reaguje dopiero po kilku sekundach.

Unosi moją dłoń do ust i całuje.

– Dziękuję – szepcze z trudem.

Pochylam się, przyciągam go do siebie. Rozsuwam nogi, żeby podszedł bliżej. Przez minutę tylko się do siebie tulimy. Wdycham jego znajomy zapach, błędzę rękami po jego plecach.

– Właściwie dlaczego chciałaś się ze mną spotkać akurat tutaj? – pyta z ustami przy moim uchu. Trzyma mnie za głowę, przyciąga do siebie. Odsuwam się odrobinę i głęboko nabieram tchu.

– Chciałam ci udowodnić, że nawet w taki dzień jak dzisiaj, gdy musisz jechać do Londynu, mogą się zdarzyć cudowne rzeczy. I dlatego postanowiłam spełnić jedno z twoich marzeń.

Ściąga brwi w namyśle, ale po chwili na jego twarzy pojawia się wyraz zrozumienia i błysk w oczach. Przesuwa dłoń coraz niżej, dochodzi do nasady pleców. Przyciąga mnie do siebie, aż siedzę na krawędzi stołu i opieram się dłonią o jego klatkę piersiową.

– Ruby Bell, masz naprawdę fantastyczne pomysły – szepcze.

Nie wiem, które z nas porusza się pierwsze. Po chwili nasze usta stapiają się, James napiera na mnie, czuję ogień w jego wargach. Obejmuje mnie, a ja poddaję się uczuciom, które we mnie wyzwała. Wiem, że między nami nic się nie zmieniło.

I postanawiam, że nie zmieni się także w przyszłości, nieważne, co jeszcze wymyśli jego ojciec.

## James

Bardzo trudno jest mi się skoncentrować na sesji burzy mózgów do najnowszego katalogu Beauforta czy dyskutować o nowych unijnych regulacjach handlowych, gdy myślami ciągle jestem z Ruby.

– James? – Głos Edwarda Culpeppera sprawia, że wizja Ruby w mojej wyobraźni pęka jak bańka mydlana.

Podobnie jak wszyscy inni zebrani na posiedzeniu rady nadzorczej zwraca się do mnie po imieniu. To oczywiście, nie może być dwóch panów Beaufortów. Członkowie zarządu starają się traktować mnie jak pełnoprawnego uczestnika dyskusji, ale wyraźnie wyczuwam ich sceptycyzm, a przecież dwie trzecie z nich nawet mnie nie zna. W ciągu minionych tygodni ojciec wymienił większość zarządu.

– Tak? – Opieram się na łokciach i pochylam nad stołem konferencyjnym, żeby udąć zainteresowanie.

– Pytałem, czy chce pan coś dodać.

Wpatruję się w niego. Zaszło mi w ustach, gdy dociera do mnie, że nagle zapanowała cisza jak makiem zasiał. Patrząc na surowe twarze kobiet i mężczyzn

siedzących przy stole. Idę o zakład, że ich zdaniem nie mam pojęcia, o czym mowa. Ale ojciec wpakował mnie w to bagno, jeszcze kiedy byłem dzieckiem. Nawet w środku nocy mógłbym poprowadzić spotkanie budżetowe Beauforta. Wiem, jak działa firma, choć od śmierci mamy sporo się zmieniło.

– Owszem. Chciałbym, żebyśmy teraz dyskutowali o danych nie co pół roku, lecz raz na miesiąc. To umożliwi szybszą reakcję, gdyby doszło do nieprzewidzianych komplikacji. I moim zdaniem wymagana jest wówczas obecność zarządu, nie tylko szefów poszczególnych działów.

Culpepper otwiera usta z wrażenia, zaraz jednak zamyka je i kiwa głową. Zapisuje coś na tablicie i patrzy na ojca rezydującego u szczytu stołu. Ten zabiera głos i bredzi coś o obecnie stosowanych środkach. Na ekranie pojawia się slajd z wykresami i danymi. Przez kolejne trzy kwadransy udaję, że słucham i notuję, ale w moim notesie pojawiają się tylko bazgroły. Ołówek ciąży mi w dłoni, ilekroć próbuję cokolwiek zapisać. W pewnym momencie przyłapuję dziadka po mojej prawej, jak zagląda mi przez ramię i krzywi się z pogardą. Zamykam notes i od tej chwili gapię się przed siebie, nie dotykając ołówka.

W końcu najnudniejsze półtorej godziny mojego życia dobiega końca. Dwóch członków zarządu podchodzi do ojca, wciąga go w rozmowę, ja tymczasem wstaję i przeciągam się, żeby choć odrobinę rozładować stres. Ojciec posyła mi groźne spojrzenie. Prostuję się. Czekam na niego wyprostowany jak struna, z notesem w dłoni. Ojciec daje pracownikom znak, by poczekali. Podchodzi do mnie.

– Jedź z Percivalem do domu. Umówiłem się na kolację z Edwardem i Bancroftem. Będzie późno, przenocuję w Londynie – oznajmia z krótkim skinieniem.

A zatem mnie odprawia. Żegnam się i windą pokonuję dwadzieścia pięter w dół. Odczuwam gigantyczną ulgę, gdy wychodzę na zewnątrz przez obrotowe drzwi i oddycham świeżym wieczornym powietrzem. Percy opiera się o roll-royce'a. Prostuje się na mój widok. Przytrzymuje mi drzwi, a ja opadam na tylne siedzenie. Teraz, za przyciemnionymi szybami limuzyny, gdy nikt z budynku nie może mnie zobaczyć, wreszcie rozluźniam krawat. Od wielu godzin mnie dusił.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – odzywa się Percy. Nasze spojrzenia spotykają się w tylnym lusterku.

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Nie mam pojęcia, jak zareagować. Wydaje mi się, że po wielomiesięcznym urlopie wracam do życia, które męczy mnie od rana do wieczora.

Odchylam głowę do tyłu, zamykam oczy. Kiedy w końcu je otwieram, są suche i zmęczone. Chyba zasnąłem. Przecieram twarz dłońmi i wyglądam na zewnątrz. Tuż przed nami jest zjazd na Pemwick, ale Percy mija go i jedzie dalej.

– Percy, przegapiłeś nasz zjazd – mówię ochryple. Pochylam się nad minibarem, sięgam po butelkę wody. Opróżniam ją w nadziei, że moje gardło przestanie przypominać papier ścierny. Ponownie wyglądam za okno. Percy zjeżdża w następny zjazd, ale natychmiast skręca w lewo. Robi to jeszcze dwukrotnie, wskutek czego zupełnie zbaczamy z trasy.

– Percy – zaczynam i ponownie zerkam na diodę. Jest zapalona, więc szofer mnie słyszy.

Żadnej reakcji. Skręca na parking przed małą knajpką. Zdumiony patrzę na żółte światło sączące się ze środka.

Chcę go zapytać, gdzie my, do cholery, jesteśmy, on jednak mnie uprzedza.

– Panie Beaufort, muszę z panem porozmawiać.

Knajpka jest malutka, między stolikami jest tak ciasno, że nie bardzo sobie wyobrażam, jak kelnerzy przeciskają się tędy z tacami jedzenia. Poza nami w środku jest jeszcze tylko dwóch mężczyzn. Siedzą w kącie i oglądają mecz piłkarski na małym telewizorze pod sufitem. Percy wskazuje stolik przy ścianie, na której wiszą oprawione stare plakaty filmowe. Siadamy. Kelner podaje nam kartę dań. Ani Percy, ani ja nawet do niej nie zaglądamy.

– To, co teraz zrobię, zapewne skończy się dla mnie utratą pracy – zaczyna Percy po kilku minutach. Mówi spokojnie, jakby już się z tym pogodził.

Patrzę na niego z wyczekiwaniem.

Percy odchrząkuje i już otwiera usta, ale wtedy do naszego stolika znowu podchodzi kelner i pyta, czego się napijemy. Nie odrywając wzroku od szofera, zamawiam dużą wodę mineralną i proszę o dwie szklanki. Wreszcie znowu zostajemy sami.

– Pod koniec zeszłego roku... – zaczyna Percy. – Słyszałem rozmowę telefoniczną pana ojca.

Chcę o coś zapytać, ale mnie uprzedza.

– Głośnik był włączony. – Na chwilę zawiesza głos. – Początkowo w ogóle nie przywiązywałem do tego wagi, pana ojciec często prowadzi najróżniejsze rozmowy w mojej obecności. Ale o tej nie mogłem przestać myśleć.

Z trudem przełykam ślinę. Nie odrywam od niego wzroku.

Wbija spojrzenie w stół, milczy przez kilka sekund, a potem głęboko nabiera tchu.

– Nie mogłem przestać o niej myśleć, bo powiedział: „Cordelia nie żyje. Potrzebuję twojej pomocy”.

Włosy na karku stają mi dęba.

– Co jeszcze mówił?

– Że za dwadzieścia minut będzie na miejscu, i poprosił rozmówcę, żeby był sam.

Mam w głowie gonitwę myśli, serce wali mi jak szalone.

– Dokąd go wtedy zawiozłeś? – szepczę.

– Do Clive’a Allena.

– Dlaczego ojciec potajemnie spotkał się z naszym adwokatem?

Percy otwiera usta, ale przerywa mu kelner, który w tym momencie wraca z butelką wody i szklankami.

– Kiedy to było? – pytam.

– W noc po śmierci pańskiej mamy.

Żołądek nagle podchodzi mi do gardła, a w głowie pojawia się koszmarne myśli: a co, jeżeli śmierć mamy to nie był wypadek? Co, jeżeli ojciec maczał w tym palce? Wtedy jednak przypomina mi się tamta noc, gdy widziałem go w jadalni, przed portretem rodzinnym.

*Nigdy ci tego nie wybaczę. Teraz zostałem z nimi sam i wszystko robię nie tak, i to jest, do jasnej cholery, twoja wina!*

Nie mógł tego udawać. Zachowywał się, jakby wiedział, że popełnia błędy. I płakał, na moich oczach. Co prawda uważam, że do wielu rzeczy jest zdolny, ale kochał mamę.

– Na samym początku byłem sam zbyt... zajęty, żeby się nad tym zastanawiać. Ale ta rozmowa nie dawała mi spokoju. A w ten weekend, po rozmowie z Ophelią, doszedłem do wniosku, że muszę to panu powiedzieć.

– Co takiego usłyszałeś od Ophelii?

– Wspominała, że w ciągu minionych miesięcy w Beauforcie zaszły niepokojące zmiany. Pański ojciec zwolnił część zarządu.

– Nie zwolnił, odeszli z własnej woli. Rozmawiali o tym dzisiaj na posiedzeniu – poprawiam, zaraz jednak zaczynam się zastanawiać, czy nie jest to przypadkiem tylko oficjalna wersja, a prawda wygląda zupełnie inaczej. Robi mi się niedobrze.

– Ophelia twierdzi, że co prawda nie zgadzała się z tym, w jaki sposób pańska mama prowadziła firmę, ale miała przynajmniej poczucie, że duch Beauforta został zachowany, a tradycja rodziny zawsze stoi na pierwszym miejscu. Teraz to się zmienia.



Podczas dzisiejszego posiedzenia zarządu miałem podobne wrażenie. Dawniej, gdy z Lydią przyjeżdżaliśmy do Beauforta i obserwowaliśmy mamę przy pracy, zawsze widziałem pasję, z jaką ona i jej zespół podejmowali decyzje. Beaufort miał serce. Dzisiaj atmosfera była chłodna i napięta, rozmowy bez emocji, banalne.

– Wiem, o co jej chodzi – mówię cicho.

– Zdaniem Ophelii pańska mama nie podzielała wizji pana Beauforta.

Ściągam brwi.

– Rodzice zawsze pracowali ramię w ramię.

– Tylko dlatego, że słowo pańskiej mamy zawsze znaczyło więcej niż jego. Mogła go kontrolować, bo z formalnego punktu widzenia był jej pracownikiem.

– Chrząka cicho. – Wydaje mi się, że pańska mama dopuszczała myśl, że tak może być, gdyby... Gdyby coś jej się stało.

– Percy... – szepczę. – Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

Percy przygląda mi się przez dłuższą chwilę, wzdycha głośno, sięga za kołnierz koszuli i wyciąga spod niego cienki srebrny łańcuszek. Ostrożnie zdejmuje go przez głowę i unosi, żebym obejrzał go dokładnie; na łańcuszku wisi malutki kluczyk.

– Kilka lat temu pańska mama dała mi ten kluczyk i powiedziała, że mam go chronić własną piersią. – Wpatruje się w malutkie ząbki, przesuwa palcem po metalu. Jest jak zahipnotyzowany. Nagle potrząsa głową, jakby chciał wrócić na ziemię, i zdejmuje kluczyk z łańcuszka. Przesuwa go w moim kierunku. Łańcuszek ponownie znika pod koszulą.

Obracam kluczyk w dłoni.

– Dlaczego powierzyła go akurat tobie? – pytam szeptem.

Percy z trudem przełyka ślinę.

– Byliśmy tak jakby... przyjaciółmi.

Staram się zebrać myśli. W tej chwili najważniejsze jest to, że mama miała tajemnicę. Tajemnicę, której nie zdradziła nikomu z rodziny. Tajemnicę, do której klucz mam w ręku.

– Nie powiedziała mi, co otwiera – dodaje Percy. – Ale uważam, że powinien go pan mieć.

Podnoszę wzrok i nagle dostrzegam, jak wiele jest w Percym smutku. Przypomina mi się, co powiedziała Ruby. Że to wszystko na pewno było dla niego bardzo trudne, zarówno śmierć mamy, jak i wyprowadzka Lydii i moja. Jest naszym pracownikiem, tak, lecz także członkiem rodziny. I znaczył dla mamy tyle, że ufała mu bezgranicznie.

– Myślisz, że ten kluczyk i dziwna rozmowa ojca mają ze sobą coś wspólnego? – pytam w końcu.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Ale wiem, że pański ojciec coś ukrywa.

Obracam kluczyk w dłoni, a potem sięgam po portfel, otwieram go i chowam kluczyk za listę Ruby. Odnajduję wzrok Percy'ego.

– Dowiem się, o co w tym chodzi.

– Miałem nadzieję, że pan to powie, panie Beaufort.

## Ruby

Siedzę na zimnych stopniach rezydencji Beaufortów i zerkam na zegarek. James napisał ponad godzinę temu, że już wraca, i zapytał, czy wpadnę. Nie wahałam się ani chwili.

Dzisiaj w południe mówiłam szczerze. Chcę być dla niego wsparciem, a skoro dziś przeżył już koszarne posiedzenie w firmie, niech ma piękny wieczór, zanim wszystko zacznie się od nowa.

Nie czekam długo, wkrótce widzę rolls-royce'a na podjeździe. Wstaję, wygładzam spódnice, strzepuję niewidoczne drobinki kurzu. Percy zatrzymuje samochód przy samym wejściu. James wysiada. Chociaż wiem, że nie lubi tego stroju, nie mogę zaprzeczyć, że wygląda fantastycznie w szarym garniturze Beauforta, który włożył na posiedzenie. Wygląda jak szyty na miarę. Z trudem przełykam ślinę, gdy przesuwam wzrok wyżej i widzę jego dwuznaczny uśmiešek.

W następnym momencie jest już przy mnie. Obejmuje mnie mocno.

– Hej – szepcze mi do ucha i całuje w głowę.

Tulę się do niego jeszcze przez chwilę, a potem odchylam się, by na niego spojrzeć.

– Jak było? – pytam ostrożnie i dotykam dłonią jego karku.

– Chodźmy. – Wskazuje dom. – Wszystko ci opowiem.

Zerka jeszcze na Percy'ego, który akurat wysiada z samochodu, żegna go skinieniem. Zaraz jednak bierze mnie za rękę i razem wbiegamy po schodach. James otwiera drzwi, zanim jednak wejdziemy do środka, podchodzi Mary i patrzy na nas z wyczekiwaniem.

– Mary, chcielibyśmy z Ruby mieć dzisiaj odrobinę prywatności – zaczyna James. – Najlepiej, żeby nikt nie wchodził na górę.

Czuję, że oblewam się rumieńcem, podobnie jak gospodyni, na której twarzy wykwitają czerwone plamy. Słowa Jamesa całkowicie wytrącają mnie z równowagi, jak oszołomiona idę za nim na piętro, skręcam w kierunku jego

pokoju. Ogląda się za siebie, gdy wchodzimy, i starannie zamyka za sobą drzwi.

Spodziewam się, że pchnie mnie na ścianę i będzie całował do utraty tchu, on jednak sięga do kieszeni i wyjmuję portfel.

– Muszę ci coś pokazać – wypowiada te same słowa, które napisał wcześniej w SMS-ie.

– Co się dzieje? – pytam.

– Po posiedzeniu zarządu Percy miał mnie odwiedzić do domu, ale po drodze zaliczyliśmy postój w małej knajpce. Powiedział mi coś o ojcu. Coś, co może wszystko zmienić.

Otwiera portfel i coś z niego wyjmuję. Małutki kluczyk. Podaje mi go, obracam kluczyk w dłoni. To nic szczególnego, najzwyczajniejszy w świecie kluczyk.

– Do czego? – pytam nieśmiało.

– Mama powierzyła go Percy'emu wiele lat temu – opowiada szybko, gorączkowo. Odrywa się od drzwi, idąc, ściąga marynarkę. Rzuca ją na kanapę, rozwiązuje krawat, patrzy na mnie. – Mówił też, że zaraz po śmierci mamy wiozł ojca do adwokata. Ojciec podkreślał, że to pilna sprawa, i prosił o dyskrecję.

Nawet się nie zorientowałam, kiedy przestałam oddychać.

– I co to wszystko ma znaczyć?

James rzuca krawat na kanapę. W jego ślady idą spinki do mankietów. Podwija rękawy aż do łokci.

– Musimy się dowiedzieć, co mama chciała ukryć przed ojcem. Może ten kluczyk ma związek z jego tajemnicą. Może... – Urywa, zaciska usta w wąską linię.

Prostuję się, podchodzę do niego, dotykam jego rozpalonych policzków, wspinam się na palce i całuję go krótko. Patrząc na niego z powagą.

– Dowiemy się, do czego jest ten kluczyk.

James z trudem przełyka ślinę i kiwa głową. Chowa go do kieszeni spodni.

– Ojciec nocuje dzisiaj w Londynie. Nie będziemy mieli lepszej okazji, by przejrzeć rzeczy mamy, niż teraz.

Bierze ode mnie kurtkę. Wychodzimy z jego pokoju. Wracamy do schodów, idziemy dalej, do części domu, w której do tej pory nie byłam. Korytarz jest co najmniej równie długi jak ten, przy którym są pokoje Jamesa i Lydii, jednak tu znajdują się tylko jedne drzwi. Zatrzymujemy się. James oddycha głęboko. A potem naciska klamkę i masywne drewniane drzwi ustępują pod jego naporem.

Wejście do tego pokoju wydaje mi się czymś zakazanym i mam wrażenie, że każde uderzenie mojego serca niesie się echem. Rozglądam się bez tchu, gdy James zamyka za nami drzwi. Znajdujemy się w wąskim korytarzu, po prawej stronie jest toaletka i oświetlone lustro, po lewej drzwi, prowadzące zapewne do łazienki. James wchodzi do sypialni. Ruszam za nim.

– Nie pamiętam, kiedy byłem tu ostatnio – wyznaje. Szepcze, jakby, podobnie jak ja, obawiał się, że lada chwila ktoś nas przyłapie. Podchodzi do biurka przy oknie. – Mama przy pracy zawsze lubiła wyglądać na zewnątrz. Ciągłe narzekała, że w moim pokoju biurko stoi przy ścianie. – Wpatruje się w kartki na blacie, przegląda je pobieżnie. – Teraz i ja wolę wyglądać za okno. Gdy będę miał własne mieszkanie, tak właśnie będzie.

Podchodzę do niego, czule głaszczę po plecach.

– Zaczynamy? – pytam.

James zamiera z dłonią na kartkach, a potem głośno nabiera tchu i kiwa głową.

– Zaczynamy.

– Skoro już tu jesteśmy... – mówię i pochylam się nad szufladami biurka. Szukam wzroku Jamesa.

– Nie krępuj się.

Zbieram się na odwagę i otwieram pierwszą szufladę. Są w niej notesy z logo Beauforta i firmowe długopisy. Wyjmuję wszystko, odkładam, obmacuję dno szuflady, stukam w deseczkę, ale odpowiada mi zwykły dźwięk.

– Wygląda na to, że robiłaś to już setki razy. Powinienem o czymś wiedzieć? – pyta James z drugiej strony biurka. Zagląda do małej szafki.

– Naoglądałam się filmów – odpowiadam i potrząsam szufladą. Nic. Wkładam wszystko z powrotem, starając się, by notesy leżały dokładnie tak jak przedtem, wsuwam ją na miejsce i zabieram się do szuflady numer dwa.

– Sam nie wiem, czy to bardziej przerażające, czy podniecające.

Uśmiecham się pod nosem i wyjmuję segregator. Przeglądam go, ale nie znajduję niczego podejrzanego, a tym bardziej niczego, do czego mógłby pasować mały kluczyk.

Pracujemy w skupieniu. Szybko przejrzeliliśmy całe biurko. Przesuwamy je, żeby sprawdzić, czy nie ma tam schowka, ale nic z tego. Potem bierzemy się do szafek nocnych. Tutaj obojgu nam przechodzi ochota na żarty. Czuję się fatalnie, gdy otwieram szafkę nocną pani Beaufort i przeglądam kremy do rąk, pojedyncze sztuki biżuterii i klasyczną powieść. Znajduję także stare czasopismo, na którego okładce widnieje Cordelia Beaufort. Przez chwilę myślę

o tym, że trzymała je w szafce nocnej, ale ja zapewne postąpiłabym tak samo. Może nawet powiesiłabym sobie taką okładkę nad biurkiem.

– Tu nic nie ma, pod łóżkiem też nie – dobiega mnie stłumiony głos Jamesa. Wstaje. Jego koszula jest już całkiem pognieciona.

– Tutaj też nie. Garderoba? – proponuję.

– Tak.

Kiedy otwiera drzwi do garderoby swoich rodziców, zapiera mi dech w piersiach. To jest cały pokój.

Po obu stronach ciągną się szyny, na których wiszą niezliczone, starannie wyprasowane kostiumy, bluzki, garnitury i koszule. Półki uginają się pod ciężarem mnóstwa butów. Lewa strona to królestwo pani Beaufort. Na widok jej rzeczy robi mi się gorąco. Jednocześnie przebiega mi przez myśl, że moja siostra oddałaby nerkę, żeby teraz być na moim miejscu. Ma fioła na punkcie aranżacji garderoby i wiem, że ta tutaj to istne spełnienie jej marzeń. W pierwszej chwili wstydzę się tej myśli i odpycham ją od siebie, żeby skupić się na czekającym nas zadaniu.

James wchodzi do garderoby i przesuwa dłonią po kostiumie matki.

– Jeszcze nią pachnie – szepcze.

Staję za nim, dotykam jego barku.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy przestali, powiedz, a...

Energicznie potrząsa głową.

– Nie.

Podchodzę do półek. Powoli rozkładam poszczególne koszulki, sprawdzam, czy między nimi czegoś nie ukryto. Niestety. James przeszukuje wyższe półki, do których nie sięgam, a także buszuje wśród butów. On także wraca z pustymi rękami.

– Może tam? – Wskazuję białą komórkę w głębi pomieszczenia. James kiwa głową. Otwieram małe drzwiczki.

I znowu zapiera mi dech w piersiach. Dosłownie oślepia mnie biżuteria. Wszystko się mieni i błyszczy: broszki, naszyjniki, kolczyki, fascynatory, idealne na śluby albo wyścigi konne.

– Wow – mruczę.

James staje obok mnie.

– Pamiętam wiele z tych drobiazgów. A nawet konkretne okazje, na które je zakładała. Czy to dziwne?

– Skądże.

Patrzemy na przegródki wyłożone czarnym zamszem, podnosimy je, by

sprawdzić, czy czegoś pod nimi nie ma. W najniższej szufladzie są spinki do włosów i różne kolorowe drobiazgi. Rozpoznaję kilka ozdób, które widziałam we włosach Lydii, gdy siedziała przede mną na lekcjach.

– Dlaczego ta szuflada jest taka płytka? – pyta nagle James.

Za bardzo mnie pochłonęło podziwianie srebrzystego pająka i rozważania, z jakiej okazji wpina się coś takiego, by coś zauważyć. James pochyla się, wyjmując szufladę najdalej, jak to możliwe, wsuwa rękę między dno a tył szafki. Szeroko otwiera oczy.

– Tam coś jest – mówi i pochyla się jeszcze bardziej, aż jego ręka całkiem niknie w szafce. Słyszę ciche szuranie, kiedy szuka czegoś po omacku. Wstrzymuję oddech, gdy w końcu udaje mu się to znaleźć i powoli wysuwa rękę. Marszczę czoło.

– Co to jest? – pytam cicho.

James wydaje się równie zaskoczony. Trzyma w ręku małą skrzyneczkę, oblepioną kolorowymi paciorkami we wszystkich możliwych kolorach. Jest tak barwna, tak kiczowata, że w ogóle nie pasuje do innych rzeczy w garderobie Cordelii Beaufort.

– Wygląda jak kasetka na biżuterię. Ale... Nie sądzę, żeby należała do mamy. Wygląda jakoś dziwnie.

Kiwam głową. Paciorki są ponaklejane krzywo, jakby robiło to dziecko.

– Może to wasze dzieło z przedszkola? – podrzucam.

James zaprzecza ruchem głowy.

– Nawet gdyby, ojciec dawno by to wyrzucił.

– James – mówię nagle. – Odwróć ją.

Spełnia moją prośbę i zastyga w bezruchu. W szkatułce jest mały zamek.

– Masz kluczyk? – pytam, ale James już szuka w kieszeni spodni. Wyjmuje go. Chyba oboje wstrzymujemy oddech, gdy wsuwa go do dziurki... i przekręca.

Patrzemy na siebie porozumiewawczo, a potem James unosi wieczko skrzyneczki. Pochylam się.

Na ciemnobrązowym zamszu leży koperta. James wyjmuje ją, stawia skrzyneczkę na podłodze, a potem powoli otwiera kopertę.

Obserwuję go podczas lektury. Niczego nie daje po sobie poznać. Staram się zachować cierpliwość i nie okazywać, jak bardzo się denerwuję.

Po bitych dwóch minutach James podnosi głowę.

– No i? – pytam szeptem.

– Musimy zadzwonić do Ophelii. – Unosi kopertę. – To jest testament mojej mamy.

## Lydia

*Następnie, mojej młodszej siostrze Ophelii Beaufort zapisuję swoje udziały w koncernie Beauforta. W przypadku mojej śmierci to właśnie Ophelia Beaufort ma objąć stanowisko zarówno dyrektorki kreatywnej, jak i przewodniczącej zarządu, póki moje dzieci nie ukończą studiów.*

Ophelia czyta na głos, a ja zasłaniam usta. Ciotka przeciera oczy, jakby nie mogła uwierzyć w zapisy z testamentu mamy.

– To nie wszystko. – Ophelia podaje mi dokument. Zaciskam palce na udzie Grahama. Siedzi obok mnie w ogrodzie zimowym, obejmuje ramieniem. Drżącymi rękami biorę arkusik skreślony ręką mamy. Przekładam kartki, aż dochodzę do fragmentu, w którym Ophelia przestała czytać. Na widok mojego imienia podnoszę go bliżej oczu.

*Niniejszym ja, Cordelia Beaufort, ustanawiam swoją córkę Lydię Beaufort i swojego syna Jamesa Beauforta równouprawnionymi dziedzicami mojego majątku. Niech zawsze wierzą w siebie i wcielają swoje wizje w życie.*

W moim gardle pojawia się ogromna gęła.

– Nie wierzę – szepczę. – Zapięła mi udziały. Jamesowi i mnie.

– Bo w ciebie wierzyła – zauważa cicho Graham.

Oczy zachodzą mi łzami, zasłaniają słowa mamy. Oddaję testament Jamesowi, który siedzi po mojej prawej stronie i przez cały czas milczy zdumiony.

– Wierzyć mi się nie chce, że zachowała to tyle czasu – mówi cicho Ophelia, z zadumą przesuwając palcami po kasetce. – Dostała ją ode mnie na trzynaste urodziny.

Z trudem przełykam ślinę.

– Fakt, że tak starannie ukryła ten testament, oznacza, że... – zaczynam z wysiłkiem.

– Że ten drugi jest fałszywy – James kończy za mnie. – Ten, w którym zapisuje wszystko ojcu.



– Testament Cordelii jest potwierdzony notarialnie – zauważa Ophelia. – Byłam przy jego odczytaniu, w kancelarii Clive’a Allena. Wszystko było, jak należy.

– Ale tego testamentu nie potwierdził Clive Allen – wtrąca nagle Graham. Pochyliła się nad arkusikiem w mojej dłoni. – Tylko niejaki Fergus Wright.

Zerkam na Jamesa i wymieniam z nim porozumiewawcze spojrzenia.

– To był nasz poprzedni prawnik – odpowiada powoli mój brat. – A także naszych dziadków. Umarł kilka lat temu i wtedy zjawił się Allen. – Śmieje się z niedowierzaniem. – To niemożliwe.

– Ale co? – Ocieram łzy z oczu.

– W noc po śmierci mamy Percy zawiózł tatę do Allena. Ojciec prosił prawnika o pomoc i dyskrecję. Pewnie właśnie wtedy sfalszowali testament.

Wstrzymuję powietrze.

– Myślisz, że wiedział, że mama nie zapisze mu Beauforta?

Ophelia prostuje się na ratanowym fotelu.

– Musiał coś podejrzewać.

Zerkam na Jamesa. Wydaje się równie przytłoczony tą sytuacją jak ja.

– Ale... Ale skoro mama cały czas wiedziała, że pewnego dnia przekaze firmę Ophelii, dlaczego pozwoliła, by ojciec spychał ją na margines? – James zastanawia się na głos.

– Chciała mnie chronić – mówi cicho Ophelia. Zakłada rdzawy kosmyk włosów za ucho, z trudem przełyka ślinę. – Skontaktuję się ze swoim prawnikiem. Niech dopilnuje, aby wykonano autentyczny testament.

James i ja jednocześnie wyciągamy do siebie ręce. Ophelia dzwoni do adwokata, a my zaciskamy dłonie. Chyba oboje zdajemy sobie sprawę, że teraz jeszcze bardziej musimy być dla siebie wsparciem.

## James

Lydia ma na sobie czarny kostium, w którym jest niepokojąco podobna do mamy. Wszyscy ubraliśmy się odpowiednio na tę okazję: Ophelia w miętowozieloną sukienkę portfelową, a ja w garnitur Beauforta.

Musimy sporo poczekać, zanim asystentka taty prosi nas do gabinetu. Otwiera drzwi, wszyscy po kolei wchodzimy. Na widok ojca coś boleśnie ściska mnie w piersi.

– Czym sobie zasłużyłem na taką niespodziankę? – pyta ironicznie. Nie raczy

nawet wstać z za biurka.

Ophelia przemierza gabinet ze swobodą, jakiej jeszcze u niej nie widziałem. W tej chwili wydaje się, że to ona jest górą. Pewnie dlatego, że wie, że tylko w ten sposób można dotrzeć do ojca.

– Mortimer, musimy porozmawiać – zaczyna. Siada przy biurku. Lydia zajmuje drugie krzesło. Ja stoję za nimi, kładę dłonie na oparciu.

Ojciec wodzi wzrokiem między nami. Nie mogę rozgryźć wyrazu jego oczu. Czy wie, co go czeka?

– Znaleźliśmy to. – Ophelia otwiera czarną aktówkę, wyjmując kopię testamentu mamy i kładzie na biurku.

Bardzo uważnie obserwuję jego twarz. Najpierw tylko mruga zaskoczony, ale zaraz cała krew odpływa mu z twarzy. Przesuwa dokument do siebie, przegląda pobieżnie.

– Co to niby ma być? – Podnosi głowę.

– Testament mojej siostry – odpowiada spokojnie Ophelia. – Dlatego nasuwa się pytanie, co właściwie odczytano w grudniu.

Lewa powieka ojca zaczyna drgać. Podnosi rękę, przygląda nażelowane włosy, z trudem przełyka ślinę i zaciska usta w wąską linię.

I tym sposobem powiedział właściwie wszystko. Ja jednak muszę mieć pewność.

– Tato, ty naprawdę sfalszowałeś testament mamy? – pytam, sam zaskoczony chłodem i brakiem emocji w moim głosie.

Ojciec patrzy na mnie, otwiera i zamyka usta. Najwyraźniej zaniemówił.

– Zadałem ci pytanie. – Posyłam mu wyzywające spojrzenie. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, choć ciągle jest blady jak ściana. – Sfalszowałeś testament mamy, żeby przejąć firmę?

– Nie miałem innego wyjścia – mówi w końcu.

Lydia sapie głośno, ja zaciskam palce na skórzanym oparciu tak mocno, że słyszę, jak trzeszczy.

– Dlaczego? – pytam z wymuszonym spokojem.

Ojciec patrzy najpierw na Lydię, potem na mnie.

– Nie po to całe życie harowałem na rzecz tej firmy, żeby na koniec zostać z pustymi rękami.

– Cordelia zapisała ci część udziałów, gdyby nie wiedziała, jak bardzo jesteś chciwy – rzuca Ophelia z przejęciem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – Zaciska pięści tak mocno, że pobiełały mu kłykcie. – Od samego początku mieliśmy wspólny plan. Dzieci studiują

w Oksfordzie, potem James przejmuje firmę. Potrzebowaliśmy struktury i strategii, tylko że wkrótce nagle zaczęła przebąkiwać, że warto byłoby ściągnąć cię z powrotem, chociaż już wiele lat temu udało mi się ciebie pozbyć. Wieki trwało, zanim zdołałem wybić jej to z głowy.

Nie mogę uwierzyć, że mówi o naszej rodzinie, o mamie.

– Więc to nie Cordelia chciała mnie trzymać z dala od firmy? – upewnia się Ophelia.

– Oczywiście, że nie. Twoja siostra nigdy nie była konsekwentna. W przeciwieństwie do niej ja miałem wizję Beauforta. A ty stałaś mi na drodze.

Lydia spina się coraz bardziej. Czuję, że najchętniej wstałaby i wyszła, zapewne dlatego, że za wszelką cenę chce zachować resztki dobrych wspomnień o ojcu. Mam podobnie. Jednocześnie wiem, że musimy wytrzymać do końca. W innym wypadku nie będziemy mogli patrzeć w przyszłość.

– Dlaczego za wszelką cenę chciałeś związać mnie z firmą? – pytam.

Ojciec prycha pogardliwie.

– Bo zawsze robiłeś to, czego chciałem. Bo wystarczyła odrobina stanowczości, żeby skierować cię na właściwy tor. Woląłem, ze względu na siebie i na firmę, żebyś to ty zajął miejsce Cordelii, a nie ktoś, kto ma własne zdanie i chce je forsować.

Mimo wszystkiego, co mi zrobił w ciągu minionych lat, serce ściska mi się boleśnie, gdy dociera do mnie znaczenie jego słów.

Dowodzą, że nigdy nie byłem dla niego niczym więcej, tylko środkiem do celu. Dowodzą, jak mało kocha mnie i Lydię.

I choć wydawało mi się, że już dawno zamknąłem tę sprawę, coś we mnie pęka.

– Mortimer, przynosisz wstyd tej rodzinie – mówi cicho Ophelia. – Nie jesteś wart miejsca, które zajmowała Cordelia.

Ojciec nie odpowiada.

– Nie wstyd ci, tato? – pyta Lydia drżącym głosem.

– Zrobiłem, co uważałem za stosowne.

– Więc wyznajesz bardzo dziwne wartości – odpowiada moja siostra.

– Mama byłaby załamana, gdyby o tym wiedziała – dodaję.

– Teraz interesuje mnie tylko, co zrobicie z tymi informacjami. – Ojciec unosi brew, ale jego spojrzenie straciło dawną moc. Jakby jego obraz w mojej głowie rozpadł się na kawałki i dopiero teraz zaczynam dostrzegać, co tak naprawdę kryje się za fasadą. Widzę jego prawdziwe oblicze, i nie jest to przyjemne. Wręcz przeciwnie. Nie mogę zrozumieć, jak mogłem tak długo w niego wierzyć.

– Cóż, Mortimer, mamy wiele możliwości – odpowiada Ophelia. – Opcja A: wycofujesz się z firmy i przekazujesz jej stery w moje ręce, tak jak tego chciała Cordelia.

Zapada cisza. Widzę, jak ojciec myśli intensywnie.

– Ta opcja mnie nie interesuje – odpowiada w końcu.

– W takim razie mój prawnik zażąda weryfikacji testamentu. Omówił wszystko z Clive'em Allenem, który jest gotów zeznawać przeciwko tobie, jeżeli nie wniesiemy sprawy przeciwko niemu. Powie, że go szantażowałeś i zmusiłeś do odczytania sfałszowanego testamentu. Prawdopodobieństwo, że wygrasz, przy takim materiale dowodowym jest właściwie równe zeru. Wyobrażasz sobie, co się stanie, gdy prasa się o wszystkim dowie.

Ojciec wbija wzrok w biurko. Z trudem przełyka ślinę, rozluźnia pięści, kładzie dłonie płasko na granatowej podkładce. Gdy znowu podnosi głowę, jestem przygotowany na wszystko, także na dalszą walkę. Ale kiedy patrzy najpierw na Lydię, a potem na mnie, wydaje mi się, że widzę w jego spojrzeniu coś na kształt żalu.

– Wolałbym, żebyśmy nie informowali mediów – mówi w końcu.

I wtedy wiem: wygraliśmy.

## James

Słońce zalewa boisko ostrym światłem, ale i tak rozkoszuję się ciężarem ochraniaczy na ciele i dotykiem koszulki z białą siedemnastką na plecach. Nie zastanawiam się. Teraz muszę tylko biec, złapać piłkę i trafić do bramki.

Zamykam oczy i koncentruję się na znajomych odgłosach: kroki, krzyki kibiców, świst piłki...

– Beaufort! – ryczy trener Freeman. – Nie śpij, do cholery!

Otwieram oczy w odpowiednim momencie, by zobaczyć, że Alistair do mnie zagrywa. W ostatniej chwili przechwytyuję piłkę, a potem rzuca się na mnie trzech zawodników drużyny przeciwnej.

Reaguję instynktownie. Puszczam się biegiem bez chwili wahania. Jeden z przeciwników taranuje mnie, chwieję się, ale udaje mi się utrzymać na nogach. Rozglądam się za kolegami i dostrzegam Wrena, który podobnie jak ja wystrzelił do przodu. Zagrywam do niego z całej siły. Podskakuje, z najwyższym wysiłkiem przechwytyuje piłkę. Wystarczyły trzy kroki, by obrońca drużyny przeciwnej go zaatakował. Wren błyskawicznie odrzuca piłkę do mnie. Omijam obrońców, biegnę, ile sił w nogach, skaczę i strzelam. Piłka mija bramkarza i ląduje w siatce. Sekundę później sędzia odgwizduje przerwę.

Pierwszy z gratulacjami podbiega do mnie Wren. Zaraz za nim zjawiają się pozostali. Adrenalina buzuje mi w żyłach. Jestem na haju, oby trwał wiecznie.

Ściągam kask i rozglądam się w poszukiwaniu brązowej czupryny.

Ruby siedzi w pierwszym rzędzie, w towarzystwie siostry i całego komitetu organizacyjnego.

Staram się wszystko zapamiętać. Trawę pod stopami, gdy biegnę w kierunku trybun. Chrzęst rękawicy, gdy zaciskam dłoń na kiju. Spojrzenie Ruby, które nawet z tej odległości przyprawia mnie o większą euforię niż strzelona bramka. Podbiegam do niej i nie mogę inaczej, muszę się uśmiechnąć.

– Hej. – Pochyliam się nad nią. To miał być przelotny pocałunek, ale kiedy czuję wargi Ruby dotykające moich, nagle nie mogę przestać.

Ember wydaje dziwny odgłos, wobec czego Ruby odsuwa się ze śmiechem.

– Kiedy tak gra, mogę mu wybaczyć, że raz w tygodniu zrywa się z zebrań – mówi Lin.

– Fakt – odpowiada Ruby, ciągle wpatrzona we mnie. – Nieźle sobie radzi, prawda?

Serce bije mi jeszcze szybciej.

– Halo! – Wren zatrzymuje się koło mnie. – Mnie też proszę pochwalić!

– Wiesz, wymuszanie komplementów jest słabe – odpowiada Ember. Choć jej głos brzmi poważnie, kąciki ust drgają leciutko. Zerkam na Wrena, który obserwuje ją z wyrazem twarzy, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałem: bez troski, otwarcie, z uczuciem.

Ciekawe, czy ja też tak patrzę na Ruby.

– Lydia pisała? – pytam, wracając do niej wzrokiem.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Odkąd ostatnio pytałeś? Nie. A było to zaledwie pół godziny temu.

Pochyliłam się nad nią.

– Nie nabijaj się ze mnie. Chyba mam prawo być podekscytowany. W końcu nie codziennie zostaje się wujkiem – mówię tak cicho, że tylko ona mnie słyszy. Pół godziny temu Lydia napisała, że od jakiegoś czasu ma nieregularne bóle, ale zdaniem lekarki powinni jeszcze poczekać, zanim pojedą do szpitala, bo może się okazać, że to fałszywy alarm.

– Dam ci znać, jeżeli się odezwie. Tak jak ustaliliśmy – zapewnia Ruby. Cały czas ma na ustach ten dwuznaczny uśmiezek, który budzi we mnie pragnienie, by całować ją bez końca.

– Słowo? – pytam.

Potwierdza ruchem głowy i całuje mnie jeszcze raz.

– Idziemy, kapitanie. – Wren szturcha mnie w ramię. – Koniec przerwy. Na pewno jeszcze coś ci się uda.

Ostatni raz uśmiecham się do Ruby, zanim razem z Wrenem wracam na boisko. Myślami cofam się do początku roku szkolnego. Przypominam sobie dzień, gdy Lydia błagała mnie, żebym miał oko na Ruby.

Od tego czasu moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Przyszłość, jaką sobie wyobrażałem, zniknęła bez śladu. Zamiast jechać do Oksfordu i zasiąść w radzie nadzorczej Beauforta, zebrałem się na odwagę i wybrałem coś innego, niż zaplanowali dla mnie rodzice. Posłuchałem głosu swojego serca.

Ophelia przejęła Beauforta i zaczęła wprowadzać zmiany w firmie. Lydia dołączy do niej, gdy tylko bliźniaki trochę podrosną.

Nauczyłem się, że kurczowe trzymanie się planów nie ma sensu. Ten rok miał być ostatnim rokiem beztroski, ale teraz... Teraz postrzegam go jako początek. I choć w duszy ciągle będę się mierzył z tym, co się wydarzyło, moje podejście do życia zmieniło się całkowicie.

Wiem, że Wren miał na myśli nasz ostatni mecz lacrosse, ale uśmiecham się do niego z ukosa.

– Żebyś wiedział – mówię z przejęciem.

# Epilog

*Trzy miesiące później*

## Ruby

Moje życie dzieli się na kolory:

Złoty – wykłady

Srebrny – egzaminy

Brązowy – stowarzyszenia i zajęcia pozalekcyjne

Zielony – załatwić natychmiast

Turkusowy – czas wolny

Fioletowy – rodzina

Pomarańczowy – druga rodzina

Fiolet (zadzwoić do Ember), pomarańczowy (zapakować, koniecznie ładnie, prezenty na chrzest dla Rosie i Henry'ego), a także brązowy (iść na śniadanie dla pierwszorocznych i porozmawiać z co najmniej jedną nową osobą) już odhaczone. Zostały jeszcze tylko zielony (wydrukować i powiesić fotografię z Tajlandii), pomarańczowy (przeczytać nowy wpis Jamesa) i turkusowy (umówić się z Lin na kawę i znaleźć najfajniejszą kawiarnię).

– Może tutaj? – pyta James.

Odwracam się do niego na rozklekotanym krześle biurowym. Stoi między łóżkiem i małą szafką i przykłada naszą fotografię do ściany. To pierwsze zdjęcie, które zrobiliśmy podczas wspólnych dwóch tygodni w Tajlandii. Stoimy na targu, otoczeni setkami ludzi, lecz to tylko tło. Uśmiechamy się do obiektywu, szczęśliwi i beztroscy.

Ilekczeń patrzę na to zdjęcie, wracam do najpiękniejszych dwóch tygodni mojego życia. Właśnie dlatego chciałam, żeby zawisło w moim pokoju w akademiku.

– Super – odpowiadam odrobinę za późno.

James kiwa głową i kawałkiem taśmy klejącej przykleja fotografię do pustej jeszcze ściany.



– Bez sensu, że nie można mieć ramek.

– Nic nie szkodzi. Najważniejsze, że zdjęcia zawisną – odpowiadam i odhaczam kolejny punkt.

– Mam jeszcze coś dla ciebie – mówi James. Słyszę, jak podchodzi do biurka. Podnoszę na niego wzrok. Trzyma w dłoni małą paczuszkę w brązowym papierze, ozdobioną białą wstążką.

Biorę ją zdumiona.

– Co to...?

– Otwórz – odpowiada z uśmiechem.

Powoli ciągnę za wstążkę i rozwijam papier. Moim oczom ukazuje się drewniana ramka i kolejne zdjęcie.

Moje serce fika koziołka.

– Z twojej imprezy pożegnalnej!

– Pomyślałem sobie, że możesz postawić je sobie na biurku. Wtedy wszyscy będziemy cię obserwować podczas nauki.

Nie mogę oderwać wzroku od fotografii. Zrobiono ją na początku wakacji, w naszym ogródku, dzień przed naszą podróżą do Tajlandii. Z boku stoją moi rodzice, obok nich Ember, Wren, Alistair, Kesh i Lin. Lydia i Graham uśmiechają się szeroko do obiektywu. Cyril, stojący koło nich, trzyma na ręku małego Henry’ego. W przeciwieństwie do pozostałych, zamiast na fotografa, gapi się na bobasa, który z całej siły ściska go za palec. Po drugiej stronie jest James z małą Rosie i ja – obejmuję go w pasie i opieram się o jego bark.

– Nie do wiary – mamroczę i podnoszę zdjęcie do oczu. – Minęły zaledwie dwa miesiące, a Henry i Rosie są już dwukrotnie więksi.

– Tak, Lydia też mówi, że to przerażające. Moim zdaniem to super. Już niedługo będziemy mogli zagrać z nimi w lacrosse. – Sili się na bez troski ton, ale widzę, że nagle smutnieje. – Pewnie mnie nie poznają, kiedy wrócę.

– Bzdura. – Energicznie stawiam fotografię na biurku, podnoszę się i podchodzę do Jamesa. Kładę dłonie na jego biodrach, wspinam się na palce, dotykam nosem jego nosa. – Nie będzie cię tylko cztery tygodnie. Poza tym będą cię widywać na ekranie, istnieją przecież Facetime i Skype.

Za trzy dni James leci na Bali, gdzie weźmie udział w warsztatach dziennikarskich i fotograficznych. W ciągu minionych miesięcy zebrał pewną grupę czytelników. Choć jego blog rozwija się powoli, świetnie się przy tym bawi. Ilekroć o tym rozmawiamy albo razem edytujemy jego wpisy, jego oczy autentycznie lśnią.

Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam. I choć cierpię na myśl, że znowu się

rozstajemy się, bardzo się cieszę, że praca sprawia mu tyle przyjemności.

Czuję się, jakbyśmy dopiero co wrócili, a zarazem byli w ciągłej podróży – on przez świat, ja przez Oksford. Jestem tam, gdzie zawsze chciałam być, dokładnie tak, jak marzyłam. Mam nawet więcej, bo James jest ze mną.

– Przywiozę ci coś – obiecuje i przyciąga mnie do siebie. – Albo tym razem sam coś wyrzeźbię.

Uśmiecham się.

– Ale musi mieć mnóstwo detali.

– Zobaczymy, co się da zrobić – mamrocze, pochyla się i całuje mnie delikatnie, a we mnie wybucha wulkan emocji.

Ciekawe, czy tak będzie zawsze, gdy mnie będzie całował.

Kiedy odrywa się ode mnie, widzę w jego oczach obietnice, które spełni, zanim wyruszy w podróż.

Uśmiecham się na samą myśl.

– Mój James – szepczę, przyciągam go do siebie i całuję. Wzdycha w moje usta.

Długo walczyliśmy, żeby być tu i teraz. Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy: zniszczone marzenia, dni pełne nadziei i więcej miłości, niż wydawało się możliwe.

Walczyliśmy i uratowaliśmy się nawzajem. I tak samo będzie w przyszłości. W każdej godzinie, minucie, sekundzie.

# Podziękowania

Nie mieści mi się w głowie, że oto doszliśmy do końca sagi Maxton Hall. Minione półtora roku pisania to najbardziej szalony okres w mojej karierze; kiedy patrzę wstecz, chce mi się zarazem płakać i śmiać.

Po pierwsze chciałabym podziękować mojemu mężowi, Christianowi, bez którego nigdy nie dokończyłabym tej książki. Zdarzają się dni, gdy pisanie przychodzi mi z trudem, szczególnie gdy do głosu dochodzi zwątpienie we własne siły. Dziękuję, że mnie bezustannie motywowałeś, byłeś moim największym cheerleaderem i zawsze umiałeś wysłuchać.

Dziękuję mojej redaktorce Stephanie Bublej, która od rana do nocy wraz ze mną szlifowała kolejne wersje tej książki i dzięki której staję się lepszą pisarką. Po tak długiej i ciężkiej pracy nad Ruby, Jamesem i całą resztą obie zasłużyłyśmy na długi pobyt w SPA, tonię czekolady i morze wina. Jestem z nas bardzo dumna.

Chciałabym także podziękować wszystkim innym w wydawnictwie bastei Lubbe/LYX, którzy niestrudzenie pracują nad moimi książkami:

Sandra Krings z produkcji załatwi każdy termin; to dzięki niej książka została wydrukowana. Ricarda Wite-Masuhr, Simone Bielack i Angie Timplan zadbały o fantastyczny marketing. Barbara Fischer i Anna Fohs z działu prasowego, a także Christian Stuwe sprawiają, że moje książki ukazują się za granicą. Torsten Glaser i Andrea Ludorf zapewniają, że książki trafiają do księgarń, a tym samym do czytelników. Jennifer Schock zapewniła mi najwspanialszą podróż literacką, jaką można sobie wymarzyć, Ruza Kelava i Simon Decot uwierzyli w moje historie, Katharina Schmidt zawsze mnie reprezentuje, ilekroć tego potrzebuję.

Serdeczne dzięki dla pierwszych czytelników; Lisy, Roberta i Laury, za ich wnikliwe komentarze. Sarah Saxx i Tinie Kopke za rozmowy o pisaniu. Moim przyjaciółkom: Elisie, Jasmin, Jenny, Lucie, Maren, Wiebke i Annie za zawsze szeroko otwarte oczy.

Na koniec chciałabym podziękować moim czytelnikom. Mam nadzieję, że James udowodnił, że żadne marzenia nie są nierealne. Mam nadzieję, że Ruby pokazała, że warto walczyć o siebie. Mam nadzieję, że Lydia przekonała was, że

warto dorosnąć. A przede wszystkim liczę, że wszyscy zabierzecie ze sobą kawałek Ember, bo wiara w siebie jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Dziękuję, że wraz ze mną wyruszyliście do Maxton Hall.